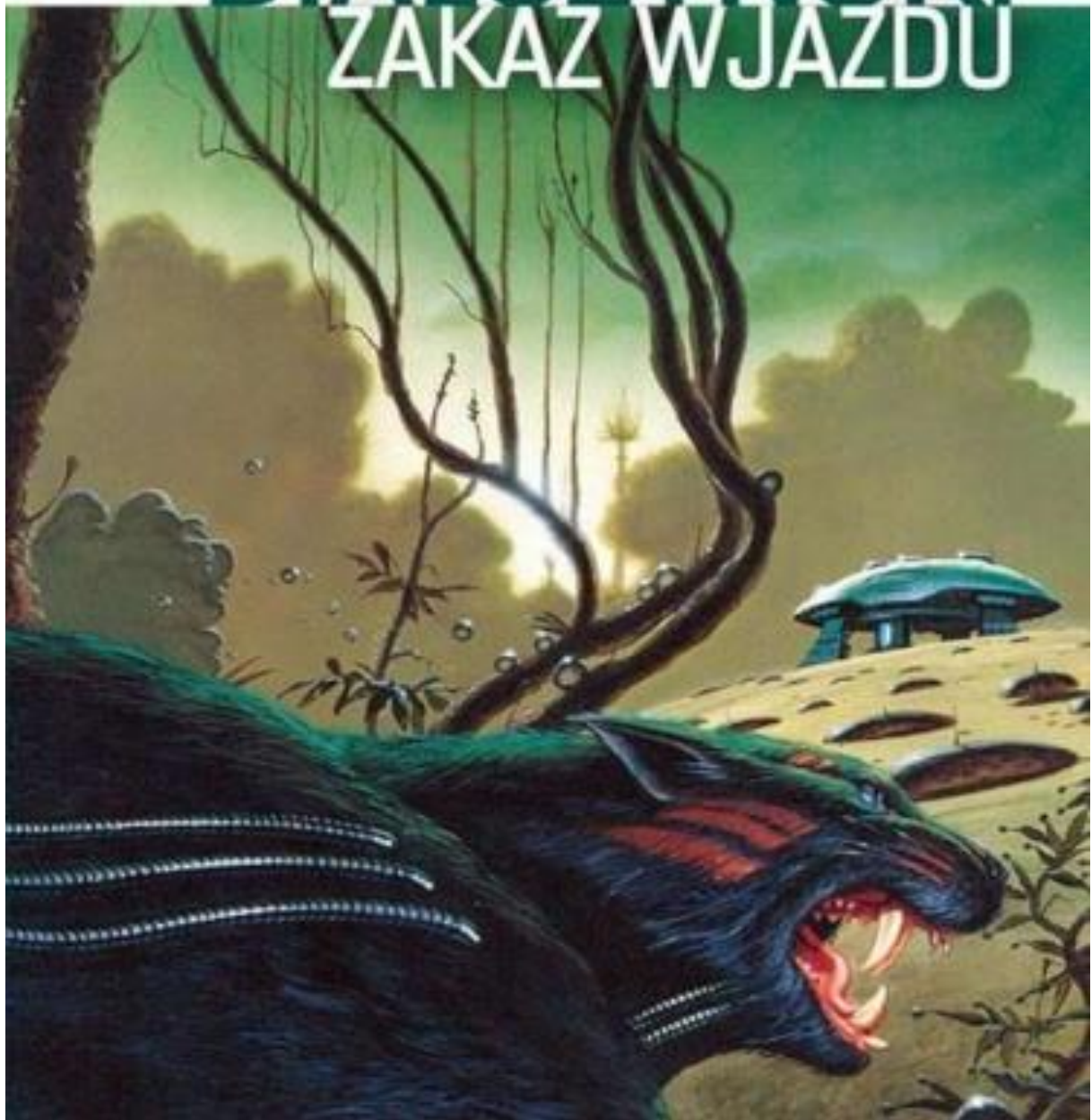


ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Czesław

BIAŁCZYŃSKI

ZAKAZ WJAZDU



CZESŁAW BIAŁCZYŃSKI

ZAKAZ WJAZDU



Rozdział 1

POWRÓT

Ten dzień dla strefy klimatu umiarkowanego został zapowiedziany jako pogodny. Dopiero między szesnastą a siedemnastą miał przejść rzęsisty deszcz z północnego wschodu. Prognozy nie przewidywały w dniu dzisiejszym burzy. Mostem na zaporze Beringa sunęły jak zawsze od szarego świtu kontenerowe zaprzęgi elektrochodów. Ranek wstawał chłodny, wzniecając nad pióropuszcami kamczackich gejzerów seledynowo-pomarańczową lunę. Niebo zdobiły pojedyncze, kłębiaste baranki. Wyglądały w świetle słońca stojącego na linii widnokręgu jak ufarbowane, żywe stado przemierzające w równym rytmie gigantyczną łakę nieba.

Ulice miasta nie nabrały jeszcze żywych barw ani należytego tempa. Mieszkańcy spali zazwyczaj o tej godzinie regularnym, głębokim snem w poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawał im system ochrony przed niepożądanymi bodźcami. System ten, nazywany w skrócie OPNB, gwarantował każdemu organizmowi stosowny do pory rodzaj równowagi duchowej. Wiktor Ulm miał mimo to sen niespokojny i ciągle zmieniał pozycję. Inni mieszkańcy tego azjatyckiego kolosa spoczywali w miękkich kokonach pół siłowych swoich posłań.

Na ulicach trwał ruch automatów zaopatrzeniowych, które poruszały się bezszelestnie między dostawczymi furgonami a ladami sklepów, przenosząc dziesiątki najrozmaitszych towarów. Zgrabne przyzmy produktów błyszczały w pierwszych promieniach całą gamą barw kolorowych opakowań. Puszczano w ruchienne fontanny, które budziły się wraz ze wschodem słońca i zamierały o zmierzchu. Szczękały zamki bezludnych barów i jadłodajni, ruszały pasy chodników na wielkich arteriach, niczym nie zapowiadających jeszcze tłoku, jaki na nich zapanuje za dwie—trzy godziny. Na razie gasły ostatnie reklamy. Miarowym, spokojnym tempem sunęły wzdłuż krawężników odkurzacze zbierając w długie, prążkowane węże śmieci i kurz. Co chwilę któryś przystawał u wylotu ulicznej spalarki opróżniając swe wnętrze.

Deszczowe chmury, które miały po południu zasnuć cały półwysep, formowały się dopiero na północnym brzegu Jukonu, gdzieś u ujścia Mackenzie w szeroki przestwór Morza Beauforta. Tam dzień zbudził się wcześniej. Ludzie właśnie kończyli śniadania, żegnali się z rodzinami, mężczyźni i kobiety coraz tłumniej pojawiali się na ulicach miasta. Ci, którzy kierowali się w stronę czerwonych murów Instytutu Meteorologicznego Sterowania patrzyli na niebo inaczej niż zwykli przechodnie. Purpurowe kopuły instytutu wznosiły się nad Aklawikiem niczym jakaś tajemnicza warownia. Chodniki pędziły z równym, miarowym szumem rolek, rozwidlały się, pętliły, łączyły i znów rozdzielały niosąc tłum jeszcze trochę senny, aczkolwiek już coraz bardziej rozgadany i wesoły. Dozymetry kropla po kropli usuwały z organizmów resztki broluminalu, aplikując coraz większe dawki adrenaliny i łagodnie pobudzających środków.

Jeszcze dalej na wschód praca trwała od dobrych kilku godzin. Ludzie w ferworze swoich codziennych zajęć odbierali holofony, przekazywali dane, ślęczeli nad projektami wymyślonych przez siebie konstrukcji, które dzisiaj należało uzupełnić i gdzieś tam wysłać, rozwiązywali problemy trudne i zawikłane, spieszyli się, otwierali okna biurowców, by odetchnąć na chwilę świeżym powietrzem. podziwiali pejzaże lub po prostu myśleli już o tym, co będzie po południu, wieczorem czy w .nocy, wygrzewali się nad saharyjskimi kanałami, gapili się w holowizję, paplali ze znajomymi o milionie różnych spraw, które, choć pozornie nie miały

znaczenia, składały się na całe ich życie.

W tym samym czasie, gdy Wiktor Ulm przecierał zaspane oczy w swym spokojnym mieszkaniu w jednej z dzielnic Kamczacka, najdalej wysunięta radiolatarnia systemu słonecznego, tak zwana Pierwsza Przednia, położona daleko poza orbitą Plutona, odebrała dziwny sygnał. Od strony gwiazdozbioru Wolarza zbliżał się statek.

Odebrany kod wywoławczy natychmiast został przesłany w głąb systemu słonecznego, do Centralnej Bazy Lotów, którą zainstalowano na Trytonie. Komputer bazy skierował informację we właściwy kanał i w pokoju dyżurnego astratora włączył się dalekopis, wystukując wszystkie dane dotyczące obiektu. Astrator Denis kończył właśnie dyżur i początkowo miał zamiar pozostawić wiadomość dla swojego zastępcy, który powinien być lada chwila nadejść. Wkładał właśnie gruby sweter i naciągając rękawy, na wszelki wypadek rzucił okiem na sunącą rytmicznym stukotem dalekopisu taśmę. Szybko przeczytał pierwsze linijki, które powtarzały się w każdym meldunku, i skierował wzrok na lewy górny róg karty, gdzie powinien znajdować się symbol obiektu. Nagle zamarł. Przybliżył oczy do papieru, jakby starając się dokładniej wpatrzeć w drukowane litery. Wyprostował się. Stał tak chwilę, ważąc coś w myślach, po czym już bez zastanowienia, zrywając po drodze nie dokończony jeszcze meldunek z wałka maszyny, jednym susem dopadł holofonu. Gorączkowo wystukał numer i czekał wsparty dłonią o biurko, wpatrzony w spoczywający przed nim raport. Wreszcie włączył się ktoś po drugiej stronie. Na ekranie zamigotała główna hala kontroli lotów, po chwili nastąpiło zbliżenie pulpitu koordynatora, wreszcie cały ekran wypełniła twarz starszego koordynatora Palsa.

— Czy coś się stało? — zapytał Pals.

— Dostałem meldunek, że od Wolarza nadlatuje statek. Radiolatarnia PP 1 odebrała kod. To sygnał wywoławczy Pioniera 26...

— Co? Czy pan zwariował?! Pionier przyleci najwcześniej za rok! Tak zostało ustalone!

— Jednak komputer odebrał jego znaki wywoławcze i określa przylot statku na szesnastą czasę Trytona, to jest za cztery godziny.

— Niech pan to jeszcze raz sprawdzi. Jeżeli dane zostaną potwierdzone, trzeba natychmiast zawiadomić Ulma, Gastora i Pandyka. Za dziesięć minut będę u pana.

Ekran holofonu zgasł. Denis natychmiast wcisnął numer kontroli komputera.

Pionier nadlatywał jednak. Pomyłka nie miała miejsca. Do lądowania pozostało niewiele ponad godzinę i kilka radiolatarni nadesłało już dane o odebranych sygnałach Pioniera. Mimo że znajdował się tak blisko, jego załoga do tej pory nie próbowała nawiązać bezpośredniego kontaktu. Było to dziwne, zważywszy nawet na wyjątkowe okoliczności powrotu. Statek żeglował ku Trytonowi prowadzony automatycznym namiarem. Pandyk wraz z Palssem i Gastorem pozostawali w głównej hali kontroli lotów. Ulm miał przybyć lada chwila. Kiedy zadzwonili do niego, już nie spał. Spakował dopiero co rozpakowane rzeczy i pierwszym lotem strato udał się do portu promów. Na Lunie dostał specjalny stateczek z pilotem i właśnie w tym momencie przecinał strefę planetoid. Pionier zbliżał się, towarzyszyła temu normalna procedura. Z zewnątrz, widoczny już w dużych powiększeniach, nie wykazywał żadnych uszkodzeń. Był to statek średniej wielkości, służący do wypraw naukowo-badawczych, wyposażony w pełny zestaw laboratoriów i komfortowe pomieszczenia dla sześciuosobowej załogi. Pioniery latały w zasadzie jedynie na Irmę, nie miały więc uzbrojenia, poza bronią myśliwską, której używano do polowań na okazy irmańskiej fauny. Na pokładzie powinno znajdować się sześć osób, stanowiących normalną obsadę ekspedycji. Z zapartym tchem obserwowano z hali lotów smukły korpus mknący ze stale spadającą prędkością ku Bazie. W równych odstępach czasu czerń kosmosu rozrywały tryskające z dziobowych dysz zielone błyskawice hamownic. Pionier wytracał prędkość przed podejściem do lądowania. Wkrótce przejęty

przez automaty kosmoportu skierował się na satelitę Neptuna i zataczając pętle z grzmotem, który zakłócał odwieczną niegdyś ciszę planetki, sunął ku bojom lądowiska. Chwytnice zanurzyły się w ogień dziobowych dysz i po chwili z rzednącej zawiesiny dymu i pyłów wyłonił się błyszczący kadłub okrętu zastygły w bezruchu. Manewr został zakończony.

Tarian i Pandyk poderwali się od pulpity i szybkim krokiem ruszyli ku hali remontowej. Z czeluści, zakrytych dotychczas płytami, wychynęły na powierzchnię lądowiska dźwigi. Otoczyły korpus rakiety rojem ażurowych konstrukcji. Uniesiono statek i bezgłośnie wtoczono podeń transportery. Metr za metrem, powoli, z najwyższą precyzją Pionier zanurzał się w rozjarzonym wnętrzu hali. Zatrzaśnięto wrota. Statek spoczywał całym ciężarem swego cieleska w korytarzu doku.

— Trzeba zachować szczególne środki ostrożności — powiedział Gastor, przypatrując się przez szybę rybiej łusce statku i szczelinie wypełnionej obłym korpusem.

— Zarządzam procedurę nadzwyczajną! — rzucił w mikrofon Pals. Z wnętrza pojazdu do tej pory nie wydobył się żaden dźwięk, poza regularnie miauczącym sygnałem automatu pozycyjnego.

Trzech techników w grubych kombinezonach otworzyło drzwi luku. Pierwszy z nich niósł kamerę, która przekazywała obraz na monitor umieszczony w kopule obserwacyjnej, gdzie znajdowali się Pals i Ulm. Gastor i Pandyk zdecydowali się zostać na dole. Czuwali bezpośrednio nad przebiegiem akcji. Ostatni z techników zagłębił się w czeluście Pioniera. Nie doszli daleko. Znaleźli Tripa na korytarzu, jakieś sto metrów od wejścia. Leżał na podłodze zwinięty w kłębek. Strzęp człowieka. Szkielet odziany w kombinezon. Był jednak przytomny, tak się przynajmniej zdawało, ale nie udało się nawiązać z nim kontaktu. Natychmiast przeniesiono go na salę medyczną i po wstępnym zanalizowaniu danych na temat jego organizmu zaaplikowano mu pierwszą dawkę preparatu odżywczo-pobudzającego. Technicy tymczasem szukali dalej. Przez kilka godzin przeczesywano pokłady Pioniera 26. Centymetr po centymetrze, każdy zakamarek. Zbierano pył do analizy dezaktywacyjnej, szukano jakichkolwiek śladów pozostałych pięciu członków załogi. Wytrzaśnięto z komputera blok operacyjnej pamięci. Niestety nie zawierał danych z okresu pobytu na Irmie. Tymi danymi dysponował tylko mózg stacji badawczej, która była domem załogi w czasie jej pobytu na planecie. Technicy sprawdzali wszystkie układy, sterowniczy, zasilający, energetyczny, wentylacyjny. Nie wykryli najmniejszych odchyleń. Okręt był pełnosprawny. Tylko jego pasażer przybył wyczerpany do ostatecznych granic.

Już wtedy Ulm zadał sobie pytanie, które później wyleciało mu z pamięci: Jak to się stało, że Trip doprowadził się niemal do głodowej śmierci, dysponując wszystkimi zapasami okrętowej kuchni?

— Co z nim?

— Trudno powiedzieć.

Różowe trójkątki rozjaśniały ciemność pokoju liliową poświatą. Twarz Ulma zapadała w czerń w rytmie ich drgań.

— Brak kontaktu?

— I tak, i nie — psycholog pochylił nisko głowę, jakby szukał czegoś na podłodze. Nagle wyprostował się i w kolejnym błysku ostro zarysowały się zmarszczki wokół jego ust. Drugi człowiek znajdował się w ogrodzonej parawanem wnęce. O jego obecności świadczył jedynie szelest folii i przelewanie się wywoływaczy. Na płaską kuwetę regularnie spadały krople.

— Chcesz mi dokładniej o tym opowiedzieć?

Ulm zdawał się wahać. Obrócił się z fotelem w kierunku niewidocznego rozmówcy. Potarł skronie końcami palców.

— Wiesz, że czasem udawało się nam wspólnie do czegoś dojść. Ale teraz...

— Myślisz, że czas coś zmienił?

— Nie. Nie to. Widzisz — starał się dokładniej dobrać słowa. — Problem Tripa nie nadaje się do akademickich rozważań, teoretyzowania. Nie ma czasu na sprawdzanie hipotez. Na mnie spoczywa ciężar podjęcia decyzji. Trzeba tam wysłać zwiadowcę. Kiedy? Kogo? Jak go uzbroić? Może posłać od razu całą ekspedycję? A może tutaj, u nas, w Bazie spróbujemy rozstrzygnąć, co się wydarzyło na Irmie?

— Rozumiem. Ty masz ochotę na to ostatnie rozwiązanie.

— Tak.

— Więc spróbujmy. Jeśli chcesz, zawiadomię moich zwierzchników i popracujemy razem kilka dni.

— Ale twoja praca jest równie ważna!

— Znajdzie się w Bazie kilku innych specjalistów, którzy nie są gorsi ode mnie.

Folia zaszeleściła głośniej i kapanie ustało.

— Włącz światło! — usłyszał Ulm. Bez słowa nacisnął kontakt.

Zza parawanu wysunęła się wysoka, szczupła postać w grubym fartuchu ochronnym. To był Gastor. Dawny współpracownik Ulma. Razem odkryli punkty stykowe Alfa Centauri. Gastor sprawnie rozsypał boczne szwy krępującego go stroju i zdjął rękawice.

— Skończyłem właśnie pierwszą partię hologramów wnętrza jego mózgu — powiedział.

— Jest coś?

— Na pierwszy rzut oka nic, ale oddam je do analizatorni. W każdym razie po tej partii nie spodziewajmy się rewelacji.

Zdecydowałeś się? — Gastor zmienił nagle temat.

Na twarzy Ulma zagościł przelotny uśmiech. Może raczej grymas, który miał symbolizować uśmiech.

— Zgoda! — spojrzał prosto w oczy Gastora.

Szli teraz pustym korytarzem o niebieskich, łukowato sklepionych sufitach. Gastor myślał nad czymś intensywnie, wachlując się trzymanym w ręku plikiem dokumentów.

— Jaki jest jego ogólny stan? — zapytał nagle.

— Organizm na skraju wyczerpania, teraz już oczywiście czuje się lepiej, ale muszę ci powiedzieć, że jest w tym jakaś zagadka. Leki, jakie zastosowaliśmy w celu przywrócenia mu równowagi, skutkują z dziwnymi oporami.

— Jak mam to rozumieć?

— No, nie można powiedzieć, żeby nie działały. Owszem. Stan jego zdrowia stale się poprawia, jednak po tych dawkach leków, jakie zastosowano, należałoby się spodziewać lepszych efektów. Dostał przecież całą serię środków psychotropowych, a mimo to szok nie został przełamany.

— Jak długo trwała podróż? Czy myślisz, że nabawił się tego wszystkiego w czasie jej trwania?

— Leciał trzy dni, a więc normalnie. Wydaje mi się niemożliwe, żeby już w stanie szoku udało mu się wprowadzić statek w styk. Wiesz przecież...

— Tak. To nie jest takie łatwe. Wyjść, to co innego. Wyjść statek może samodzielnie.

— No właśnie. To przecież nasuwa sugestię, że tragedia rozegrała się już po starcie i osiągnięciu punktu stykowego w Wolarzu.

Korytarz kończył się jednymi tylko, białymi drzwiami. Gastor nacisnął klamkę. Zalał ich rubinowy blask reflektorów płonących wewnątrz pomieszczenia. Przekroczyli próg i Gastor skierował się w stronę owalnego pulpitu, nad którym, tyłem do drzwi, siedział zakapturzony mężczyzna. Bez słowa położył przed tamtym plik hologramów. Zakapturzony

uprzejmie skinął głową, nie odrywając się od pracy. Wyszli ponownie na korytarz.

— Czy nie sądzisz, że Trip jest chory? — odezwał się po kilku krokach Gastor.

— Możliwe — odpowiedział Ulm z wahaniem. — Z drugiej strony nie pierwszy rok latamy na Irmę. Nigdy dotąd nikt nie nabawił się żadnej choroby.

— Tak. To byłoby dziwne. Przetrzęsaliśmy przecież tę planetę dokładnie. Co prawda ekspedycje nie przebywały zbyt długo w poszczególnych strefach, ale to nie ma znaczenia. Istnieje raczej małe prawdopodobieństwo zagadkowej zarazy. Chociaż...

— Chociaż co? — Ulm zatrzymał się.

— Nie podoba mi się to dziwne zachowanie jego organizmu.

— Zrobiliśmy oczywiście wszystkie analizy. Hologramy to właściwie już część śledztwa, a nie programu medycznego. Faza medyczna została zakończona. To może być jedynie choroba niewykrywalna naszymi metodami. A wiesz przecież, że posiadamy najlepszy sprzęt, jaki tylko istnieje. Jeśli tym sprzętem nie potrafiliśmy wykryć choroby, to tym bardziej jej nie wyleczymy.

Zatrzymali się przed windą. Białe lampki z numerami kondygnacji wędrowały rozblyskującą ścieżką ku symbolowi ich piętra.

— Gdzie on leży? — Gastor wszedł do windy pierwszy, nim jeszcze drzwi rozsunęły się do końca.

— Chcesz go zobaczyć?

— Tak.

— Teraz?

— Może być teraz — Gastor uśmiechnął się, wkładając ręce do kieszeni spodni.

Ulm nacisnął odpowiedni guzik.

— Zaraz tam będziemy — powiedział, wpatrując się w lampę przyklejoną do sufitu windy trzema nieregularnymi przyssawkami.

Stali w izolatce Tripa. Pilot spoczywał nieruchomo na łóżku. Właściwie wydawało się, że zawisł poziomo, uwięziony kablami. Ciało wspierało się na niewidzialnej siatce pól siłowych, oplatały je zwoje przewodów połączone z aparatami kontroli. Miarowe tykanie centralnego kontrolera świadczyło, że wszystko jest w porządku. Organizm pilota nie wykazywał niepokojących odchyłeń od przewidzianych programem leczenia norm. Gastor przyglądał się dokładnie ciału tego człowieka. Jego twarzy. Obaj z Ulmem znali kiedyś Tripa. Twarz, którą mieli teraz przed oczyma, nie przypominała tamtej. Biała papierowa maska. Martwo utkwione w suficie oczy. Nieprzerwanie. Bez jednego mrugnienia powiek. W przyciemnionej izolatce panował przykry nastrój. Ilekroć Ulm tutaj wchodził, zawsze odczuwał przygnębienie. Nie potrafił pomóc temu człowiekowi. Gdyby nie spokojny, regularny rytm kontrolera, można by pomyśleć, że na łóżku leży trup.

— Wyjdźmy stąd — szepnęła do Gastora. Tamten tylko skinął głową. Wyszli na korytarz. Przed drzwiami siedział strażnik, który na ich widok podniósł się z fotela.

— Wszystko w porządku? — zapytał Ulm raczej z obowiązku.

— Tak jest — odparł strażnik. — Przed chwilą otrzymał nową dawkę leków.

Oddalili się od izolatki, nie mogąc otrząsnąć się z przygnębienia.

— Zajdźmy do mojego gabinetu — zaproponował Ulm.

— Co z resztą załogi? — Gastor bawił się niebieską szklaneczką, którą dopiero co opróżnił.

— Na statku nie ma żadnych śladów, które świadczyłyby o jej obecności w drodze powrotnej.

— Czyli że zostali, a Trip wystartował bez ich wiedzy...

— Lub za ich wiedzą, tylko że w drodze zdarzyło się coś, co doprowadziło go do

takiego stanu.

— Po co go więc wysłali?

— Coś musiało się zdarzyć. Coś niedobrego.

— I w jednym, i w drugim wypadku dochodzimy do tego samego wniosku. Trip był jednym z odporniejszych pilotów. Pamiętam wyniki jego testów na pustkę, na ciemność i tak dalej. Był bardzo twardy. Byle co go nie zmogło.

— Teoria o epidemii pasowałaby, gdyby nie to, że nie potwierdzają jej lekarze.

— Myślisz, że wszyscy zachorowali, a on jeden wy dostał się, jako najodporniejszy?

— To możliwe.

— Nie rozwiążemy tutaj tego problemu. Konieczna będzie następna ekspedycja.

— Nie. Najpierw wyślemy zwiadowcę.

Ze snu wytrzącił Ulma dzwonek holofonu. Na wpół śpiąc, nie wyrwany jeszcze z koszmaru, który toczył się w jego wyobraźni na odległej Irmie, włączył fonię.

— Mówi Ulm.

— Tu Gaster. Przyjdź natychmiast do izolatki. Trip zaczął mówić!

— Już idę! — krzyknął niemalże.

Ta wiadomość rozbudziła go zupełnie, Trip mówi! Czyżby minął szok? To zmieniłoby całkowicie przebieg wydarzeń. Może dowiedzą się nareszcie czegoś konkretnego. Odruchowo spojrzął na zegarek. Pierwsza w nocy. Szybkim krokiem przemierzał korytarze swego poziomu. Echo powielало jego stąpania wibrującym stukotem. Przymglona, bladobłękitna poświata zlewała kontury przedmiotów, wygładzała chropowate struktury ścian i sufitów. Przed izolatką jak zwykle czuwał ten sam strażnik. Ulm wszedł do środka. Zniknęła szarość, do jakiej się przyzwyczaił w tym ponurym pokoiku. Trip siedział na łóżku. Prócz Gastora znajdowali się tutaj również Pals, Pandyk i Tarian — szef Astropolu na Trytonie. Na widok Ulma Gaster uniósł się z fotela.

— Czekaliśmy tylko na ciebie. Rejestrujemy wszystko — wskazał na zamontowaną w kącie kamerę i mikrofony.

— Dlaczego przyleciałeś wcześniej? — pytał Tarian.

— Musiałem.

Trip nie wrócił jeszcze całkiem do równowagi. Kiedy Ulm przypatrzył mu się uważniej, znacznie zmalał jego optymizm. Ruchy pilota w dużym stopniu pozostały automatyczne. Wyprężona postawa, regularny ruch palców lewej dłoni to kurczących się, to rozwierających, nie wróżyły nic dobrego. Sam fakt skontaktowania się Tripa ze światem nie znaczył jeszcze, że dowiedzą się czegoś konkretnego, czegoś, co pomoże w rozwiązaniu zagadki.

— Jak to musiało być? — pytał Pandyk. — Czy coś się stało?

— Po prostu musiałem — wyrecytował pilot jak z taśmy. — Nic się nie stało.

— Przecież wiesz — powiedział Gaster — że powrót był planowany na inny termin. Poza tym zabrałeś im statek i naraziłeś na niebezpieczeństwo. Gdyby teraz musieli z niego skorzystać, to co?

Zapanowała chwila ciszy.

— Nic im nie będzie — odparł pilot, lekceważąco krzywiąc wargi.

— Co się z tobą ostatnio działo? Co robiłeś? — zadał pytanie Ulm.

— Byłem w rajju — odrzekł Trip bez zastanowienia i jego palce przyspieszyły bezustanny ruch.

— W jakim rajju?! — wykrzyknął skonsternowany Pandyk, odgarniając siwy kosmyk, który opadł mu na czoło.

— W zwyczajnym. Takim z rajskimi jabłoniemi — powiedział spokojnie pilot, wpatrując się w oczy Pandykowi.

— I co tam jeszcze było? — spytał Ulm.

— Trawa. Kwiaty. Wielki wąż na drzewie i kobieta. Dużo motyli.

— I jak było? — zaciekawiał się Gastor.

— Przyjemnie. Bardzo przyjemnie.

Ulm poczuł, że ktoś szturcha go w bok. Był to Pals.

— Tak nie można — szepnął do Ulma. — Trzeba go oderwać od tego tematu, bo już nic z niego nie wydobędziemy.

— A co robił Makong? — rzucił pytanie Ulm.

Pilot wzdrygnął się. Popatrzył na Ulma szeroko otwartymi oczami. Po jego twarzy przebiegł dziwny skurecz, a kąciki ust wydłużyły się. Nagle palce Tripa zatrzymały się. Przestał nimi poruszać tak niespodziewanie, że wszyscy to zauważyli.

— Posłuchaj, Ulm — odezwał się pilot.

Po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do któregoś z obecnych w izolatce naukowców, najwyraźniej rozpoznając jego osobę.

— Posłuchaj, Ulm — powtórzył. — Zналиśmy się kiedyś, tak?

— Tak — potwierdził Ulm, spoglądając kątem oka na Gastora.

— Gdzie tam patrzysz?!! — wrzasnął naraz Trip. — Słuchaj uważnie!!!

Zapanowała konsternacja. Tarian poszukał oczami alarmowego przycisku. Nie dla niego jednego stało się oczywiste, że Trip wpadał szal.

— Słuchasz mnie? — zapytał pilot z groźbą w głosie.

— Słucham — odpowiedział Ulm.

— Więc posłuchaj! Nie pytaj mnie! Rozumiesz? Nigdy nie pytaj mnie o Makonga! Makong dla mnie nie istnieje! I nie powinien istnieć dla nikogo ani on, ani cała ta banda. Jestem bombą! I tylko to jest ważne!

Chory gwałtownie podniósł się z łóżka zrywając pęk przewodów łączących go z diagnostykiem. Kontroler uruchomił swą piskliwą syrenę. Tarian przyciskając guzik alarmu pomnożył jeszcze hałas. Tymczasem Trip dopadł Ulma i wczepiwszy się w jego kombinezon rękami, z których sączyły się wąskie strużki krwi, charczał:

— Ty mnie musisz wysłuchać! To ja jestem tu najważniejszy, rozumiesz?

Pals i Pandyk z całych sił odciągali pilota od przerażonego Ulma. Wreszcie wpadły pielęgniarki ze strzykawkami. Kiedy Trip je zobaczył, z dzikim krzykiem rzucił się w ich stronę, lecz zdążył przebiec najwyżej dwa kroki. Dosięgły go wtedy wystrzelone ze strzykawek bolce i upadł na kolana, starając się wyrwać z przegubów igły dozymili. Padł na twarz i usiłował jeszcze podnieść rękę, lecz nie mógł się ruszyć.

— Bardzo ważne — wydobył się jeszcze z jego ust szept. — Raaaj... Głowa opadła mu bezwładnie na posadzkę. Pierwszy otrząsnął się Ulm. Miał zakrwawioną bluzę i porządną kołowrót w głowie.

— Natychmiast na salę operacyjną - rzucił matowym głosem.

— Na statku nie znaleziono żadnych wskazówek, które świadczyłyby o tym, że miały tam miejsce jakieś zdarzenia nietypowe. Nie wykryto śladów walki ani obecności któregośkolwiek z członków załogi. Jedynymi pozostawionymi przez Tripa śladami są odciski butów w sterowni. Dziwić musi fakt, że pilot nie próbował skorzystać z zapasów żywności, jakimi dysponował statek. Jego stan dowodzi, iż od dłuższego czasu głodował.

Tarian skończył swoją część raportu. Przemawiał jako ostatni. Sala obrad przypominała wielki kocioł pełen oparów.

— Dziękuję — powiedział jeszcze Tarian i usiadł.

Koordynator Pals nie miał właściwie wiele do powiedzenia.

— W świetle znanych nam faktów stwierdzam, że nie można wykluczyć żadnej z przedstawionych tutaj teorii przebiegu zdarzeń. Nie wiemy, czy członkowie załogi Pioniera 26 żyją. Trudno określić, jakie przyczyny spowodowały przyspieszony powrót pilota Tripa. W

związku z tym, że spoczywa na nas obowiązek wyjaśnienia tej sprawy do końca, proponuję wysłanie dwóch statków, z tygodniowym opóźnieniem, jeden po drugim. Pierwszym poleciłabym człowieka z Astropolu. Jeżeli znajdzie coś bardzo niebezpiecznego, pozostawi w przestrzeni dyspozycje dla drugiego statku. Załogą następnego. Pioniera, który po tygodniu poleci na Irmę, będą naukowcy o określonych specjalnościach i oni być może pomogą w rozwiązaniu problemu. To wszystko. Pozostaje tylko ustalić nazwiska.

— Z Astropolu poleci Paf. Jest najlepszym zwiadowcą — powiedział Tarlan.

Rozdział 2

MISJA SPECJALNA

Wstałem z tęgim bólem głowy. Wczorajsza zabawa u Mentyka zakończyła się nad ranem cocktailem, zrobionym ze wszystkich pozostałych jeszcze trunków. Istny fajerwerk. Mera już wcześniej miała dosyć i razem z jakimiś dwoma facetami z jej instytutu siedziała na tarasie wśród krzaków rododendronów. Co do mnie, to nigdy nie lubiłem rododendronów i dlatego wolałem pozostać w salach. Co prawda i tutaj pachniało jak w sklepie perfumeryjnym, aż do zadyszki, ale jednak nie rododendronami, więc z dwojga złego wolałem to. W moim odczuciu towarzystwo było koszmarne. Skupisko niewiarygodnych, naburmuszonych prostaków, mających wysokie mniemanie o sobie. W rezultacie wieczór składał się z dowcipów, budowanych piramidalnie aż do absurdu, w których autentyczny dowcip doskonale się zatracił, z tajemniczego milczenia i pseudonaukowych wywodów laików na tematy ściśle naukowe ze wszelkimi najgorszymi konsekwencjami takich sporów, to znaczy myleniem dat, pojęć i wszystkiego, co się tylko dało. Nie twierdzę, że jestem taki superinteligentny, wręcz odwrotnie, nie zabieram więc głosu wtedy, gdy to, co wiem na jakiś temat, z trudem da się złożyć w jedno zdanie.

Abstrahując od tego wszystkiego, ja, jako półzwierzę, obiekt wysoce niebezpieczny, o czym według słów Mery nikt nie wiedział, a według mnie wiedzieli wszyscy, byłem traktowany z bojaźliwym zaciekawieniem i znajdowałem się w centrum nieoficjalnego zainteresowania. Co mam na myśli mówiąc o nieoficjalnym zainteresowaniu? To taka specyficzna sytuacja, która polega na tym, że zaproszeni goście przychodzą tylko w celu popatrzenia na jakiś atrakcyjny przedmiot. Oficjalnie jednak twierdzą, że ów przedmiot nie jest obiektem godnym oglądania. Ja właśnie byłem takim obiektem, człowiekiem budzącym strach, lecz nie szanowanym, odważnym, a więc innym. Nikt ze zgromadzonych nie pamiętał już nawet, co to znaczy odwaga. Byłem silny, a siłą jako przeciwieństwo czystego intelektu nie stanowiła, rzecz jasna, atrybutu człowieczeństwa. Poza tym byłem krótkowłosy, a takich spotykało się tylko w Astropolu. Gdy tak siedziałem samotnie w rogu puchowej kanapy, której biel uwydatniała jeszcze mą niebezpiecznie dziwną opaleniznę, tworzyłem wystarczający konglomerat przedziwnych cech, by stać się centralnym punktem przyjęcia.

Właściwie byłem zły na Merę, że ciągnie mnie do Mentyka, ale uparła się. Jej paplanina na temat moich dziwactw i skłonności do odosobnienia przerażała mnie bardziej niż cały ten beznadziejny, zmarnowany wieczór w towarzystwie roztrajkotanych gości. Założę się, że Mera nieraz chwaliła się na roku znajomością z takim przedziwnym facetem, półzwierzęciem, półautomatem z Astropolu. Jednym z tych, o których pisali w gazetach, że trzymają ich na Trytonie w jakimś specjalnym budynku. Znając jej inklinacje do zwracania na siebie powszechnej uwagi, mogłem być pewien, że wszyscy na sali wiedzą o mnie więcej niż ja sam, a nawet kontromed Astropolu w Bazie. Efekt tej szeptanej propagandy był taki, że na mój widok

cichły rozmowy i wędły na ustach uśmiechy, zamieniając się w grymas wyrażający coś pośredniego między zawiścią i lękiem. Nie narzucałem się więc i nikt mnie nie narzucał swojego towarzystwa. Wyjątek stanowiła czarnowłosa dziewczyna. Nie jestem pewien, czy wiedziała coś o mnie, może była jedyną osobą, która o niczym nie miała pojęcia i dlatego rozmawiała ze mną normalnie. Dziewczyna ta, niczego sobie, podeszła do mnie w chwili, gdy usiłowałem skryć się za palmą z nową porcją cocktaili. Niosłem dwa na tacce.

— Ten jest dla mnie? — zapytała wesoło, chwytając kufel mlecznobiałego kfassu.

— Może być — powiedziałem, bo i co innego mogłem powiedzieć w takiej sytuacji.

— Widzę, że zamierzałeś się ukryć? — dziewczyna nie dawała mi spokoju.

Przyjrzałem się jej uważniej. Czarne włosy — prawda, że dziwaczny kolor? Duże oczy z kontaktowym połyskiem, z tęczówkami barwy barszczu, ładne usta upaprane trupią kredką, miła sylwetka w białym swetrze do ziemi. Słowem — ładna, dziwna dziewczyna.

— Przed kim? — odpowiedziałem pytaniem i ruszyłem w stronę mojej białej kanapy, która była jeszcze pusta. Nie chciałem stracić tego miejsca.

— Przed samym sobą — uśmiechnęła się.

— Stereotyp, czy może zdałaś na psychologię? — zapytałem niewinnie, myśląc że pozbędę się jej w ten sposób. A ona na to:

— Jestem z Goburu, wiesz, gdzie to jest?

— Nie wiem — powiedziałem posuwając się ku kanapie.

— To miasto na Oceanie Indyjskim, powinieneś wiedzieć! — rzekła z nutą pretensji. —

Trzy dni temu na pierwszych stronach wszystkich gazet pisali o sympozjum oceanologów w Goburze.

— Jestem tu od niedawna — odparłem, siadając wreszcie na upatrzonym miejscu.

— Jak to? — jej trupioblade usta zaokrągliły się, otworzyła szeroko oczy, których tęczówki przybrały kolor bordowowodnisty.

— Zwyczajnie — stwierdziłem wpatrując się w nią. — Trzy dni temu bytem jeszcze na Trytonie. Przyleciałem przedwczoraj.

— Ach!

Kątem oka zauważyłem, że wszyscy na nas patrzą. Ktoś nawet stanął na palcach, żeby zobaczyć dziewczynę rozmawiającą z gorylem, ale gdy spojrzałem na niego, natychmiast zajął się czymś innym.

— To dlatego jesteś taki opalony. A ja myślałam, że mieszkasz gdzieś niedaleko Goburu.

— Dlaczego akurat tam? Strefa ciepła jest długa i szeroka.

— Nie wiem. A co ty tam robisz?

Pomyślałem, że wreszcie padło pytanie, które uwolni mnie od tej smarkatej.

— Jestem zwiadowcą w Astropolu.

Nie pomyliłem się. Moje słowa skonsternowały ją do granic możliwości. Nie bardzo wiedziała, jak ma teraz zostawić mnie samego. W końcu wręczyła mi kufel i z miną desperatki odmaszerowała sztywnym krokiem, a z napięcia całej sylwetki widać było, że obawia się, iż skoczę jej na plecy z dzikim wyciem i zacznę ją dusić. Tak więc skończyła się jedyna moja rozmowa na tym przyjęciu i ratunkiem okazał się tylko kfass. Nie pozwalał mi tonąć w nudzie, a obrazy, jakie wyzwał pod zamkniętymi powiekami, od czasu do czasu mnie rozśmieszały. Mera zalała się tak szybko, że po powitaniu nie szukała już mojego towarzystwa. Wychodząc zauważyłem ją leżącą w poprzek na tych dwóch znajomych. Wszyscy razem kiwali się wraz z ławką-huśtawką przyozdobioną strusimi piórami, chociaż nie mogę ręczyć, czy widziałem dobrze, bo sam wypilem trochę za dużo i momentami nie rejestrowałem obrazów. Przedmioty nabierały nowych form, może nie było tych piór przy huśtawce ani tych dwóch facetów, nie wiem. Zresztą to nieważne.

Faktem jest, że obudziłem się z okropnym bólem głowy i natychmiast pobiegłem do

łazienki. Rozglądałem się za antykfassolem i prysznicem lub choćby airrevivalem. Znalazłem go, okazało się, że to nowy typ biczący strumieniami przenikliwych igiełek powietrza pachnącego fiołkami. Trudno, niech będą fiołki. Odświeżony, z ustępującym z minuty na minutę bólem głowy, dotarłem do pojemnika z kanapkami, które zazwyczaj zostawiała tu Mera, ale pojemnik był pusty. Musiałem wyjść do samobaru, nie chciało mi się bowiem czekać na dostawę do domu. Wcześniej postanowiłem jednak dowiedzieć się, gdzie jest Mera. Sądziłem, że powinna być w instytucie na jakichś zajęciach czy czymś takim. Poszukałem holofonu. Znalazłem go z trudem pod stertą gazet. Zapomniałem jak zwykle numeru i musiałem połączyć się przez centralę. Na szczęście wystarczyło wcisnąć klawisz, żeby wywołać jej sygnał. W innym wypadku czekałaby mnie droga do instytutu.

Zostałem tam Merę, ale powitanie nie było zbyt przyjazne.

— Czy musisz zawracać mi głowę? — zapytała.

— Gdybym nie musiał...

— Tobyś nie dzwonił! — przerwała mi. — Czego chcesz?

— Boli cię głowa? — usiłowałem sprowokować ją do narzekań. Kobieta jak ponarzeka, to zaraz robi się weselsza, ale nie ona.

— Jak cię boli — oświadczyła dobitnie — to zjedz antykfassol. Jest w łazience.

Była wyraźnie zniecierpliwiona. Nie widziałem jej, bo chyba coś tam zepsuło się u nich w instytucie.

— Nie widzę cię — powiedziałem nie zrażony.

— Ja ciebie też! Może to lepiej!

— Tak okropnie wyglądasz?

Usłyszałem w słuchawce jej parsknięcie. Nareszcie.

— Jakoś się rozładowałaś — ucieszyłem się.

— Tak, ale czuję się fatalnie — poskarżyła się.

— Byłaś nieźle zaprawiona — powiedziałem, szukając wzrokiem skarpetek. — To powinno być zabronione.

— Owszem. Mentyk zużył na to przyjęcie chyba cały roczny przydział kfassu.

— W ogóle wszystkiego — dodałem.

— Czego? — nie zrozumiała.

— Kfassu i wszystkiego innego.

W końcu umówiłem się z nią za dwie godziny przed pomnikiem Dźwięku Trąb. Wspaniały pomruk. Przez swą hałaśliwość odstraszał większość ludzi. Zawsze było pod nim miejsce. Mnie trąby specjalnie nie przeszkadzały, Merze również, więc przeważnie umawialiśmy się właśnie tam. Po zmroku koło pomnika nie było już żywej duszy, całe życie przenosiło się do prywatnych mieszkań i dzielnic zabaw.

Szybko wdziałem skarpetki i obcisłe elastyczne spodnie. Moda, która teraz panowała, dobijała mnie zupełnie. Nie chciałem jej ulegać, dostatecznie wyróżniałem się wzrostem i budową. Stroje opinające ciało niczym trykoty dawnych, baletmistrzów stały się istnym szalem, natomiast baletmistrze tak byli obwieszani szmatami, że przypominali kopy siana, jakie można jeszcze zobaczyć w skansenie koło Oslo.

Wychodząc rzuciłem jeszcze okiem na zegarek. Już dwunasta. Spałem dosyć długo. Słońce stało w zenicie, przygrzewając w sam czubek głowy, ale nie czułem duszności. W tej strefie i w tym gorącym mieście często bywało duszno. Nagrzane słońcem powietrze zatykało nieraz jak korkiem kotlinę, w której leżało Pantungu. Nic można było złapać tchu. Pantungu to strasznie niezdrowe miasto. Jeden z licznych, nieudanych wytworów naszej architektury. Normalne warunki klimatyczne osiągnano z trudem w murach domów i ewentualnie w przydomowych ogrodach, gdzie pracowały wietrzniki i skraplacze. Centrum zdobyły tylko marne ogródeczki w kamiennych misach, więc trudno tam było wytrzymać. Dzisiaj wiał jednak naturalny wiatr, może zresztą nienaturalny, najważniejsze, że wiał. Wiał ze wschodu, niosąc

bryzę odległego oceanu i jego mokry chłód. Płynął szerokim strumieniem gdzieś w stronę Addis Abeby, przez całą Północnoprzyrównikową Prowincję.

Skręciłem w centralną ulicę myśląc o Merze. Nie bardzo wiedziałem, czy ją Kocham. Ta sprawa męczyła mnie. Czy w ogóle taki człowiek jak ja, zaprogramowany inaczej niż wszyscy, odmieniec, może się zakochać? Czy izolant może darzyć „zwykłą” kobietę autentycznym uczuciem? Mery i mnie nie dzieliła nigdy bariera, jaka przeważnie występuje między „zwykłymi” ludźmi a izolantami. Różniliśmy się genetycznie. Ja i ona nie byliśmy ludźmi w tym samym sensie. Kiedy zbyt długo myślałem na ten temat, gdzieś w mózgu zapalało się czerwone, światełko kontromedu ostrzegającego mnie przed dalszymi skutkami roztrząsania owej kwestii. Wtedy przyciskałem tępe zakończenie rurki umieszczonej na mej piersi i zawsze wyskakiwał stamtąd jakiś uspokajający specyfik. Pocziwy był ten kontromed. Tak jakby moje problemy mogła rozwikłać pastylka. Nie mówiłem o tym nikomu — mój problem, moja sprawa — ta zasada obowiązywała wszystkich w naszej służbie. Do tej pory w czasie badań, a przecież przechodziłem ich sporo, mój problem nie przekraczał dopuszczalnych granic stresu. Każdego z nas coś gnębiło. Musiało gnębić. Nazywaliśmy się izolantami, ponieważ była nas garstka. Agresywne pierwiastki naszych osobowości równały nas pod tym względem z ludźmi wieków średnich. Byliśmy ewenementem w naszych czasach, gdy poziom agresywności zmalał do jednej dwudziestej ówczesnego. Niejako automatycznie stawiało to nas poza nawiasem. My ze swojej strony również staraliśmy się odizolować od zwykłych ludzi. To w końcu nie było przyjemne, gdy ktoś dowiedziawszy się kim jesteś, dostawał nagle drgawek lub bładł jak ściana. Astropol zrobił wszystko, żebyśmy nie wyróżniali się z tłumu, ale nasz wzrost i budowę trudno było ukryć. W głębi duszy podejrzewałem, że ci, którzy zajmowali się nami w Bazie, wcale nie mieli pewności, czy nie rzucimy się na któreś z nich, gdy po raz kolejny widuje się w nasze ciało swoimi czujnikami. Ta sprawa też mnie niepokoiła. Czy mógłbym zabić człowieka? Nigdy tego nie zrobiłem. Moim zadaniem było przede wszystkim chronić ludzi, a nie zabijać. Nie mogłem uwierzyć, że „zwykłych” paraliżujemy obezwładniającym strachem. Przecież żaden z nas nigdy nie zabił. Niesprawiedliwy sąd o nas zawdzięczaliśmy w pewnym stopniu holowizji, gdzie często kreowano zwiadowcę Astropolu na bohatera bezwzględnie rozprawiającego się z dzikimi bestiami innych planet. Nie pokazywano, rzecz jasna, samego aktu zabijania, na to społeczeństwo było zbyt wrażliwe, ale odbiorcy programów mogli go sobie wyobrazić. Mnie nie przerażała śmierć, mogłem na nią patrzeć, sam jednak nigdy nie potrafiłbym nawet uderzyć człowieka. Może miałem wmontowane jakieś sprzężenie, czujnik. Właściwie nie lubiłem ludzi. Czuję swoją odmienność i unikałem kontaktów.

Zastanawiając się nad sobą dotarłem do samobaru. W jego chłodnych tunelach, których ściany wypełniono skrytkami z różnymi smakołykami, panował niewielki ruch. Pora obiadowa jeszcze nie nadeszła. Za dwie godziny będzie tu pełno. Teraz można spokojnie przejść i wyszukać pojemnik z czymś ciekawym. Nie miałem pojęcia, co wziąć. W Bazie menu ustalano z góry. Czerwone lampiony dawały mocne, rubinowe światło. Postanowiłem wybrać na chybił trafił. Numer 1692. Okazało się, że pojemnik z tym numerem znajdował się w innym tunelu. Każdy tunel zawierał potrawy innej strefy klimatycznej i było ich sześć. Ostatni, szósty, miał niewiele pojemników w ścianach i jasnoniebieskie oświetlenie. Strefa arktyczna. Wybrany przeze mnie zestaw był śniadaniem strefy umiarkowanej, z okolic Europy Środkowej, i składał się z miodowych bułek, mleka, ciekłego masła, pasty rybnej i szczypiorkowo-pomidorowej. Wrzuciłem żeton i obserwowałem, jak masło ścieka lejkiem do przezroczystego dzbanuszka. Pojemnik otworzył się ze szczęką, wysuwając na tacy posiłek. Zabrałem to wszystko i pomaszerowałem ku długiej ladzie, ciągnącej się ślimakowato aż do wyjścia. Wzdłuż niej, na azurowych podporach, umieszczono głębokie fotele. Dla mnie ich wysokość była odpowiednia, ale inni musieli wspinać się na nie po małym szczebelku. Nie bardzo wiedziałem, czy to ma być dodatkową atrakcją, czy też znów ktoś nie pomyślał o wygodzie, sugerując się

tylko estetycznym efektem. Całkiem niezłe to jedzenie Europejczyków. Podobno miałem jakąś domieszkę europejskiej krwi, tak mówił mój przybrany ojciec, zanim jeszcze oddano mnie do Szkoły Myślenia. Najlepiej wspominam te trzy pierwsze lata mojego życia. Często potem przyjeżdżałem do moich „rodziców”, kiedy jeszcze żyli. Hawana to piękne miasto. Kojarzy mi się właśnie z nimi i z tymi mglistymi latami wczesnego dzieciństwa. W mojej świadomości państwo Velasquez na zawsze pozostali prawdziwymi rodzicami, choć niewiele ich genów tkwiło we mnie. Ona po prostu mnie urodziła, a on został wybrany przez komputer na idealnego opiekuna w trzech pierwszych latach życia zwiadowcy Astropolu.

Mera czekała już na mnie. Z daleka słyszałem rytmiczne dudnienie tuby. Lubiłem wyszukiwać poszczególne odgłosy w ogólnym tumulcie instrumentów. Zaznaczającą rytm tubę słyszało się z rogu placu. Plac Gwiazdy to jeden z nielicznych placów Pantangu, który wbrew szumnej nazwie jest właściwie niewielkim, wyłożonym marmurem skrawkiem przestrzeni pomiędzy otaczającymi go trójkątem domami.

— Czy kochasz mnie? — na mój widok zapytała Mera.

Problem, który sobie niedawno stawiałem, powrócił znów z całą ostrością. Nie mogłem zapomnieć o tym dylemacie, choćbym chciał.

— Myślę, że tak — odparłem patrząc w jej niebieskie oczy. — Od kiedy jesteś niebieska?

— Przed południem postanowiłam się zmienić. Wystarczająco długo byłam ruda.

Przyjrzałem się jej dokładnie. Ilekroć zmieniała kolor, miałem wrażenie, że patrzę na zupełnie nie znaną mi kobietę. Tym razem przynajmniej uczesanie zostało to samo. Niebieskie paznokcie, usta, brwi i rzęsy, białoniebieskie włosy, niebieskogrnatowy kostium, jak zwykle opięty. Dobrze, że Mera nie zmieniała tuszy ani wzrostu, bo były też i takie kobiety na tym dziwnym świecie, ale ja na szczęście nie musiałem tego znosić. W miarę, jak moje oczy przemierzały od stóp do głów jej smukłą sylwetkę, uśmiechała się coraz szerzej, pokazując równiutkie, mlecznoniebieskawe zęby.

— I co? — nie wytrzymała w końcu.

— Czekasz na pochwały? — zapytałem zaczepnie.

Naburmuszyła się jak dziecko. Wydęła policzki, udając obrażoną,

— Bardzo mi się podobasz. Mera. Naprawdę, aż za bardzo — roześmiałem się. — Dokąd idziemy?

— Myślę, że moglibyśmy zobaczyć coś w realu, co?

— Znowu jakaś bzdura o bohaterach kosmosu.

— Masz rację. To idiotyczne. Real odpada. Chodźmy do Ogrodu — zaproponowała.

Zgodziłem się i w tym momencie, kiedy zamierzaliśmy rozpocząć naszą wędrówkę, podszedł do mnie bardzo smutny pan. Nie wiem, dlaczego oni zawsze mają takie smutne miny.

— Pan Paf? — stwierdził raczej niż zapytał.

Nie musiałem mu się przyglądać, by wiedzieć, z kim mówię. Na dobrą sprawę mógłby się nawet nie odzywać. Granatowa peleryna i żółte buty z cholewami mówiły same za siebie. Wiedziałem przecież, co to oznacza i zrobiło mi się cholernie żal. Sam nie wiem, dlaczego. Czy Mery, że zostanie teraz sama, już za kilka minut, czy tego, że nie zdążę już iść do Ogrodu, czy straconego urlopu, czy licho wie czego jeszcze. Może dlatego, że zawsze w takich chwilach traciłem coś ostatecznie i nieodwołalnie. Po powrocie startowałem z innego punktu. Miałem dwa rodzaje światów i nie jestem pewien, który lubiłem bardziej. Obydwa pociągały ranie jednakowo. Gdy przebywałem w jednym, nie chciałem go opuszczać, lecz gdy to robiłem, nie chciało mi się do niego wracać. Tak było i teraz. Z wewnętrznym oporem szedłem za smutnym człowiekiem do Świata Walki, nie chciałem zostawiać ciepłego Świata Miłości. Miłość z tego świata, która rozpalala się we mnie coraz mocniej, spowodowała, że w ciągu minionych dni prawie zapominałem o tamtym drugim świecie.

- Nie macie kogo innego? — zapytałem bez wiary.
- Proszę za mną — powiedział beznamiętnie smutny człowiek.
- Może nas pan na moment zostawić samych?
- Proszę.

Przytuliłem Merę bardzo mocno i głaskałem po głowie nie jak kobietę, lecz jak dziecko, które skrzywdziłem. Nigdy nic zegnaliśmy się zbyt długo. Tym razem też. Wymiana pocałunków. Uścisk dłoni. Ona wiedziała, że to nieodwołalne.

- Uważaj na siebie — doleciał mnie jeszcze jej pełen obawy głos.

Machnąłem ręką na pożegnanie i wsiałem do elektrochodu. Pojazd ruszył gwałtownie. Obejrzałem się jeszcze przez tylną szybę. Stała tam. Tam, gdzie nas zaskoczyła ta wiadomość. „Uważaj na siebie” — tylko te słowa kołatały mi się przez chwilę po głowie. Lecz za zakrętem, gdy zniknął trójkątny plac, gdy ucichł dźwięk trąb sączący się mimo woli w uszy, cały ten świat zniknął. Stał się snem, pięknym snem, który będę wspominał do następnego razu.

- Co się stało? — zapytałem człowieka, którego po mnie przysłali.

Nie patrzyłem na niego. Nigdy nie patrzyłem na tych łączników, nikt z nas na nich nie patrzył. Wiadomo, kim byli. Nieudane egzemplarze wielkiego genetycznego eksperymentu Astropolu. Żartobliwie nazwano ich „zwiastunami”. Mieli w sobie rzeczywiście coś z aniołów wojny, ale raczej z drewnianymi mieczami.

- Misja specjalna — oznajmił krótko, koncentrując się na prowadzeniu pojazdu.

W Bazie wylądowałem po pięciu godzinach. Od razu wpadłem na Selgiego.

- Już po urlopie? — właściwie nie był zaskoczony.
- Co tu się dzieje?

— To, co zwykle — powiedział, wsadzając ręce do kieszeni kombinezonu. — Dorwali jakiegoś faceta.

Wtem ktoś klepnął mnie od tyłu w ramię. Zaskoczony, odwróciłem się gwałtownie. To był Tarian. Jego szeroka, uśmiechnięta twarz wyrażała zadowolenie.

— Dobrze, że jesteś — stwierdził. — Rozpakuj się i za pół godziny wpadnij do mnie. Wszystko ci wyjaśnię.

— Tak jest — wyprężyłem się sztywno, nie dlatego, że byłem takim służbistą, lecz dla podtrzymania się na duchu. Zawsze okropnie się denerwowałem przed tym wszystkim.

Kiedy Tarian odszedł, skierowałem się prostym korytarzem o usypiającym kolorze ścian wprost do boksu wind. W stacji panował zwykły ruch. Pozornie wydawało się, że nic się nie dzieje. Ludzi widziałem niewielu, przeważnie podpierali ściany, czasem przedefilował jakiś technik dźwigając fragment bliżej nie określonej maszyny, zwoje drutu czy worek cewek. Zjechałem na niższy poziom, gdzie mieściły się pokoje zwiadowców i ich oddzielna mesa. Tutaj panowała zupełna cisza i bezruch. Przebywając na tym poziomie miało się wrażenie, że życie stacji zamarło, że przeszedł kataklizm, który zabrał ze sobą ludzi. Otworzyłem drzwi. Pokój przygotowany starannie. Zgodnie ze słowami mojego wykładowcy z Kursu Przystosowawczego, akcja zaczynała się już od momentu otrzymania zawiadomienia. Wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik i nic nie miało prawa zakłócić przebiegu akcji. Nie pozostawało mi nic innego, jak wejść w ten rytm. Przyjąć reguły gry. Wyciągnąłem się więc na niezbyt wygodnej pryczy i utkwiałem oczy w suficie.

- Siadaj.

Tarian zniecierpliwionym gestem wskazał fotel stojący na samym środku jego gabinetu. Usiałem.

— Za chwilę — zaczął, skrobiąc się w czubek głowy pisakiem — przejdiesz wszystkie konieczne testy. .

Przerwał i patrzył na mnie, jakby czekał na jakąś reakcję z mojej strony. Nie odezwałem się, więc ciągnął dalej.

— Start jutro rano. O szóstej. Polecisz na Irmę. Tutaj jest pełna dokumentacja, jaką udało nam się do tej pory zebrać. Jeżeli będzie coś nowego, to dostarczymy ci na bieżąco.

Wyciągnąłem rękę po czarną teczkę. Była cienka.

— Niedobrze — pomyślałem. — Zbyt cienka.

— Wiesz coś o Irmie? — zapytał mój zwierzchnik, widząc niedwuznaczny gest, jaki wykonałem głową na widok teczek.

— Mianowicie co? — otrząsnąłem się z niewesołego zamyślenia.

— O załodze, badaniach, typie planety?

— No, tak. Wiem, że jest tam sześćoosobowa załoga, która ma wrócić za rok. O typie wiem co nieco, o klimacie też, może najmniej o historii badań. Pamiętam takie tytuły z „Biuletynu”: *Dlaczego Irma nie wytworzyła myślącego życia, Irma — zatrzymana w rozwoju planeta* i tak dalej. Oczywiście muszę dokładniej poznać te zagadnienia.

— Więc powiem krótko — rzekł Tarian, stukając otwartą dłońią w gładki blat biurka. — Wczoraj wrócił Pionier 26. Miał wrócić za rok. Na jego pokładzie znajdował się tylko pilot. Trip. Znałeś Tripa?

— Tak.

— Więc on, jak by to powiedzieć, nie wnosi... — zastanawiał się przez chwilę, szukając odpowiednich słów — ...nie wnosi nic nowego do tej historii, ponieważ nie jest pełnosprawny. W zasadzie nie udało się nawet wyprowadzić go z szoku. Jego zeznania są chwilami sensowne, chwilami jednak mówi zupełnie niezrozumiale lub wręcz w ogóle traci kontakt z rzeczywistością. Poza tym znaleźliśmy go w stanie zupełnego wycieńczenia, skrajnie wyczerpanego fizycznie. Nie wiemy wiele więcej niż to, co teraz ode mnie usłyszałeś.

— Tak też myślałem.

Tarian wstał, dając mi do zrozumienia, że rozmowa skończona. Podniosłem się również.

— Czy mogę go zobaczyć? — zapytałem już w drzwiach.

— Choćby zaraz — powiedział mój szef i na jego twarz znów powrócił szeroki uśmiech.

Wiadomo. Miał się z czego cieszyć. Najtrudniejszy moment dzisiejszego dnia pozostał za sobą.

Poszedłem obejrzeć Tripa już po testach. Wypadły nieźle. Tylko stary, jajogłowy psycholog pogroził mi palcem.

— To był bał, co? — powiedział mrużąc oko. — Od jutra koniec z kfassem. Co godzinę trzy vitrale i wieczorem masaż pobudzający.

No tak. Mogłem się tego spodziewać. On nikomu nie przepuścił. Na myśl o pobudzającym masażu flaki się we mnie przewracały. Słodkoróżowe kotary, cukierkowe twarze pielęgniarek w gustownych czepkach, cicha muzyka i masaż tak pobudzający, że nie mogli potem człowieka dobudzić.

Przed drzwiami czekał Tarian.

— Wysyłamy tam też nową załogę. Nawet jeśli tamtym nic się nie stało, to trzeba ich zmienić.

Nie podjąłem tematu. Energicznie pchnąłem drzwi. To, co zobaczyłem, o mało nie ścięło mnie z nóg. Trip siedział w białej pościeli. Jego ręce ułożone były równo. Oczy, wpadnięte głęboko w czaszkę o zeschniętej jak wiór skórze, wpatrywały się nieruchomo w jakiś punkt nad moją głową. Na twarzy i czaszce zauważyłem czerwone pęknięcia naczyń krwionośnych. Ciało Tripa było wychudzone do granic możliwości. Z ramienia zwisał przewód kontromedu. Karmili go jakimś sztucznym roztworem i przetaczali krew. Z jego ust nie schodził delikatny

uśmieszek. Trochę kpiący, trochę ironiczny, ale najbardziej niesamowite było to, że wesół. Widziałem w tym uśmiechu spokój i radość, błogostan człowieka chorego umysłowo. Zrobiłem dwa kroki do przodu. Nie mogłem się dopatrzeć w półtrupie spoczywającym na poduszkach człowieka, którego kiedyś dobrze znałem. Uśmiechnąłem się do niego, choć byłem pewien, że to na nic.

— Trip — szepnąłem. Musiałem odchrząknąć. — Trip — powiedziałem głośniej.

— To ty, Paf — odpowiedział zupełnie przytomnie, nie zmieniając pozycji ani wyrazu twarzy.

— Tak, to ja — odparłem zaskoczony.

— To miłe, to bardzo miłe, bardzo miłe — mówił beznamiętnie, chociaż właściwie coś brzmiało w jego tonie.

— Co jest miłe? — zapytałem.

— To przyjemne, fantastyczne — odpowiedział znów Trip.

— Nie przypominasz tego Tripa, którego znałem — stwierdziłem.

— To miłe, bardzo przyjemne.

Zrozumiałem, że on nie mówi do mnie. Rozmawiał ze sobą. W jego głosie była teraz rozkosz. Wymawiał poszczególne zgłoski z czymś w rodzaju zmysłowej przyjemności. Rozmowa była bezsensowna. Nie chciałem już słuchać jego głosu. Odwróciłem się i czym prędzej wyszedłem. Wpadłem prosto na Tariana.

— Powiedział coś? — Tarian przyjrzał mi się uważnie. — No, tak — wyszeptał po chwili — rozumiem...

— Ta załoga — powiedziałem, wpatrując się w kropelki potu na jego skórze i w pory rozszerzone z upału. — Ta załoga, którą wyślecie teraz, musi być bardzo dobra!

Za bardzo się chyba uniosłem.

— Oni wylecą w tydzień po tobie — rzekł cicho Tarian. — Wszystko zależy od ciebie. Ty będziesz ich chronił i kierował nimi w razie konieczności. Musimy wiedzieć, co tam się stało. Rozumiesz?! To twoje zadanie! Oni będą dobrzy! Nie musisz się martwić! A teraz już idź — to ostatnie zdanie powiedział zupełnie innym tonem. Było w nim coś z pocieszenia, jakie wygłaszał niegdyś kapłan przed egzekucją.

A więc — pomyślałem — mam przed sobą samotny tydzień na Irmie.

Rozdział 3

WYMARŁA STACJA

Miałem przed sobą trzy dni lotu. Cały ten czas postanowiłem poświęcić na zapoznanie się z literaturą o Irmie. Od czasu pierwszej ekspedycji napisano co niemiara różnego rodzaju biuletynów i sprawozdań. Wybrałem tylko dwie pozycje. Pierwsza publikacja uzupełniona suplementem zawierała omówienie wyników dotychczasowych badań, druga nosiła tytuł: *Próby budowania hipotez i dowodów*. Irma była bardzo ciekawą planetą, ale nie to zdecydowało, że pierwsza wyprawa „stykowa” ruszyła właśnie w stronę słońca GC 3 368. Zasadniczym argumentem, który przesądził o locie w tym kierunku, były po prostu ograniczone możliwości techniczne podróży nową metodą. Punkt styku, to miejsce w przestrzeni, przez które za chwilę mój statek miał się wydostać z naszego wszechświata. Leżał niedaleko za pierwszą radiolatarnią. To był jeden z najwcześniej odkrytych styków. Przeprowadzano na nim wiele eksperymentów, znajdował się stosunkowo blisko Bazy, był nieźle opisany i na tyle poznany, że w momencie pierwszego startu załogi ludzkiej nie groził żadnymi

nieobliczalny-mi niespodziankami. Na trzy lata przed startem Pioniera 1 oznaczono ze stuprocentową dokładnością wylot kanału po drugiej stronie nadprzestrzeni. Ten właśnie wylot wypuścił po pro-stotorowym locie aparat automatyczny Bella 6, sonda wyszła z nadprzestrzeni na peryferie układu GC 3 368. Sygnały Belli 6 nadeszły stamtąd drogą normalną, przez naszą przestrzeń, a więc po 36 latach. Po pięciu poprzednich nieudanych próbach nikt już nie liczył na powodzenie dalszych. Naukowcy, którzy wystrzelili sondę, prawie o niej zapomnieli i nie wierzyli, że możliwy jest przelot przez przestrzeń poza naszymi wymiarami. Teza o niewykonalności lotu stykowego była tak rozpowszechniona, że zaniechano dalszych eksperymentów w tej dziedzinie, ograniczając się do lotów w zwykłej przestrzeni.

Sygnały Belli 6 stały się wielką sensacją i punktem zwrotnym w historii lotów kosmicznych. W trzy lata po ich odebraniu zdecydowano się na wysłanie tą drogą statku z załogą ludzką. Liczyła trzy osoby: Mastoni, Fairand i Ski. Zakładano, że lot ku GC 3 368 potrwa około tygodnia, natomiast drogę powrotną, po zbadaniu całego układu, mieli piloci odbyć zwykłą przestrzeń. Tak też się stało. Załoga powróciła cała i zdrowa po trzydziestu sześciu latach i trzech miesiącach, przywożąc wyniki obserwacji dokonanych przez przyrządy w czasie trzydniowej, jak się okazało, podróży w nadprzestrzeni i rewelacyjną wiadomość o życiu na czwartej planecie badanego układu. I to nie o życiu w postaci jakichś wysuszonych kępek prymitywnych porostów, przysypanych setkami kilometrów pustynnego piasku, lecz o życiu bujnym, dobrze rozwiniętej flory i fauny, pozbawionym jednakże jeszcze form myślących. Klimat Irmy — bo tak nazwano tę planetę — i inne jej cechy odpowiadały marzeniom naukowców, można więc było rozpoczynać na niej masowe osadnictwo. Rzeczywistość spletała jednak uczonym i całym rzeszom chętnych emigrantów nie lada niespodziankę. Otóż wysłano jeszcze trzy dalsze ekspedycje na statkach oznaczonych numerami 2, 3 i 4. Miały one dwukrotnie większy ciężar i osiągały większe przyspieszenia w stosunku do pierwszego modelu. Punkty stykowe zachowywały się jak półprzepuszczalne błony. Nie poddawały się byle jakiemu obiektowi. Prędkość, z jaką należało je przekraczać, leżała niedaleko magicznej bariery prędkości światła, a w nadprzestrzeni nie istniała możliwość zwiększania szybkości obiektu. Biegł on swym torem zupełnie niezależnie od woli ludzi. Załoga pierwszego Pioniera przeżyła wielkie emocje przechodząc z powrotem do naszej przestrzeni W gwiazdozbiornie Wolarza. Statek stracił wiele energii, pokonując „błonę” styku i miał kłopoty z przebicciem się. O mały włos pierwsza załoga nie została odrzucona w głąb nadprzestrzeni. Należało więc zwiększyć moc i przyspieszenie, uderzyć w punkt styku niczym strzała wypuszczona z kuszy. Raporty tych trzech ekspedycji określiły dalszy los Irmy.

Naukowcy zgodnie stwierdzali, iż nie znane im są przyczyny, dla których nie wykształciło się rozumne życie na tak starej planecie, mającej za sobą długą i bogatą ewolucję. Sytuację uznano za na tyle niepokojącą, że należało odłożyć planowane wyprawy osadnicze do czasu wyjaśnienia zagadki. Pionier 5, wystrzelony osiemnaście lat temu, odkrył powrotny styk. Pionier 7 założył pierwszą bazę na Irmie, którą po trzech latach doszczętnie zniszczył huragan. Następną bazę założył Pionier 9, na którego pokładzie, jako weteran, poleciał ponownie Ski. Baza ta funkcjonuje do dzisiaj. Za trzy dni mnie przyjmie. Czy będą tam czekać na mojego Pioniera ludzie?

Dane dotyczące hipotez zagadkowej nieobecności inteligentnej populacji na Irmie odłożyłem sobie na wieczór. Teraz należało przejrzeć wszystkie systemy pokładowe, skontrolować główny ciężar i przystąpić do manewru wejścia w styk. Wszystko było w porządku. Przebiccie styku nastąpiło w punkcie 0,0006 z przyspieszeniem pełnego ciężaru. Prędkość wejściowa wynosiła 0,987 prędkości światła, prędkość po przebicciu 0,983, co pozwalało przypuszczać, że prędkość wyjścia nie opadnie poniżej niekorzystnej granicy 0,980 prędkości światła. Kąt nachylenia $96^{\circ}44'16''$. Można powiedzieć, że wejście niemal idealne. W momencie „przechodzenia” pokładami Pioniera zatrzęsło lekko, a normalny w tych okolicznościach błysk trwał

tylko 0,009 sekundy. Udało mi się. Kiedy usłyszałem terkot namiernika, oznajmiający, że znajduję się już w nadprzestrzeni, zdjąłem z oczu ochronną opaskę i popędziłem do głównego ekranu. Chciałem zobaczyć to wspaniałe widowisko, jakie rozgrywało się teraz wokół obcego obiektu, wdzierającego się poza czasem we wszechświat. Przełączyłem kontakty. Ekran zapłonął nienormalną czerwoną barwą i przebiegł po nim jakby skurcz. Głębia zafalowała, spłaszczyła się i wyciągnęła wzdłuż Pioniera, przygasając fioletowo w rogach obrazu. Trwało to zaledwie kilka minut. Potem purpurowa wstęga zwężyła się do szerokości tasiemki wyznaczającej tor statku, a fiolet okalający ją do tej pory przeszedł w głęboką czerń. Taką, jaką widuje się tylko po tej stronie. Wtem czarna materia zawirowała. Z kilku punktów rozwinęły się jasnoniebieskie koła o postrzępionych brzegach. Ich środki białeły, świeciły coraz jaśniej i jaśniej, pulsujące pęczniały. Aż wytrysły z nich jarzące się, białe strumienie światła, pędzące naprzeciw statku i rosnące w coraz potężniejsze rzeki, to łączące się ze sobą, to znów rozdzielające. W parosekundowych odstępach przez cały obraz przechodził dreszcz. Coś w rodzaju skurczu naruszonej nadprzestrzeni, któremu wszystkie pokłady Pioniera odpowiadały cichym westchnieniem i trzeszczeniem wiązań. Mogło się zdawać, że pojazd rozsycha się, jakby był z drewna, a nie z najwyższej klasy osmitu. Wreszcie całą przestrzeń zaala ostra biel, jaśniejsza od słońca. Czym prędzej wyłączyłem ekran. I tak moje spojówki zdążyły ucierpieć. Profilaktycznie wpuściłem krople do oczu i wróciłem do biblioteki, gdzie czekały na mnie książki o Irmie i świeża kawa z kilkoma kanapkami, przygotowana przez automat. Usiadłem w miękkim fotelu i chwyciłem pierwszą z brzegu kanapkę. Byłem już porządnie głodny. Książka otworzyła się sama w miejscu, gdzie poprzednio przerwałem czytanie.

Irma miała tylko jedną cechę, która (oczywiście poza zagadką braku na niej inteligentnego życia) utrudniała przebywanie na jej powierzchni. Z trudnością tą poradzili sobie już członkowie pierwszej załogi, która dotarła do planety. Relacja Fairanda zaraz po wylądowaniu była zupełnie niesamowita. Kiedy otworzył właz i stanął po raz pierwszy na powierzchni, jego oczy poraziła feeria barw. Z obrazu, jaki widział, nie udało mu się sklecić żadnego sensownego fragmentu. Musiał natychmiast wrócić na statek. Nie mógł się poruszać, nie potrafił z tego chaosu wyróżnić żadnego szczegółu. Podchodząc do lądowania nie włączali wizji i ich pierwszy kontakt z powierzchnią nie nastrajał optymistycznie. W urządzeniach optycznych panował nie mniejszy chaos, również z ich obrazu nie można było nic wyodrębnić.

Doskonale wyobrażałem sobie męczarnie tych trzech kosmonautów, którzy siedzieli uwięzieni w swej metalowej skorupie, okrążając planetę tak dobrze nadającą się do życia. Przez tydzień Ski zamknięty w laboratorium wraz z komputerem opracowywał dane, zbierał wyniki i informacje z wysłanych sond. Wnioski były zaskakujące. Obraz, widziany przez ludzi na Irmie, dzięki pewnym właściwościom atmosfery, których Ski już nie starał się wyjaśniać, odpowiadał obrazowi widzianemu okiem złożonym. Ludzie widzieli jak w kalejdoskopie. Jednocześnie występowało niewielkie przesunięcie w widmie barw. Właśnie na zasadzie oka złożonego Ski skonstruował swoje słynne okulary. Teraz dopiero kosmonauci mogli udać się na rekonesans. A kwestia czynnika powodującego tak dziwne załamanie światła do dzisiaj właściwie nie została ostatecznie wyjaśniona. Kleton, który przyleciał na Irmę w dziesięć lat po pierwszej załodze, rozpracował ten problem częściowo. Budowa oczu tamtejszych zwierząt odpowiadała budowie narządu wzroku człowieka, jednak z projekcji uzyskanych przy zastosowaniu enceloszperacza wynikało niezbitie, że zwierzęta te odbierają obraz zupełnie normalny. Ratini, członek załogi Pioniera 17, przeprowadził dokładne badania oczu irmańskich przedstawicieli fauny. Okazało się, że różnica polega głównie na zmniejszonej przepuszczalności błon komórek oka tych zwierząt oraz na innym układzie ładunków elektrycznych na siatkówce. Posunięto się krok naprzód. Sześć lat temu sprawa, która utknęła w martwym punkcie, stała się znowu źródłem sensacji. Asoa z uniwersytetu w Akrze, który przyleciał Pionierem 20, określił zasięg zmian w atmosferze i wtedy wybuchła bomba. Okazało się, że zmiany te mają charakter lokalny. Ich ośrodkiem jest mózg człowieka. W promieniu dwóch

metrów następowało załamanie i cały szereg przekształceń wiązek światła. Z nieznanых powodów mózg emitował fale płaczące obraz w kalejdoskopową feerię. Mózg ich jednak nie produkował. Nie powiodły się późniejsze próby ustalenia kierunku, z którego te fale przybywają. Dopiero całkiem niedawno trzech naukowców z Europejskiego Centrum Badań nad Irmą — Grow, Stark i Paanow — postawiło tezę, że energia ta, rozproszona w postaci cząstek, jest skupiana przez mózg, którego zwoje stają się czymś w rodzaju soczewki i zwierciadła jednocześnie. I tyle tylko wiadomo było o całej tej dziwnej sprawie, do dzisiaj nie odkryto bowiem tych hipotetycznych cząstek, które nazwano cząstkami GSP. Równoległe funkcjonowały zresztą jeszcze trzy inne hipotezy. Nie chciało mi się w to zagłębiać. Czerwone światełko pod moją czaszką już od chwili przypominało mi, że nadeszła pora snu, a ponieważ zupełnie nie reagowałem, kontroled samoczynnie zwiększył wydzielanie substancji usypiających. Dowlokłem się jakoś do koi. Zgasilem światło. Przemknęło mi jeszcze przez myśl, że hipoteza cząstek GSP nie wyjaśnia powodów zakłócenia obrazu w sondach bezzałogowych... i usnąłem.

Dolatywałem. Trzeciego dnia podróży, o godzinie 14, czasu pokładowego, mój Pionier bez najmniejszych kłopotów przekroczył antystyk z prędkością 0,980 prędkości światła, w rejonie zewnętrznej radiolatarni układu GC 3 368. Lot w stronę Armii trwał jeszcze kilka godzin, potem rozpocząłem manewr lądowania. Od momentu wyjścia z nadprzestrzeni próbowałem nawiązać kontakt z załogą, która powinna znajdować się w bazie. Niestety, odpowiadał mi jedynie automatyczny sygnalizator namiarowy. Odezwał się on natychmiast po otrzymaniu informacji o zbliżaniu się mego statku do radiolatarni. Na orbicie stacjonarnej przejął mnie komputer stacji i automatyczny pilot. Jeszcze przed przejściem przez atmosferę przestawiłem obiektywy kamer ze zwykłych na skipolarne i rozsiadłem się wygodnie w sterowni. Skilary przewiesiłem przez łokieć, ciężkie soczewki wydłużały gumę, na której obydwie szkła huśtały się w takt najłżejszego poruszenia mięśni. Odpiąłem kaburę pistoletu, miotacz stał oparty o fotel, mrugając niebieskim oczkiem pełnego magazynka. Przypomniałem sobie jeszcze o pochłaniaczu i granatach obezwładniających. Włączyłem wizję. Na ekranie pojawiła się bliska już stacja. Przypominała kompleks zbitych w ciasną gromadkę raket różnej wielkości. W rzeczywistości tylko dach został zaprojektowany w ten sposób. Pod nim stacja stanowiła jedną całość. Architekt, wykorzystując naturalne zasoby planety i jej specyficzne warunki, zaprojektował dach tak, ażeby po pokryciu specjalną folią mógł zaspokoić energetyczne potrzeby stacji. Baza czerpała więc energię wprost z promieni tutejszego słońca. Kiedy jechało się ku niej od północy, od strony gór Mastoniego, wyglądała jak srebrzysta katedra o ostrych sklepieniach naw i wieżycach odważnie strzelających w niebo.

Od dłuższego czasu automatyczny pilot odliczał sekundy pozostałe do zakończenia manewru lądowania, a ja myślałem. Intensywnie myślałem. Czego się mogę spodziewać? Czy będzie mi potrzebny miotacz i czy w ogóle zdążę go użyć? A może nic się nie stało? Może po prostu opuścili bazę, prowadząc jakieś badania, są w tej chwili cali i zdrowi na drugiej półkuli i pracują w pocie czoła? Nie. To jednak było niemożliwe. Pojechaliby, nie przekazując żadnej wiadomości? Nikogo na posterunku? A Trip? Czy on tak zwyczajnie odleciał, pozostawiając załogę na pastwę losu? Nie, nie! Tutaj coś się wydarzyło. Coś bardzo niedobrego. Byłem o tym przekonany. Odkąd ludzie wylądowali na białych skałach i piaskach Armii, nie stało się tu nic groźnego. Dotąd na Irmie nie było żadnej strzaskanej maszynierii ani ofiar w ludziach, nie powstały legendy o jej badaczach, nie krążyły mrożące krew w żyłach opowieści. No, może poza tym huraganem, który zresztą oszczędził ludzi. Teraz ofiara już jest. Trip.

Pas lądowiska powiększał się teraz z dużą szybkością. Statek pędził w poziomie, po poduszce pola, wprost ku zaporom hamującym i boi zamykającej pas wraz z dwoma potężnymi łapami chwytaczy, przypominającymi olbrzymie cęgi. Trzy krótkie szarpnięcia targnęły korpusem i kleszcze chwytaczy przyjęły ciężar Pioniera, podprowadzając jego dziób ku tulei

korytarza, wybiegającego ze stacji na pasy lądowiska. Oczekałem jeszcze chwilę, nie wyłączając wizji. Nie dostrzegłem żadnego ruchu. Czuję, że na tej stacji nie ma żywego człowieka. Normalnie już od godziny wszyscy byliby w komplecie, niezależnie od tego, gdzie i jakie badania prowadziliby, i teraz w okienkach korytarza, ciągnącego się w obie strony od dzioba mojego statku, ujrzałbym twarze członków załogi. Nie było tam żadnych twarzy. Wstałem.

W korytarzu nie paliły się światła. Zapomniałem latarki, musiałem więc posuwać się po omacku, rozważając, czy nie należałoby po nią wrócić. W końcu zadecydowałem, że nie. Poprawiłem tylko skilary na nosie i ruszyłem ku wylotowi, jarzącemu się świetlistym blaskiem. Kiedy dochodziłem już do tego jasno oświetlonego miejsca, światło przede mną nagle zgasło, a rozpało się za mną. Zdjąłem z ramienia miotacz i odbezpieczyłem. Wyglądało na to, że ktoś specjalnie gasi lampy przede mną, a za mną rozpala, podświetlając moją sylwetkę.

— Makong?!! — krzyknąłem w ciemność. — Jest tam kto?

— ...kong! ...est ...am ...to! — przedrzeźniało mnie echo.

Odruchowo wytarłem dłoń o nogawkę kombinezonu. Niedobrze — pomyślałem — pocę się. Trzeba zawrócić, inaczej ze strachu zastrzelę pierwszą napotkaną osobę.

Zawróciłem. Tym razem nie zapomniałem już o niczym. I znowu ta sama historia ze światłem. Gdy tylko opuściłem korytarz, za moimi plecami rozbłysły żarówki, a przede mną zapadła ciemność. Co u diabła? — zastanawiałem się, stanąwszy w pół kroku. Zrobiłem krok do tyłu. Magiczna strefa została przekroczona. Światło przede mną znów rozgorzało pełnym blaskiem. Fotokomórka została przestawiona. Tylko po co? Włączyłem latarkę i ruszyłem przed siebie. Gdyby ktoś zaczął się w głównym tunelu, opasującym całą stację, mógłby mnie przedziurawić jak tarczę strzelniczą. Pierwszym pomieszczeniem, do którego wszedłem, była sala łączności. Kiedy przekroczyłem jej próg, światło właśnie zgasło. Nie znajdę sposobu na mijanie fotokomórek. Trzeba je koniecznie przełączyć. Za pomocą latarki trudno będzie rozemnieć się w sytuacji. Wyszedłem, kierując się do podziemi, gdzie mieścił się rozrząd systemu energetycznego i rozdzielniki sieci elektrycznej. Bez trudu odszukałem czarne, prostokątne pudełko zasilania fotokomórek. Podważyłem pokrywę. Wystarczył jeden rzut oka. Kable były przemienione. Wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk i odkręciłem śruby. Szło mi to niesporo, ale nie miałem pod ręką lepszych narzędzi. Starannie dokręciłem końcówki i schowałem scyzoryk. Załatwione. Wyszedłem z podziemi. Mogłem już zgasić latarkę. Wróciłem do sali łączności. Nic ciekawego, dyspozycje pozostawione automatom standardowe, poza tym żadnych śladów.

W ciągu tego samotnego tygodnia zlustrowałem wszystkie pomieszczenia, zajrzałem za każdą półkę. Nie udało mi się wpaść na żaden trop. W pokoju Makonga, na stole, znalazłem notatki z rozpoczętego ostatnio eksperymentu. Przeczytałem tylko nagłówek: *Eksperyment 6 645, seria G. nr 67. Pożywki z chlorella irmanis. należące do kolonii bakterii podstawowych.* Nie szperałem zbyt w tych naukowych sprawozdaniach. Przejrzałem tylko zapisy dziennika, który znalazłem w laboratorium Makonga. W dzienniku stacji notowano dzień po dniu kolejne eksperymenty, rozkład zajęć i inne uwagi. Zapisy urywały się na szesnastym stycznia bieżącego roku, a więc cztery miesiące temu. Zabrałem dziennik do swego pokoju, który przygotowałem w jednym z nie zagospodarowanych pomieszczeń. Stacja była zaprojektowana przyszłościowo. Mogło w niej żyć i pracować jednocześnie czterdziestu ludzi. Nie istniała do tej pory potrzeba wykorzystywania wolnych pomieszczeń, ale zawsze stały gotowe, tak na wszelki wypadek.

Ostatnia załoga przyleciała tu trzy lata temu. Zmiana była przewidziana co cztery lata, tak więc za rok dopiero upływał termin odlotu. W skład zespołu Pioniera 26 wchodziło sześć osób, trzech mężczyzn i trzy kobiety. Makong — dowódca wyprawy, wysoki mężczyzna o przyprószonych siwizną włosach, poprzednio pracował w Europejskim Centrum Badań nad

Irma, znany teoretyk, brał udział w trzech wyprawach stykowych. Trip — pilot i technik, konserwator urządzeń stacji i jej wyposażenia. Aster — biolog, młody jeszcze i niedoświadczony badacz. Praca na stacji była pierwszym krokiem w jego naukowej karierze. To samo dotyczyło młodej fizyczki z Azji, Tei. Pozostałe dwie kobiety — Dia i Kora — miały doświadczenie i staż równy Makongowi. Obie były geologami, pracowały w Akrańskim Instytucie Badań Geologicznych Army.

Niecierpliwie przerzuciłem kilkadziesiąt pierwszych stron dziennika. Interesował mnie tylko ostatni rok. Właściwie trzy miesiące, poprzedzające ostatni zapis. Zatrzymałem się na dacie czternastego października. Notatki prowadzone były suchym, zwięzłym stylem starego naukowca. Makong uważał formalność prowadzenia dziennika za zbyteczne obciążenie, więc starał się poświęcać jej jak najmniej czasu. W jego przekonaniu jedynym pożytecznym zajęciem była praca naukowa. W tej sytuacji niewiele mogłem się po dzienniku spodziewać. Przewracając kolejne kartki nie zauważyłem niczego ciekawego. Wszystko, o co mi chodziło, znajdowało się dopiero na trzech ostatnich stronach. Dziesiątego stycznia Makong zanotował, że Kora i Aster nie powrócili z terenu eksperymentalnej uprawy, położonego w strefie umiarkowanej. Ich nadajniki przestały reagować na sygnały i wszelki ślad po nich zaginął. Szukanie ich za pomocą sond nie dało rezultatów. Także i następnego dnia nie natrafiono na żaden ślad. Makong zlecił automatom przeszukanie terenu i po raz drugi wysłał sondy. Dwunastego stycznia zniknął Trip. Prowadził poszukiwania zaginionych w rejonie płaskowyżu Miranda. Ostatni odebrany od niego meldunek brzmiał: „Kieruję się na północny wschód. Samopoczucie złe. Żadnych śladów”. Makong nie tracił zimnej krwi. Wydał polecenie zabraniające opuszczania stacji i jej najbliższych okolic. Od trzynastego stycznia nikomu nie wolno było odchodzić poza pole ochronne. Tego samego dnia wieczorem nie zjawiała się na wspólnej kolacji Tea. Automaty przekazały sygnał naruszenia pola, nie mogły jednak zatrzymać człowieka. Natychmiast rozpoczęto pościg. Ślad urywał się w okolicach jeziora Oro. Makong w sprawozdaniu zaznaczył: *Ślady stóp Tei, odcisnięte w mokrym gruncie, urwały się na wysokości Cypla Trzeciej Ekspedycji. Wyglądało to tak, jakby od tego miejsca rozplynęła się, czy wzleciała w powietrze.* Notatka kończyła się uwagą o pogorszeniu widoczności. Makong i Dia powrócili do bazy. W promieniu czterdziestu kilometrów automaty przeczesały teren, w którym zniknęła Tea. Urwany ślad nie odnawiał się nigdzie. Przeszukano też dno jeziora. Maszyny nie wykryły niczego, co mogło choćby przypominać człowieka. Dalej Makong informuje, że przez dwa następne dni przebywali z Dią w bazie. Zahermetyzowali pole. Nie wpuściłoby teraz nikogo, kto usiłowałby się dostać do wewnątrz. Również i powracających członków wyprawy, ale w zaistniałej sytuacji było to jedyne rozsądne wyjście. Dia widziała jeszcze drugie, mianowicie start. Makong wahał się. Zapis z szesnastego stycznia był najkrótszy: *Kłótnia z Dią. Poleciała na tereny uprawy. Ciągle nie wraca. Zostałem sam. Pogorszenie widoczności.* Na tym kończyły się notatki.

Nie znalazłem na stacji nic więcej, co mogłoby wyjaśnić tragedię, jaka się tutaj rozegrała. Wszystko zastałem tak, jakby ci ludzie mieli powrócić za kilka minut. Fajka Tripa leżała nabita na biurku w jego pokoju, łóżko było rozgrzebane, jakby przed chwilą wstał. Przy łóżku na podłodze książka w czerwonej okładce, odwrócona grzbietem do góry. Podniosłem ją. Wiersze. Nie wiedziałem, że Trip interesował się poezją. Przez cały czas krzątały się tutaj automaty. Jeżeli ktoś rzucił na ziemię skrawki podartego papieru, to już ich nie odnajdę. Wszystko było posprzątane. Detektywi z dawnych epok mieli nieporównanie lżejsze życie.

Pozostałe pokoje też wyglądały normalnie. Typowo kobiece mieszkanie Tei urządzone było gustownie, w chłodnej tonacji seledynowozielonej. Pokój może wiele powiedzieć o swym właścicielu. Zdradza tajemnice psychiki. Jego użytkowniczką była chyba samotna, zamknięta w sobie. Nie umiała lub nie chciała się podobać. Żadnych kosmetyków, peruk, rzuconego niedbale szlafroka. Żelazny ład. Zeszyty z notatkami ustawione w równiutkich rzędach na szafce. Z wnętrza tego pokoju wiało pustką. Zupełnie inaczej było u Kory. Barwy

czerwonopomarańczowe, na podłodze długowłosy dywanik, miękkie fotele, toaletka pełna kosmetyków, sześć peruk na stojakach, preparaty odchudzające, hormony. Tak. Kora wyglądała ze zdjęcia na młodą dziewczynę, a przecież miała już 90 lat. Zalotna, o uśmiechu nie pozbawionym uroku tajemniczości. Jakież przeciwieństwo stanowiły te dwie kobiety! Nie wiedziałem, jak one w ogóle mogły się porozumieć. Nagle coś uderzyło mnie w zestawieniu tych dwóch sylwetek. Coś mi się nie zgadzało z dziennikiem. Usiłowałem sobie przypomnieć sposób, w jaki obie zniknęły. No tak, Tea zniknęła z hałasem, zrywając pole, jej ślady urwały się nagle... Kora po prostu nie wróciła i już. Cicho i bezszelestnie. Przypuszczałbym, że będzie raczej odwrotnie. No cóż... Może to tylko przypadek.

Potem wszedłem do mieszkania Makonga, Astera i Dii. Nie znalazłem w nich niczego, co ułatwiłoby mi rozwiązanie zadania.

Wystrzeliłem kilkanaście sond, żeby szukały śladów, spędzałem długie godziny przed ekranem, grzebałem w magazynach, ustalałem ilość zużytych leków, przejrzałem dane kontromedu. I nic. Z dnia na dzień traciłem wiarę w to, że uda mi się znaleźć ślady zaginionych członków załogi Pioniera 26. Na dobre odstawiłem do kąta miotacz i przestałem bawić się pistoletem. Skilary odgniały mi nos, nie mogłem ich zdejmować, bo stacja nie ekranowała. Musiałem w niej nosić skilary, tak samo jak na zewnątrz. W przeciwnym razie widziałbym tylko wielobarwną plamę. Przemierzałem samotnie kolejne pokłady, dalsze korytarze, nowe pomieszczenia, licząc już tylko na łut szczęścia. Szóstego dnia, zaraz po kolacji, wybrałem się do garażu łazików. Chciałem zobaczyć, czy mieli w bazie kopter i czy wszystkie pojazdy są na swoich miejscach. Brakowało jednego łazika. Na podłodze, w pobliżu wylotu gaśnic, w samym rogu leżały czyjeś skilary. Podekscytowany poszedłem szybko do sali łączności. W szufladzie znalazłem sześć par zapasowych szkieł. Każda para była wykonana indywidualnie dla poszczególnych osób. Identyfikacja właściciela porzuconych w garażu skilarów nastęczyła mi wiele kłopotów. Nie dysponowałem metrykami ani żadnymi bliższymi informacjami. Nie mogłem przeprowadzić szczegółowych badań. Pomocne okazały się jedynie zdjęcia holograficzne. Komputer podał mi dwie odpowiedzi. Znalezione skilary należały do Tei lub Dii. Jedna z kobiet opuściła stację bez swoich szkieł. Jak mogło do tego dojść? Miałem wrzecie punkt zaczepienia.

Ostatni dzień mojej samotności spędziłem na odpoczynku, przylotu nowej załogi spodziewałem się wieczorem. Wziąłem kopter i poleciałem nad pustynię. Baza znajdowała się w pasie równikowym, na południe od niej zaczynała się czerwona pustynia Rote Welt, usiana dziwnymi skałkami. Przesiedziałem na tych skałkach całe popołudnie. Robiłem zdjęcia. Kiedyś będę mógł powiedzieć: „Patrzcie, dzieci! Pamiątki z Irmy, a tu tatuś na Irmie jako zwiadowca!”. Stanowczo miałem już dosyć samotności. Dobrze, że przylatywali tamci.

Pionier 28 wylądował wieczorem. Czekałem z nosem przytkniętym do szyby. Ktokolwiek samotnie spędzi w tym obcym świecie choć kilka dni, będzie tak jak ja czekał na ludzi. A jeżeli nikogo nie będzie w korytarzu lub przy boi i chwytaaczach, to znaczy, że nie ma go również gdziekolwiek indziej na planecie.

Rozdział 4

NOWA ZAŁOGA

Otworzyły się drzwi służby. Czuję się dziwnie zakłopotany oczekiwaniem na pierwszą osobę, której zaraz uścisknę dłoń. Brałem już udział w wielu akcjach, ale zawsze były to akcje samotne. W wyjściu ukazał się mężczyzna. Wysoki, o grubych rysach. Skórę głowy pokrywa-

ła mu nieco przerzedzona szczecina. Tak na oko miał około stu lat. To musiał być ich dowódca. Podszedł do mnie niezdecydowanym krokiem.

— Pan jest dowódcą? — spytałem.

— Tak. Elter. A pan to Paf — odparł zmęczonym głosem.

— Musimy porozmawiać.

— Pan chce rozmawiać tylko ze mną?

— Tak byłoby najlepiej.

— Oczywiście, nie mogę się sprzeciwić.

Zrobił pauzę. Nie patrzył na mnie, tylko gdzieś nad moim ramieniem w okno. Znowu odezwała się biologiczna inność. Ta bariera. Wiedziałem już, że z nim niełatwo mi będzie pracować.

— U nas panują inne zwyczaje — powiedział Elter z westchnieniem. — Wszyscy mają równe prawa.

— Pan wie, co tutaj zaszło?

— Wiem, że Trip zwariował.

— To mało.

Przerwałem. Wychodzili inni. Elter wziął na siebie obowiązek prezentacji.

— To jest zwiadowca Paf — oznajmił, wskazując na mnie palcem. — A to — przedstawiał po kolei — Polla...

Była psychologiem, a równocześnie piękną, młodą dziewczyną o jasnych, rozsypanych na plecach włosach. Dalej szła Nora — fizyczka. Z rysów tej kobiety wyczytałem siłę i zdecydowanie mężczyzny. Była w średnim wieku, niebieskie, starannie ufryzowane włosy okalały spokojną twarz fantastycznymi zwojami. Alla, drobna i szczupła brunetka o żywym spojrzeniu, z dołkiem w brodzie, który zdradzał skłonność do śmiechu, zajmowała się geologią.

— A to jest Pax — ciągnął dalej Elter.

— Znam Paxa — powiedziałem, uśmiechając się do znanego ze swej sprawności oblatywacza o kwadratowej twarzy i ufnym spojrzeniu. Tego człowieka nie posądziłbym nigdy o najmniejszą nawet nieuczciwość. W bazie nie było nikogo bardziej łatwowiernego i prostolinijnego, niż pilot Pax. Wyczułem, że to Tarian zdecydował o jego obecności wśród nowej załogi.

— I wreszcie ostatni — rzekł Elter — Tor. Jest biologiem. Pracował tutaj przedtem. To znaczy z poprzednią załogą. Osiem lat temu.

Zaintrygował mnie ten człowiek.

— Byłeś już tutaj? — zapytałem, nie ukrywając zaciekawienia.

— Owszem — odpowiedział, nie wyjmując rąk z kieszeni.

— Myślę, że będziesz mi mógł pomóc w wielu sprawach — stwierdziłem.

— Być może — odrzekł bez uśmiechu.

Z tym też nie pójdzie mi łatwo, to już także wiedziałem.

— Mam jeszcze tylko jedną sprawę — podniosłem głos, żeby przekrzyczeć gwar rozmów między członkami nowej załogi. — Dla was przygotowane są pokoje od ósmego do czternastego. Pomieszczenia, które zajmowała poprzednia obsada, są na razie zamknięte. Ja mam klucz. Jutro udostępnię wam te pokoje, dziś nie starczyłoby mi czasu na zabezpieczenie wszystkich materiałów. A teraz proponuję urządzić wspólną kolację.

— Już się zaczyna — mruknął Tor, ale udałem, że tego nie słyszę.

Kolacja, jak to kolacja. Można powiedzieć, że przebiegła pomyślnie. Specjalnie nikt się do mnie nie odzywał. Elter, wpatrzony w ścianę, żuł syntetyczną rzodkiew. Nie spodziewałem się zresztą niczego innego. Astropolowi nie zależało na tym, żeby patrzeć na mnie sprawiało innym przyjemność. Wiadomo było, że moja obecność tutaj skomplikuje ich życie na stacji. Z drugiej strony mogliby choć trochę być mi wdzięczni.

— Chciałeś ze mną rozmawiać — odezwał się nagle Elter, nie przerywając zucia rzodkwi.

Zawahałem się, czy mówić. No cóż, skoro tego chce... Przez moment zastanawiałem się jeszcze, na ile to zmieni sytuację.

— No dobra — zgodziłem się wreszcie.

Przerwał żucie i spojrzał na mnie zaskoczony.

— Pragnę wam powiedzieć, co już wiem.

Teraz oczy wszystkich zwróciły się w moją stronę.

— A wiem niewiele — ciągnąłem. — Poprzednia załoga stacji zniknęła bez śladu. Od pierwszego dnia mojego pobytu sondy bez przerwy fotografują teren. Ich czujniki nastawione są na wychwytywanie sylwetek ludzkich lub kształtów zbliżonych do naszego sprzętu. W boksie komunikacyjnym brakuje jednego łazika i jednego koptera. Nie dysponuję jeszcze pełnym zestawem zdjęć, ale wiem prawie na pewno, że sondy ich nie znalazły. Nie przypuszczam, żeby wszyscy znajdowali się na którymś z biegunów lub na dnie mórz. Oczywiście mogli zbudować batyskaf, mieli takie możliwości techniczne, ale nie zrobili tego.

— Skąd ta pewność? — spytał z ironią Tor.

— Stąd, że sprawdziłem ostatnie programy technologiczne, jakie realizował tutejszy mózg. Chyba że zrobili batyskaf własnymi rękami. Mogę już mówić dalej?

Spuścił głowę, zmieszany. Dobrze mu tak. Niech wie, że i ja trochę myślę.

— Tak więc, jeżeli oni jeszcze żyją, to ukryli się gdzieś bardzo dobrze. Nie znalazłem żadnych śladów walki ani zwłok któregoś z nich. Poza tym chciałbym wiedzieć — zwróciłem się do Eltera — jakie otrzymaliście instrukcje.

— Normalne — odrzekł beznamiętnym tonem.

Żałowałem, że skilary zasłaniają jego oczy. Lubię patrzeć w oczy człowiekowi, z którym rozmawiam. Kiedy się nie ma kontaktu wzrokowego z rozmówcą, niełatwo wyczuć, czy mówi prawdę i co czuje.

— Powinniśmy zastąpić poprzednią załogę w jej zwykłych czynnościach, jeżeli ty nie zadecydujesz inaczej — wyjaśnił.

— W porządku — powiedziałem. — Jeśli chcesz, możesz zaraz dostać dziennik stacji i wszystkie książki eksperymentów. Ale dziennik chciałbym mieć jutro z powrotem. Może coś w nim przegapiłem...

— Na włączenie się do programu badań potrzeba kilku dni... — zaprotestował Elter.

— Ale ty masz tylko jeden — uciałem może zbyt ostro i napełniłem sobie szklanke różowym mlekousakiem. — Możesz mieć więcej czasu, jeśli intensywnie wykorzystasz dzisiejszą noc.

Zauważyłem, że kobiety poruszyły się niespokojnie i wstałem.

— Uważacie pewnie, że jestem zbyt agresywny? — uśmiechnąłem się słodko do siedzącej najbliżej Nory. — Mój ton pozostawia według was wiele do życzenia? No cóż, taki się urodziłem. Nic na to nie poradzę. A teraz zostawiam was samych. Jutro o szóstej proszę Paxa i Norę do mojego pokoju — zakończyłem efektownie i wyszedłem.

Kiedy szedłem się myć, spotkałem Pollę.

— Idziesz się myć? — spytała, jakby nie widziała ręcznika na moim ramieniu.

— Nie wiesz, jak zacząć? — zaatakowałem.

— Używasz jeszcze czegoś takiego jak ręcznik? — ciągnęła nie zrażona.

— A jakiego koloru masz oczy?

— A co to ma do rzeczy?

— A co ma do rzeczy mój ręcznik? — zatriumfowałem.

— Ty rzeczywiście jesteś gburem — stwierdziła, wydymając wargi.

— I owszem — odparłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi kabiny.

Słyszałem, że puszcza wodę obok. Też się kąpała. Wymknąłem się, nie zakręcając

kranu. Nie chciałem znowu spotkać tej smarkuli. Może sam nie byłem od niej starszy, może i ona nie była taką znów smarkulą, ale w każdym razie miałem na dzisiaj dość rozmów. I pomyśleć, że tak tęskniłem do ludzi.

Obudziła mnie Nora. Otworzyłem drzwi jeszcze nie ubrany.

— Mógłbyś, zwiadowco, być punktualny — powiedziała z wyrzutem, ale bez cienia złośliwości.

— Mógłbym — odparłem zupełnie serio. Jeszcze nie otrząsnąłem się z resztek snu.

— Lepiej weź airrevival.

— Nie chcę. Jestem zupełnie w porządku — mruzczałem, wciągając pomarańczowy dres. Nadajnik i pistolet przymocowałem do pasa. Wydawało mi się, że widok broni ją zaniepokoił. I miałem rację.

— Myślisz, że to potrzebne? — spytała wskazując na pistolet.

— Nie wiem. Wybieram się poza stację. Jeszcze nie opuściłem jej na dłużej od czasu przylotu. Wszystko może się wydarzyć.

— Ależ tutaj nikogo nie ma! — zaprotestowała z lękiem.

— Mówisz, że nie ma? To popatrz.

Wyciągnąłem z pudełka, schowanego pod łóżkiem, skilary znalezione w boksie komunikacyjnym.

— Przecież to skilary. No i co?

— Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Znalazłem je w garażach. Leżały na podłodze. Zostawiła je Tea lub Dia. To nie są szkła zapasowe. Wszystkie sześć par znajdziesz na swoim miejscu.

— Niemożliwe — jej głos drżał.

Jak tacy ludzie mogą zdobywać kosmos — pomyślałem. Ją przeraziło najwyraźniej samo wyobrażenie tego, co się stało.

— Nie jesteś zbyt twarda — powiedziałem, siadając na łóżku. — Wydawało mi się, że masz bardzo wiele cech męskich, ale chyba się pomyliłem, co?

— Nie pomyliłeś się — odpowiedziała już stanowczo. — Co chcesz wiedzieć?

— Chciałbym, żebyś przeprowadziła dokładną analizę. Mam zdjęcia holograficzne tamtej załogi.

— Nie będą potrzebne - - przerwała mi. — Coś jeszcze?

— Czy wiesz może, jak daleko może zajść człowiek bez skilarów?

— No... — zastanowiła się, kręcąc w palcach niebieski lok. — Raczej niedaleko...

— To znaczy?

— Myślę, że najwyżej kilka kilometrów. Trzeba iść przecież na oślep. Tylko przypadkiem można zajść dalej. Samo kluczenie po stacji zajęłoby masę czasu. Chyba że ktoś wskazywałby drogę — potarła nerwowo brodę.

— Dziękuję ci, Nora — powiedziałem. — To wszystko, co chciałem od ciebie wiedzieć.

Była już w drzwiach, gdy przypomniałem sobie coś jeszcze.

— Kiedy będziesz miała wyniki?

— Za kilka godzin — rzekła odwracając się do mnie.

— Jeszcze jedno — dodałem. — Powiedz wszystkim o tych skilarach. Chcę, żeby zdawali sobie sprawę, że nie przyjechali na wakacje.

— Dobrze. Powiem — z tymi słowami wyszła.

Drzwi ledwo się za nią zamknęły, gdy zapukał Pax.

— Wejść! — krzyknąłem.

— Cześć! — Pax już od drzwi witał się ze mną serdecznie.

— Co słyhać w Bazie? — zapytałem z niecierpliwością.

— Nic specjalnego. Selgi poleciał na Ziemię.

— Z jakimś zadaniem?

— Chyba tak — powiedział Pax trochę smutno.

Przypomniała mi się Ziemia i duszne Pantangu, w którym mieszkała Mera. Co teraz robiła ta moja Mera? Pewnie z jakimś znajomym, oczywiście „zwykłym”, a może nie, oglądała spektakl pod tytułem: *Dzika bestia z Białej Gwiazdy*.

— Dawno byłeś na Ziemi? — spytałem miękko, nieoczekiwanie dla samego siebie.

— Niedawno — odparł Pax. — Moje siostry założyły... Założyły hodowlę myszy wyścigowych.

— Czego? — zdziwiłem się.

— No, myszy. Wyścigowych. Mają zamiar otworzyć totalizator. To się nazywa tureckie wyścigi i było podobno popularne w dziewiętnastym wieku.

Roześmieliśmy się obaj serdecznie.

— Tak — stwierdziłem. — Twoje siostry miały zawsze niesamowite pomysły.

Zabrałem plik papierów, których nie oddałem wczoraj Elterowi, oraz klucze od pokoi poprzedniej załogi, w końcu nie miałem tam czego szukać, i wyszliśmy. Korytarze napęniało blade światło brzasku. Stacja nie miała okien. Okna były tylko w korytarzu prowadzącym do węzłów przejściowych na lądowisko. Zrobiono to w nadziei, że uda się dzięki specjalnym osłonom uniknąć koncentracji owych fatalnych fal GSP i zakłóceń wzroku. Pomimo najstaranniejszych wyliczeń nadzieje na rozwiązanie problemu metodą zapór okazały się płonne. Nie zawsze można zlikwidować skutek, choć zna się jego przyczynę, a trudno z nim walczyć, kiedy przyczyna jest nieznana. W sumie nikomu nie zależało na oknach. Można je było w każdej chwili wstawić. To dzięki nim nie odnosiłoby się wrażenia, że mieszkamy w bunkrze.

— Polecimy razem na mały rekonesans — powiedziałem do Paxa.

Uśmiechnął się szeroko.

Dobrze — odparł i zaczął nucić jakąś melodię.

Kiedy kopter zatoczył łuk nad stacją, rzucając wydłużony, pofałdowany cień na jej zjeżone wieżyczki, zaczęła mnie nękać uporczywa myśl, że z tymi skilarami coś nie zostało jeszcze do końca wyjaśnione. Jak to właściwie było? Dia zniknęła gdzieś w pobliżu eksperymentalnych plantacji. Prawdopodobnie ona wzięła drugi kopter. Plantacja znajdowała się daleko, około sześciuset kilometrów na północny zachód od stacji. Droga wiodła przez sawannę. Nie było tam nawet polnej ścieżki. Dla łązika to za trudna trasa. Dia opuściła stację w stanie najwyższego zdenerwowania. Nie doszła do porozumienia z Makongiem. Skoro jednak uważała, że najlepszym wyjściem byłby odlot z Army, to co ją poniosło ku eksperymentalnym uprawom? Tak daleko od bazy. W każdym razie musiała prowadzić jakiś pojazd, obojętne — łązik czy kopter. Bez skilarów rozbiłaby się bardzo szybko. Dia musiała mieć skilary. Mogłem się tego domyślić i bez żadnej analizy.

— O czym myślisz? — zapytał Pax, starając się przekrzyczeć silnik.

— O niczym specjalnym! — odwrzasnąłem.

Spojrzałem na jego opaloną twarz. Miał nikły zarost. Nie musiał się chyba golić co tydzień, jak ja. Gładka skóra marszczyła się jedynie na czole. Swoją drogą, niesamowite były te jego siostry.

— Znasz Pantangu? — zagadnąłem.

— Nie. A powinienem?

— Nie, no skądże.

Roześmieliśmy się obaj. Znowu zacząłem myśleć. Tea. Dlaczego opuściła stację? Uciekła mimo nakazu nieopuszczania bazy. Gonili ją. Zaraz! Omal nie krzyknąłem. Pax spojrzał na mnie kątem oka, spozostzegając, że podskoczyłem na swoim fotelu. Tea także mu-

siała mieć swoje skilary! Przecież na ośle nie mogłaby uciec tak skutecznie! Czyżbym popełnił błąd? Czy znalezione skilary nie należały do żadnej z tych dwóch kobiet? Niemożliwe. W takim razie, jak któraś z nich mogła poruszać się normalnie bez szkieł?

Kopter równo sunął ponad burozielonym przestworem stepu. Z trawy gdzieniegdzie wystrzelały w niebo soczyście zielone balonowce. One rzeczywiście przypominały karnawałowe balony napompowane jakimś bardzo lekkim gazem. Przy najlżejszych podmuchach wiatru sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały się zerwać z kotwiczących je korzeni i ulecieć w chmury. Dalej na północy rozciągały się góry Mastoniego. Właściwie kopce. Idealnie obłe, wznoszące się łagodnymi łukami na ponad dwa tysiące metrów. Do samych szczytów porośnięte gęstym buszem. Słońce stało już dość wysoko i oświetlało góry zza naszych pleców, przyrządzając swym pomarańczowym blaskiem wierzchołki drzew na stokach. Pasma nie miało więcej jak trzydzieści kilometrów szerokości. Po drugiej stronie urywało się nagle przechodząc w płaskowyż, ale o odmiennym niż po tej stronie charakterze. Góry Mastoniego były granicą strefy. Za nimi panował inny klimat. Zieleń miała tutaj tyle odcieni i była tak przedziwnie pierzasta, że kojarzyć się mogła jedynie z gęstymi paprotnikami. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem. Nigdy nie widziałem paprotników. Przez środek płaskowyżu płynęła rzeka o ciemnogrnatowej spokojnej toni. Płynęła łagodnymi zakosami, tocząc swoje wody ku morzu, które trwało gdzieś za horyzontem jako odwieczny cel wędrówki jej nurtu.

Moja lustracja hodowli nie na wiele się zdała. Nie znalazłem nic, co mogłoby mi pomóc. W małym laboratorium, zbudowanym na palach pośrodku jeziora — jaka malowniczość, szkoda, że nie trzeba tam dopływać drewnianą łódką... — pod ultrafioletowymi bombami dojrzewały siewki, właściwie już przejrzałe z powodu długiego braku kontroli. Miksery, młyny, wirówki wykonywały swój codzienny program, nawilżacze skraplały rozległe pola, wszystko toczyło się normalnym trybem. Wydawało mi się, że może znajdę jakieś ślady. Odbicie buta, zgubiony pasek z komputera, rękawicę ochronną, porzuconą między bruzdami. Głupota. Czegóż się mogłem spodziewać? Sam nie wiem.

Zbieraliśmy się do odlotu z niejasnym poczuciem przygnębienia. Nieprzyjemne wrażenie robiła ta samotna budowla na środku jeziora, otoczonego równymi rzędami smutnych, brudnożółtych badyli, poprzedzielanych szerszymi pasmami miedz. Poglębiał je jeszcze bardziej szelest chorągiewek oznaczających poszczególne uprawy i fazy badań oraz szara toń jeziora. Rzuciliśmy sondę na dno, Oczywiście bezskutecznie. Powąłęsałem się trochę po plantacji. Wiatr szeleścił suchymi badyłami. Zdawało mi się, że niepotrzebnie tu przyjechałem. Odlatywaliśmy raczej z ulgą. Pax jeszcze przez dobrą chwilę milczał i miał niewyraźną minę. Nasza plantacja na tle otoczenia była obca.

Jeszcze w powietrzu otrzymałem wiadomość od Nory. Skilary należały do Tei, Nora była tego całkowicie pewna. Stacja przywitała nas ruchem i gwarem. Kipiała życiem. W laboratorium Elter i Alla pracowali podobno od samego rana. Alla wybrała się na rekonesans na południe i przywiozła próbki gruntu z terenu wybranego pod nową hodowlę. Tor porządkował papiery, wyrzucając wszystko z pokoi poprzednich właścicieli na wielką kupę pośrodku korytarza. Polla lustrowała bibliotekę i w ogóle było jej wszędzie pełno. Pozwolono jej na dzień odpoczynku w ramach aklimatyzacji. Buszowała więc po całej stacji, zaznajamiając się z nią dosłownie od podszewki. Zastałem ją w maszynowni, kiedy grzebała w kablach. Bardzo się spieszyła na mój widok.

Po przylocie odpoczywałem chwilę w moim pokoju. Nie wiadomo dlaczego czułem się zmęczony. Czerwone światełko w zakamarkach mojej świadomości zmusiło mnie do połknięcia pastylki, którą wysupłałem z pojemnika na piersi. Potem poszedłem do Tora zapytać go o całą tę ewolucyjną zagadkę. To wszystko było bowiem dla mnie niejasne. Delianin i Paney, którzy prowadzili prace z załogą Pioniera 24, uważali, że jakiś sztuczny czynnik odpowiedzialny jest za zatrzymanie ewolucji na Irmie na takim etapie, w jakim się teraz znajdowała.

Prowadzili prace wykopaliskowe w wyznaczonych miejscach. Szukali śladów jakichś osad, narzędzi, czy choćby szczątków istot, które można by było uznać za myślące. Nie bardzo rozumiałem, co mieli na myśli Paney i Delianin. Czyżby przyjmowali ewentualność ingerencji z zewnątrz? Przecież najinteligentniejszymi zwierzętami Armii były stojaki. Spotykano je ponoć niezwykle rzadko. Dziwne, że ta rasa przewodząca i najinteligentniejsza miała najniższą liczebność populacji. Badania Aspurga wykazały, że najliczniej reprezentowane były gatunki o przeciętnych wskaźnikach przystosowawczych i równie przeciętnym poziomie rozwoju mózgu. Im wyższy poziom inteligencji, tym mniejsza liczba egzemplarzy danego gatunku. Wychodząc z tego założenia, Aspurg przyjął istnienie entropii. Uważał, że Irma degeneruje się z niewiadomych przyczyn. Naukowcy prowadzili teraz spór o powody tej degeneracji. Jedni — jak Delianin i Paney — byli przekonani, że entropia została zapoczątkowana sztucznie, drudzy szukali jej przyczyn w naturalnym środowisku planety. Nikt nie potrafił udowodnić swych hipotez, ani jedni, ani drudzy nie mogli znaleźć owego czynnika, który powodował regres wyższych układów nerwowych na Irmie.

Chciałem zapytać Tora o te stojaki. Może niedokładnie je badano? A może są jakieś zwierzęta głębin? Musiałem się tego dowiedzieć. Teorie są dobre, ale to za mało. Brakowało mi pewności.

Tora zastałem przy pakowaniu rzeczy poprzedniej załogi do plastikowych pudełek, oznaczonych nazwiskami. Te pudełka mieliśmy przesłać na Trytona, stamtąd polecą na Ziemię. Nie ma co, średnia przyjemność dostać taką przesyłkę.

Tor nie zauważył mnie, albo udał, że mnie nie zauważa.

— Chciałem cię o coś spytać — powiedziałem, opierając się o framugę drzwi.

— Ach, to ty — udawał zaskoczonego. — Przepraszam, że cię nie spostrzegłem.

Twarz Tora wydłużyła się śmiesznie. Miał wielką dolną szczękę. Niemalże końską. Wpatrywał się we mnie czarnymi tulejkami swych skilarów.

— Jakie jest twoje zdanie o stojakach? — zapytałem.

— Interesują cię stojaki? — zdziwił się, przerywając pakowanie kolejnej paczki.

— Nie tylko. Interesuje mnie też, czy jest zupełnie pewne, że na tej planecie ewolucja się zatrzymała. A właściwie chodzi mi o taką subtelną różnicę. Czy ona się zatrzymała, czy też się cofa?

— No cóż, według niektórych stanąć w jednym miejscu to znaczy cofać się, i tak by to można ująć w tym wypadku. Ewolucja tej planety zatrzymała się kilka milionów lat temu. Tyle lat wegetują już stojaki. Nie znaleziono inteligentniejszych od nich zwierząt.

— A głębiny?

— Przeprowadzono oczywiście badania fauny dennej wszystkich mórz, ale to bardzo szeroka strefa ekologiczna. Nie znaleziono form o inteligencji powyżej przeciętnej, typowej dla takich zwierząt. Nie możemy wykluczyć, że przez nasze aparaty przemknęły się jakieś niezwykle pojedyncze okazy. Mała liczebność przekreślała szansę ich przetrwania, bo przecież, patrząc na problem statystycznie, można założyć, że są o sto razy rzadsze od stojaków. Stojaki znajdują się na niebezpiecznej granicy. Wyginą w razie niewielkich nawet wahań klimatu. Już w tej chwili rodzi się ich jedynie tyle, ile umiera.

— Na jakim poziomie inteligencji one są, gdyby tak je porównać z jakimś zwierzęciem Ziemi?

— Tak najogólniej można je porównać do naszych prassaków.

— Tor, a co ty sądzisz o przyczynach entropii? — zapytałem, zmęczony trochę tym wykładem.

Spojrzał na mnie uważnie.

— To chyba zbyt otwarty temat — powiedział po chwili.

— Mnie chodzi tylko o jedno. Nie udało mi się doczytać, co Delianin i Paney mają na myśli, mówiąc o ingerencji jakiegoś sztucznego czynnika.

— Twierdzili, że czynnik ten wywołała inteligentna rasa, zamieszkująca kiedyś Irnę. Stąd ta cała archeologia. W dwudziestej piątej wyprawie brali udział prawie sami archeolodzy. Zawiedli się. Teraz uważają, że to mogła być ingerencja z zewnątrz.

Zaraz po tej rozmowie poszedłem do biblioteki. Znalazłem atlas zwierząt Irny. Stojaki były na pierwszej stronie. Piękne, kolorowe zdjęcie przedstawiało je w typowej pozie. Miały nieruchome, spiczaste pyski, potrafiły godzinami stać na jednej nodze, bez najmniejszego drgnięcia. Potem nagle zrywały się do biegu. Biegły bardzo szybko. Odbijały się tylnymi łapami i po długim skoku lądowały na przednich, zadzierając przy tym w górę głowy. Nad wysokimi trawami powiewały tylko niczym chorągwie ich puszyste ogony. Wyglądało na to, że mają za dużo skóry na sobie. Błękitne fałdy przelewały się w biegu, zjeżdżając to na przód głowy, to zupełnie do tyłu. Zadzieranie pyska do góry zapobiegało nasunięciu się skóry na oczy i uszy. Kiedy stały słupka, podobne były do błękitnych piramidek. Cała skóra spływała ku podstawie. Czasem tylko na wietrze powiewały ich osiemdziesięciocentymetrowe uszy, zwisające ku ziemi, porośnięte futrem o trochę innym odcieniu niż całe ciało. Niektóre stojaki dorównywały wielkością krowie, niektóre były natomiast znacznie mniejsze, wielkości owcy. Żywiły się trawą. Jedyne gatunki rodziny prassairmaków. Przeważnie przebywały w tropikach, ale z rzadka spotykało się je i w strefie umiarkowanej, a nawet na obszarach przybiegunowych.

Lekturę przerwał mi gong, oznajmiający kolację. Wchodząc do jadalni zderzyłem się z Pollą. Nie powiedziałem nawet przepraszam, co zapewne pogłębiło jej złe wyobrażenie o mnie. Zauważyłem, że wszyscy są jacyś podnieceni i weselsi niż zwykle. Usiadłem, nie przejmując się tym. Polla przez cały czas kolacji kręciła się niespokojnie w swoim fotelu. Czułem, że chcą mi o czymś powiedzieć, czymś się pochwalić. Czekałem. Jadłem spokojnie kęs za kęsem, nie ułatwiając im rozpoczęcia rozmowy. Wreszcie Tor nie wytrzymał.

— Chciałem cię przeprosić — rzekł. Początkowo myślałem, że nie mówi do mnie.

— Mnie przeprosić? - zareagowałem z opóźnieniem.

— Tak — potwierdził.

— Ja się wcale nic czuję dotknięty — powiedziałem, odkładając łyżkę.

— Ale my wszyscy traktowaliśmy cię niewłaściwie — to już mówił Elter.

— W porządku - stwierdziłem. — Nie ma się czym przejmować.

Przez chwilę zajmowałem się tylko swoim talerzem.

— Słuchajcie — Polla zerwała się od stołu. — Ja mu wszystko powiem!

— Co mi powiesz? — zdziwiłem się i ponownie odłożyłem łyżkę.

Wszyscy, nawet Pax, zachowywali się niewyraźnie.

— Czy to jakiś spisek? — zażartowałem.

— Owszem — rzekła Polla, odgarniając włosy spadające jej na czoło. — Bez twojej wiedzy byliśmy w laboratorium hodowli północnej.

— Co?!! — wrzasnąłem i zerwałem się z miejsca.

— Kiedy byłeś w bibliotece — odezwał się Elter spokojnie — kazałem Paxowi, by tam mnie zawiózł.

— Pax! I ty to zrobiłeś? — powiedziałem zrezygnowanym tonem,

Pax bezradnie rozłożył ręce.

— Aster rozpoczął tam bardzo ważny eksperyment. Musiałem dzisiaj zobaczyć próbki. Jutro byłoby za późno, a obawialiśmy się, że nie pozwolisz nam tam jechać — włączył się Tor.

Usiadłem spokojny już i opanowany.

— No i co? — zapytałem.

— Rewelacja — rzekła Nora. — Chlorella irmanis niszczy wszelkie ziemskie drobno-ustroje chorobotwórcze. Czy jesteś bardzo zły?

— Nie — odpowiedziałem. — Tylko od dzisiaj włączam pole ostrzegawcze.

Po tych słowach podniosłem się i w milczeniu opuściłem jadalnię

Rozdział 5

ZJAWA MAKONGA

Zerwałem się na równe nogi, szukając w ciemnościach skilarów i pistoletu. Kiedy je znalazłem, rzuciłem się do drzwi. Na korytarzu pulsowało czerwone światło, a przeraźliwy jęk syreny odbijał się echem po całej stacji. Zza zakrętu wypadł Elter. Był w samych spodniach. Biegł w stronę dyżurki.

— Co się dzieje? — krzyknął do mnie w biegu.

— Coś naruszyło pole! — odkrzyknąłem, dopinając dres.

W dyżurce stał już Tor. Po chwili zjawiła się zdyszana Nora.

— Gdzie Alla i Polla? — zaniepokoiłem się.

— Poszły z Paxem do boksu komunikacyjnego — powiedział Tor.

— Zamknąć bramy. To stamtąd rozpoczął się alarm.

— Czy to znaczy, że ktoś jest na stacji? — zapytał Elter.

— Niekoniecznie — odpowiedziałem, wyłączając system alarmowy. — Może przestraszył się i pozostał na zewnątrz.

Włączyłem reflektory i zewnętrzne kamery. W jednej sekundzie całe otoczenie stacji zostało zalane światłem. Kamery automatycznie sterowały w stronę ruszających się punktów. Po niecałej minucie zestroiły się na tkwiącej nieruchomo pośrodku lądowiska sylwetce. Stojak wielkości wołu stał słupka na pasie startowym. Kilka metrów od niego sterczał drugi. Nie zmieniały pozycji, mimo oślepiającego blasku.

Wyprostowałem się i odetchnąłem głęboko.

— To tylko stojaki — powiedziałem z ulgą.

— Piękne okazy — zachwycił się Tor. — Może by je sfotografować?

— Chcesz tam wyjść? — zapytałem.

— Aha!

Coś mi mówiło, że nie powinienem mu na to pozwolić.

— Nie. Tor - rzekłem. — Jeszcze nieraz będziesz miał lepsze okazje.

W tej sekundzie, gdzieś z głębi stacji, doleciał mnie histeryczny krzyk kobiety. Zupełnie zdezorientowany wypadłem na korytarz. Odruchowo skierowałem się w stronę boks komunikacyjnego. Wyszarpując zza pasa pistolet, biegłem ku zakolu, za którym znajdowały się schody prowadzące w dół. Stamtąd właśnie dochodził krzyk. Omal nie potknąłem się o Paxa. Leżał na schodach, a z głowy sączyła mu się strużka krwi. Obok skilary, jakby zmiażdżone żelaznym butem. Odbezpieczyłem broń. Wąski tunel skręcał tutaj pod kątem prostym i przechodził w szeroki hol. Zebrałem wszystkie siły i przeskoczyłem tam jednym susem. Pod ścianą leżała Alla. Polla histerycznie krzyczała i rękami zasłaniała twarz. Podbiegłem do niej.

— Co się stało?! — zawołałem dysząc.

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Oderwałem jej dłoń od twarzy, a to, co zobaczyłem, było okropne. Twarz miała strasznie pokiereszowaną, miejscami już siną. Skilary obu kobiet leżały przy ścianie, zmiażdżone w taki sam sposób, jak te, które znalazłem przy Paxie.

— Co to było, Polla? — szarpałem ją za ramię. — Muszę wiedzieć!

Nagle w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się hałas. Jakby ktoś potknął się o jakiś metalowy przedmiot.

— Nic nie widzę — jęknęła Polla.

— Spokojnie, dziecko — szepnąłem. — Nie widzisz, bo nie masz szkieł. Poczekaj tu na mnie.

— Nie! Nie odchodź! — kurczowo szarpnęła mnie za rękaw. — Nie zostawiaj mnie samej! On tylko na to czeka!

— Kto? Polla, powiedz, kto?!!

Milczała.

— Kto na to czeka? — powtórzyłem już spokojniej.

— Ten mężczyzna.

Za ścianą znów rozległ się hałas.

— Nie bój się. Ja zaraz wrócę — uspokoiłem ją i delikatnie oswobodziłem ramię z jej uścisku.

Bezszelестnie, krok za krokiem, posuwałem się do wejścia. Nad drzwiami świecił zielony napis: Magazyn 4. Z magazynu przechodziło się dodatkowym przejściem do pomieszczeń komunikacyjnych. Szarpnąłem klamkę. Nie puściła. Rozpędziłem się i całą siłą naparłem na drzwi. Ustąpiły z trzaskiem pękających framug. Straciłem równowagę, lecz kątem oka zdołałem dostrzec człowieka w srebrzystym kombinezonie, zdążającego ku wejściu do zapasowego tunelu. Był wysoki, raczej chudy. Na głowie miał kask.

— Stój! — wrzasnąłem, wyciągając przed siebie trzymany oburącz pistolet gotowy do strzału. Nie zareagował. Jeszcze chwila, a zniknie mi z pola widzenia.

— Stój!!! — krzyknąłem niemal histerycznie, ale nie dało to żadnego rezultatu. Postać skryła się już za białym, chropowatym murem. Strzelę! — pomyślałem. Ale nie mogłem. To był przecież człowiek. Nie potrafiłem strzelić do niego, nic chciałem nacisnąć spustu. Uniosłem broń. Wystrzał odbił się głuchym echem od ścian pomieszczenia. Pognałem do wejścia, w którym zniknął przybysz. Nogi zaplątały mi się w jakieś sprężyny, wyszarpnąłem je, drąc spodnie. Wreszcie przebrnąłem przez tę zaporę i skręciłem w boczny tunel. Nagle poczułem w skroniach ogłuszający ból. Otworzyłem szeroko oczy. Ktoś zerwał mi z twarzy skilary. Rzuciłem się na oślep do przodu. Pistolet odbił się od ściany, szybując w powietrzu. Chwyciłem dłonią jakiś materiał. Wymierzyłem cios. Moja ręka przeszła jednak pustkę. Poczulem, że coś wykręca mnie z nieludzką siłą, obraca w jakimś niesamowitym piruecie. Przed oczyma wirowały setki kolorowych plam, linii i punktów. Uderzyłem w ścianę z taką siłą, że nie mogłem się już podnieść. Słyszałem jeszcze tylko kroki oddalającego się człowieka i warkot zapuszczanego w łażniku silnika. Byłem bezsilny. Dałem się zaskoczyć jak ostatni nowicjusz. Nie potrafiłem celnie strzelić. Zrobiło mi się słabo i zemdlałem.

Obudziłem się w izolatce. Zobaczyłem nad sobą twarz Nory. Ujrzałem jakieś rurki, pętłące się w zwojach, biel ścian i szemrzący przepływem prądów kontromed.

— Jak długo?!! — krzyknąłem i zerwałem się z łóżka.

Nora przytrzymała mnie i położyła ostrożnie. Poczulem świdrujący ból w krzyżach.

— Co mi jest?

— Spokojnie. Nic poważnego. Dwa dni będziesz musiał poleżeć. Miałeś uszkodzenia narządów wewnętrznych, nadwężony kręgosłup.

Otworzyły się drzwi. Stanął w nich Elter. Za nim pchali się Tor i Alla.

— Jak się czujesz? — zapytał wesoło dowódca. Na jego twarzy malował się uśmiech.

— Czy masz jakieś szczególne powody do radości? — spytałem podejrzliwie.

— Owszem. Za dwa dni będziesz zdrowy, a myśleliśmy, że potrwa to dużo dłużej.

— Odjechał? — zapytałem.

— Odjechał — potwierdził Tor z westchnieniem.

— Jak długo tu leżę? — domagałem się odpowiedzi.

— Kilka godzin — spokojnie stwierdził Elter. — Nie musisz się martwić. On odjechał i chyba tak szybko nie wróci.

— Goniliście go?
— Wysłałem trzy automaty, ale wszystkie powróciły z uszkodzonymi obiektywami.
— Cholerny spryciarz — wymamrotałem. Pozycja, w jakiej leżałem przestała mi odpowiadać. Nora pomogła mi odwrócić się na bok.
— Czy ktoś widział jego twarz? — zapytałem, leżąc już wygodnie.
— Polla widziała — odezwała się milcząca do tej pory Alla. — Twierdzi, że jego twarz wydała się jej znajoma. Niestety, ona jeszcze przez kilkanaście godzin musi poleżeć z opaską na oczach. Przeprowadziliśmy operację. Miała pokaleczoną twarz i uszkodzoną lewą gałkę oczną.
— A Pax? — zapytałem z niepokojem.
— Z Paxem wszystko w porządku — odpowiedział mi Elter. — Był ogłuszony, no i z jego skilarów nic nie zostało. Teraz jest już na stanowisku. Zahermetyzowaliśmy pole i wydałem zakaz opuszczania stacji.
— Co za okropna sprawa — westchnąłem. — Czy to mógł być człowiek?
— To był człowiek — powiedział powoli Tor. — W twojej ręce znaleźliśmy strzęp materiału, który wyrwałeś z jego kombinezonu. Takim materiałem powleka się stroje kosmiczne naszych kosmonautów.
— Więc jednak — szepnąłem.
— Tak — mruknął Elter. — Ale dopóki Polla nie wróci do zdrowia, nie dowiemy się, kto to był.
— Teraz musisz odpocząć — przerwała Nora. — Zaczynasz się ekscytować.
— No to chodźmy — Elter gestem wskazał drzwi pozostałym.
— Zaczekajcie! — zatrzymałem ich. Stanęli w pół kroku.
— Nie mogę przecież tutaj leżeć przez dwa dni! To naprawdę za długo. Musicie mnie wcześniej postawić na nogi.
Elter zawahał się.
— To rozkaz, Elter! — rzuciłem ostro.
Chciał coś powiedzieć. Na sekundę jego twarz skurczyła się w grymasie i pomyślałem, że zanosi się na kłótnię, ale dowódca skinął tylko potakująco głową. Później wszyscy wyszli, zostawiając mnie pod opieką Nory.
Kiedy tylko mogłem jako tako stanąć na nogach, natychmiast poszedłem do Polli. Właśnie zdejmowano jej opaskę. Operacja się udała, ale twarz dziewczyny miała nieco zmienne rysy. Nie odtworzyli jej wiernie. No cóż, na stacji były w końcu poligonowe warunki. Pomyślałem jednak, że i tak komputer mógł się lepiej starać. Zastanawiałem się, dlaczego właśnie ją to spotkało.
— Broniłaś się? — zapytałem, kiedy zakładano jej skilary.
— Tak — odparta. W jej głosie nie było niezadowolenia.
— Możesz otworzyć oczy — powiedziała Nora.
Przez chwilę trwała cisza.
— No i jak? — zaciekawiał się Tor.
— W porządku — odrzekła Polla.
Podsunałem jej pod oczy wizerunki członków poprzedniej załogi.
— Który to?
Bez wahania wskazała Makonga.
— Jesteś pewna? — byłem zaskoczony.
Potwierdziła stanowczo. A więc Makong. Niewiarygodne. Z miejsca nasunęło mi się wiele hipotez. Makong nie zniknął, tylko gdzieś się tutaj ukrył. Znając nasze możliwości, musiał starannie unikać odkrytych miejsc. Może zresztą znajduje się gdzieś w układzie, nie na Irmie? Nie, to nonsens. Przecież statek zabrał Trip.
Moje rozważania przerwał nagle Pax. Wpadł do pokoju zdyszany i podniecony.

— Sondy go znalazły! — krzyknął od progu,
— Kogo? — zapytałem głupio, nic w pierwszej chwili nie rozumiejąc. Wydawało się wprost niewiarygodne, żeby to mogło być prawdą.
— Gdzie? — wrzasnąłem w następnej sekundzie.
— Strefa Jezior — odpowiedział natychmiast Pax.
— Przecież to co najmniej tysiąc kilometrów na północ! — zdumiał się Tor. — Kiedy sondy zrobiły zdjęcia?
— Wczoraj, o godzinie trzeciej pięćdziesiąt pięć.
— Zaraz, zaraz — ostudziłem ich zapał. — Trzeba wszystkie te fakty jakoś uporządkować. Naruszenie miało miejsce przedwczoraj około północy. Tak więc od momentu wizyty Makonga u nas do chwili zarejestrowania jego wizerunku na zdjęciach minęły niecałe cztery godziny. Co jest na tym zdjęciu?
— Łazik — powiedział Pax. — Urządzenia z trudem wykryły go między skałami.
— Makong nie mógł dotrzeć tam tak prędko. To niemożliwe, żeby po bezdrożach łązik poruszał się z taką prędkością. Odkryliśmy nie ten łązik.
— Chciałbym coś sprawdzić — rzucił Elter. — Przejdźmy do sali łączności.

Przejrzałem cały plik zdjęć terenu, na którym znaleziono łązik. Pojazd spoczywał pomiędzy zboczami skalistego pasma, gdzie wody najwyższej położonych w tej strefie jezior odbijały promienie słoneczne, Wcześniejsze zdjęcia nie ujawniły go. Nie dlatego, że technicznie były gorsze. Po prostu wcześniej łązika tam nie było. Powoli zaczynałem dostawać kręćka. Sondy nie uchwyciły momentu przybycia pojazdu. Obejmowały teren swoją obserwacją co dwie godziny. Łazik musiał więc być zarejestrowany na wcześniejszych zdjęciach, wykonanych na terenach graniczących z pasmem górskim. Przecież nie spadł z nieba. Nie powstał z pyłków. Jakoś się tam dostał. Mimo całego wysiłku, jaki włożyliśmy w rozwiązanie tej sprawy, nie posunęliśmy się naprzód nawet o krok. Wydawało się, że łązik nagle się zmateriałizował. Kolejne zdjęcia prezentowały go w całej okazałości.

— Muszę tam jechać — powiedziałem w końcu, nieludzko zmęczony.
— Jadę z tobą — usłyszałem głos Paxa.
— Nie — odparłem, nie patrząc na niego. — Trzeba to załatwić bez zbędnego ryzyka. Muszę go obejrzeć, zanim powtórnie zniknie.
— Uważasz, że jeśli pojedziemy razem, to ryzyko wzrośnie? — Zapytał zaskoczony.
— Tak. Po co mamy narażać się obaj. Mam co prawda do dyspozycji środki nadzwyczajne, ale nie chciałbym tam ruszać z całą potęgą. Miotacze, antymaty i tak dalej. To przesada. Jeżeli nie wrócę, pakujcie manatki. Nie wiem, czego się spodziewać. Tyle tu dziwnych rzeczy, cudownych materializacji i nie mniej cudownych zniknięć, że i ja mogę zniknąć w czasie tej wyprawy. Gdyby tak się stało, natychmiast wracajcie na Ziemię. Rozumiesz, Elter? Tu nie ma żartów. Jeszcze niczego się nie dowiedzieliśmy, a już czwórce z nas groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nie musiałem tego powtarzać dwa razy. Nowa załoga stacji była porządnie wystraszona. Ja też zresztą nie czułem się zbyt pewnie. Nie spodziewałem się wroga tak nieuchwytnego. W dodatku nie rozumiałem powodów całego zamieszania ani celu, jakiemu służyły.

Bazę pozostawiłem daleko za sobą. Właściwie byłem już zmęczony tą całą zabawą. Ktoś mógłby pomyśleć, że rozpala we mnie namiętności, że chęć walki powinna znaleźć w niej swoje zaspokojenie. Niestety. Nic takiego nie miało miejsca. Wróg, którego działań nie można zrozumieć, a jego samego nawet rozpoznać, jest naprawdę męczącym przeciwnikiem. Kiepski chyba ze mnie zwiadowca. Makong przyszedł do nas, a ja nie potrafiłem przemówić mu do rozsądku. Ten łagodny, zwyczajny człowiek zamienił się w bestię. Mógł nie tylko uderzyć, ale i zabić. Może jakiś genialny superas Astropolu umiałby tego dokonać. Ja nie

byłem taki dobry. Zastanawiałem się, czy istota, wychowana w społeczeństwie tak łagodnym jak nasze, może zachować się agresywniej, niż jej to wpojono? Ja sam nie jestem w stanie skuteczniej wykorzystać tkwiących we mnie możliwości genetycznych. Moi wychowawcy byli przecież tak samo łagodni jak wszyscy. Niepokoiło mnie zawsze widmo inwazji, która — jeśliby nastąpiła — rychło zakończyłaby się triumfem napastników. Czy człowiek, który waha się przed oddaniem strzału, mógłby tę naszą cywilizację obronić? Może tak, gdyby napastnikami były trójgłowe algi o odrażającym zapachu i konsystencji, a ja dysponowałbym bronią tak błyskawicznej zagłady, że nie kojarzyłbym chmury parujących potworków z indywidualnym strachem i bólem... Nie potrafiłem tego rozstrzygnąć.

Kopter spokojnie żeglował w chmurach, które niczym różowe, spienione fale zaścielały niebo pode mną. Na wschodzie, daleko ponad tym oceanem widniały śnieżnobiałe wierzchołki gór. Wyglądały jak kamienisty brzeg bezludnej wyspy. Słońce świeciło pełnym blaskiem i przez szyby grzało skórę na mojej twarzy. Skilary gniotły mnie w nos. Te zapasowe nie pasowały tak dobrze. Miałem ochotę zerwać je i gołym okiem spojrzeć na wszystko, co mnie otacza. Zobaczyć, jak naprawdę wyglądają te chmury, te baloniaste drzewa i błękitnoskóre stojaki.

Kopter obniżył lot. Mijałem właśnie pierwsze szczyty. Białe, lodowe nawisy, seraki kapiące soplami w zięjące zleby. Głębokie czarne szczeliny. Dalej pasmo przechodziło w mniej ostre, niższe szczyty, między którymi pojawiały się granatowe oczka jezior. Wiedziałem, że od strony północnej, tam gdzie wysokie góry przechodzą w kopcowate wzgórza, a potem spływają w łagodną, lekko pofałdowaną równinę, jezior jest coraz więcej. Strefa Jezior opasywała całą planetę wzdłuż pięćdziesiątego równoleżnika. Tak z grubsza widoki, które oglądałem, przypominały tutaj krajobraz Finlandii, tylko roślinność była inna. Spojrzałem na ekran namiaru. Czarna kropka punktu, w którym odkryto łązik, znalazła się niemal w środku celownika. Jeszcze bardziej obniżyłem lot. Wkrótce zauważyłem pojazd. Stał, jakby nigdy nic. Przodem opierał się o wielki głaz, który zagradzał mu drogę w dół, ku toni jeziora. Wydawało się, że pozbawiony hamulców stoczył się tutaj z przełęczy i przed zatopieniem uchronił go właśnie ten głaz. Postanowiłem wodować, gdyż lądowanie na kamienistych zboczach sprawiłoby mi dużą trudność. Włączyłem przycisk uruchamiający urządzenia umożliwiające wodowanie. Z sykiem wysunęło się pneumatyczne podwozie. Na szczęście nie było wiatru. Mogłem wodować bezpiecznie i w miarę blisko.

Łazik nie był szczególnym znaleziskiem. Otworzyłem klapę silnika i sprawdziłem numery. Z całą pewnością był to ów zaginiony pojazd. Zastanawiało mnie, kto go tutaj wywlókł. Podejrzywałem w tym jakiś podstęp. Przestałem już wierzyć, że jeżeli coś odkrywamy, to dzięki naszej spostrzegawczości. Raczej wszystko wskazywało na to, że ten łązik łaskawie pozwolono nam odkryć. Kto pozwolił? Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić. Postanowiłem jedno — nie odlecę z Irmy, dopóki nie wykryję przynajmniej części prawdy. Ten łązik nie należał do Makonga. Przyjąłem założenie, że Dia zabrała kopter, a Tea uciekła piechotą. Na tej podstawie doszedłem do wniosku, że jest to pojazd, którym udali się na stację hodo-wlaną Aster i Kora. Co prawda miejsce, w którym stałem, znajdowało się o czterysta kilometrów na północny wschód od plantacji, ale Aster i Kora mieli dosyć czasu, żeby tutaj dojechać. Tylko po co jechali aż tu?

Otworzyłem drzwiczki i pobieżnie przetrząsnąłem schowki. Były zupełnie puste. Na siedzeniach także nic nie leżało. Zajrzałem do bagażnika. Sprzęt zapasowy w nienagannym porządku. Nic więcej. Zatrzasnąłem klapę. Postanowiłem zostawić łązik tam, gdzie go znalazłem i obserwować, co się będzie działo. Miałem nadzieję, że zniknie tak nagle, jak się pojawił. W niszy skalnej w jego pobliżu zamontowałem kamerę tak, aby obejmowała swym zasięgiem możliwie największy teren.

Do bazy przyleciałem późnym wieczorem. Mimo to na stacji nikt jeszcze nie spał. Siedzieli w mesie i dyskutowali. Nie zauważyli nawet mojego wejścia. Brakowało tylko Tora, wywnioskowałem więc, że znajduje się na stanowisku łączności. Ktoś przecież stworzył mi pole. Stałem z boku i zacząłem przysłuchiwać się rozmowie.

— Nie możemy siedzieć zupełnie bezczynnie! — mówił podniesionym głosem Elter.

— Marnują się wszystkie rozpoczęte eksperymenty — dorzuciła Nora. — Przynajmniej część ich trzeba by przenieść tutaj. Zaadaptować kilka pomieszczeń, wydzielić jakiś teren chroniony przez pole. Właściwie przecież tylko Paf jest zajęty. Wszyscy inni trwonią czas.

— Myślicie, że on się zgodzi? — z powątpiewaniem spytała Polla. — Zwłaszcza po tym wypadku? — wskazała swoje oczy, osłonięte skilarami.

— Nie wymagamy przecież żadnych cudów. Przewiezienie próbek jest koniecznością. Przylecieliśmy tu, żeby prowadzić badania. Za to, co tutaj robimy, będziemy odpowiadać przed Radą Nauki. Paf musi nam pozwolić — stwierdziła Nora kategorycznym tonem.

W końcu uznałem za stosowne wtrącić się. Rozumiałem ich doskonale. Mnie samego nieraz przed niebezpiecznymi myślami ratowała intensywna praca.

— Oczywiście, że się zgodzę — rzuciłem od progu.

Popatrzyli na mnie zaskoczeni i lekko zmieszani.

— Słyszałeś wszystko? — zapytał Elter.

— Może nie wszystko, ale wystarczająco dużo — odparłem wesoło.

— A więc zgadzasz się?

— Tak. Ile osób potrzeba, aby cała operacja sprowadzenia hodowli trwała jak najkrócej, i żeby jednocześnie baza nie pozostała bez opieki?

— Wystarczą trzy — rzuciła Nora.

— Ustalcie między sobą, kto pojedzie. Wybierzcie dwie osoby, trzecią będę ja.

Zostawiłem ich, zajętych ożywioną dyskusją. Musiałem się koniecznie przespać. Nie czułem się jeszcze całkowicie wyleczony, miałem lekkie zawroty głowy. Sen zawsze uważałem za najlepsze lekarstwo. Myślami powróciłem na Ziemię, do słonecznego Pantangu. Niestety dręczyły mnie koszmarne sny. Rzuciałem się na łóżku i walczyłem z kimś, kto siedział mi na piersiach, dusił mnie, rozrywał płuca i grzebał ohydnie żyłastymi rękami w sercu, szperał w najdalszych zakamarkach mózgu, wydzierając każdą tajemnicę. Obudziłem się z krzykiem. Nade mną stała Polla.

— Ach, to ty — wyszeptalem, ocierając pot z czoła. Fakt, że była tutaj, uświadomiłem sobie w pełni dopiero po chwili. Otrząsnąłem się.

— Cóż ty tutaj robisz? — zapytałem zaskoczony.

— Mam przecież pokój obok. Krzyczałaś... myślałam, że... — zaczęła nieśmiało.

— To ładnie, że się tak o mnie troszczysz — stwierdziłem sarkastycznie.

— Chciałabym zostać dziś z tobą — niemal szeptała.

— Z gburowatym dzikusiem?!

— Przestań — poprosiła. — Wiesz przecież, że tak nie myślę...

Wsunęła się pod mój koc ruchem węża. Poczułem na piersi dotyk jej delikatnych palców i ciepło oddechu. Zanurzyłem dłoń w puszystych lokach. Dziwnie musieliśmy wyglądać. Para kochanków w skilarach.

Rozdział 6

TELEPORTACJA

Jeszcze kilka minut temu w bazie na Trytonie panował idealny porządek. Nic nie wskazywało na to, że za chwilę rozpęta się istna burza. Holofony ani na sekundę nie przestawały dzwonić, ludzie biegali korytarzami jak opętani, zderzając się i nawołując, przerażone pielęgniarki zbiły się w ciasną gromadkę pod drzwiami pokoju, w którym leżał Trip. Nieustanne wycie syreny alarmowej potęgowało straszny hałas, w którym tupot ciężkich butów mieszał się z siarczystymi przekleństwami. Do izolatki Tripa napchało się chyba dziesięć razy więcej osób, niż mogła ona pomieścić. Popychali się nawzajem i potracali. Krzykami usiłovali dojść do porozumienia, ustalali, kto ma wyjść, a kto zostać, i jak zwykle w takich chwilach klęli na organizacyjny bałagan wszystkich możliwych instytucji.

W tym tłumie znajdował się także Ulm, który próbował zaprowadzić jaki taki porządek. Bez ceregieli wypychał na korytarz wszystkich, którzy wydawali mu się zbędni. Za drzwiami gęstniała z każdą chwilą ludzka cizba. Rozlatywali się pracownicy różnych poziomów i sekcji. Powód tego całego zamieszania był jednak wyjątkowy. Kilka minut temu do pokoju Tripa weszła, jak zwykle o tej porze, pielęgniarka z porcją leków. Po wejściu z przerażeniem stwierdziła, że Tripa nie ma w łóżku. Poszukiwania na całym piętrze nie dały rezultatów, więc z grupą koleżanek przeszukała trzy sąsiednie kondygnacje. Trip zniknął. Zaholofonowano po Ulma, który był osobiście odpowiedzialny za pacjenta. Ulm natychmiast podniósł alarm, kazał zamknąć pola startowe i nadał komunikat o poszukiwaniu Tripa. Ktokolwiek go widział, miał się zgłosić do Ulma. Ale nie zgłosił się nikt.

Teraz Ulm siedział na łóżku swego niesforenego podopiecznego i kiwał głową z niedowierzaniem.

— To niemożliwe — złapał nagle za rękę koordynatora Palsa, który stał najbliżej. — Niemożliwe, żeby go nikt nie zauważył! Człowiek to nie szpilka! Nie może tak zniknąć! Jeszcze na dodatek w białej koszuli do kostek!

— Niech się pan uspokoi, Ulm — koordynator był dobrej myśli. — Przecież na pewno nie wystartował, a więc go znajdziemy. Panowie! Proponuję rozpocząć systematyczne przeszukiwanie pomieszczeń! Czy jest tu Aliar?

— Jestem — odezwał się z tłumy maty człowieczek z szaroczerwonymi epoletami.

— Niech pańscy ludzie obstawią wyjścia bazy i spenetrują lądowisko. Zarządzam też przegląd sprzętu! Zrozumiano?

— Tak jest! — Aliar wyprężył się słuźbiście i wybiegł na korytarz.

— A każdy z panów — Pals zwrócił się teraz do pozostałych — niech zbierze ludzi i przeszuka swój poziom. Nie wolno przeoczyć niczego. Panów również zobowiązuję do przeglądu sprzętu. Chodzi mi głównie o skafandry, butle tlenowe i tak dalej!

Wszyscy ruszyli do drzwi i już wkrótce korytarz zupełnie opustoszał. Skrzypiały nie domknięte drzwi izolatki, poruszane podmuchami wentylatora, na podłodze walały się zgniecione niedopałki.

Lanckorona jest wioską położoną na wyżynach środkowej Europy. Przez pewien czas w XX wieku była popularnym miejscem wypoczynku, mimo że nie znajdowały się tam żadne źródła lecznicze, a serwis turystyczny nie należał do najlepszych. Wioska ulokowała się u podnóża zalesionego stoku. W połowie drogi na szczyt, zwieńczony ruinami zamku, mijało się plebanię. Podobno ten zamek był siedzibą jakichś konfederatów i został zburzony podczas jednej z licznych wojen domowych. Centrum wsi tworzyła zwarta zabudowa złożona z niskich, parterowych budynków z maleńkimi okienkami i potężnymi okapami, dającymi wrażenie podcieni ciągnących się wzdłuż całego ryneczku i główniejszych ulic. Nawierzchnię rynku wyłożono na starą modłę kocimi łbami. Właściwie poza owym ryneczkiem i kilkoma odchodzącymi od niego gwiazdziście uliczkami, wieś składała się z kilkunastu rozrzuconych w lesie pensjonatów. Kiedyś mieszkańcy utrzymywali się tutaj z rolnictwa, teraz wszystkie domy wynajmowano na lato, a część z nich została wykupiona przez prywatne osoby.

Dawniej funkcjonowały we wsi warsztaty drobnych rzemieślników, obecnie prezentowano je tylko jako atrakcję w sezonie. W lutym większość domów stała zamknięta na głucho i cała miejscowość przypominała na wpół obumarłą roślinę. Chałupy o dachach przykrytych grubymi czapami śniegu wydawały się jeszcze niższe i bardziej zapadnięte w ziemię, czarne kwadraty okien nie zapowiadały gościnnego przyjęcia, wystygłe kominy nie sączyły nitek dymu z palonych na kominkach polan. Światło płonęło jedynie w czterech domach, w samym centrum. Trzy z nich zajmowali stali pracownicy przedsiębiorstwa turystycznego, które miało swoją siedzibę w odległym o kilkadziesiąt kilometrów dużym mieście. W czwartym mieszkali goście. Byli to jedyni goście o tej porze roku i przyjeżdżali do Lanckorony na każdą zimę, jak chciała rodzinna tradycja, pielęgnowana przez głowę domu — pana o dużym brzuszku i siwych skroniach. Pan ów większość roku spędzał w dzikich ostępach meksykańskiego i peruwiańskiego buszu, szukając śladów starych cywilizacji. Z zawodu był archeologiem, a z zamiłowania badaczem ksiąg rodowych. Zimą spędzał tutaj, obłożony herbarzami i starymi archiwami, otoczony rodziną. Żona i córka często pozostawiały go w domu samego i przesiadywały po przeciwnej stronie rynku, w domku konserwatora, gdzie zawsze było wesoło i gwarno, gdyż skupiało się tam całe życie towarzyskie tej czterorodzinnej społeczności.

Tego wieczoru, kiedy od odległego o trzy kilometry przystanku szynobusu szedł zaśnieżonym wąwozem samotny mężczyzna, w domku konserwatora wydawano małe przyjęcie w starym stylu. Z tańcami i muzyką z dawnych płyt. Kobiety — żona archeologa, jego córka, dwie córki konserwatora i młoda żona mieszkającego opodal leśnika — przygotowywały kanapki i trunki, przybierały ozdobne owalne półmiski liśćmi przeróżnych roślin, może nie w każdym przypadku pochodzących ze środkowej Europy, ale zdecydowano się na takie małe odstępstwo od kulinarnych tradycji regionalnych. Panowie zajmowali się przystrajaniem wnętrza. Leśnik zawieszał lampiony o bajecznie kolorowych wzorach, konserwator montował urządzenie, które w kulminacyjnym momencie miało sypnąć strugami barwnych ogni w nocne niebo nad Lanckoroną, natomiast technik i jego dwaj synowie wyruszyli do lasu na poszukiwanie oryginalnych drewn. Pobliski stok aż roił się od chrustu, na powalonych pniach leżał grubą warstwą śnieg, przykrywał białą czapą także młode świerczki o ostrych igłach. W lesie było bardzo cicho.

Człowiek idący wąwozem z trudem pokonywał zaspę, stawiając ostrożnie stopy, obute w grube futrzane buty, do których przymarzły grudki śniegu. Z ciężkiego kozucha sterczał jedynie czubek głowy, owiniętej białym szalem, który pod szyją zawiązany był na wielki supeł. Wędrowiec nie myślał o niczym specjalnym, po prostu szedł, zapatrzony w ciemność starego lasu, zasłuchany w głosy odzywających się gdzieś sów. Dotarł do szczytu, skąd otwierał się widok na wieś. Leżała u jego stóp. Zatrzymał się prostując przygarbione zmęczone plecy i głęboko odetchnął. Powoli zaczął schodzić ku wsi. Widział już światelka w oknach domu konserwatora i po przeciwnej stronie rynku, w siedzibie archeologa. Skierował się w stronę tych ciepło jaśniejących w ciemnościach punktów, świadom bliskości celu swej podróży.

Przygotowania do zabawy dobiegały już końca i właśnie przebierano się w przyszykowane na tę okazję stroje. Nastrój wesołego podniecenia opanował wszystkich. Nawet ponurego zazwyczaj leśnika, który teraz śmiał się do rozpuku przymierzając przed lustrem wymyślny kapelusz, skrojony na modłę dwudziestowiecznych nakryć głowy. Dziewczęta upinały ostatnie wstążki, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Ara otworzyła i zamilkła, zaskoczona widokiem obcego człowieka. Zza drzwi powiało chłodem, mroźne powietrze wdarło się do sieni.

— Można wejść? — zapytał mężczyzna.

— Proszę — wskazała nieco zalęknionym gestem wewnątrz domu. — Zaraz poproszę gospodarza.

Gość wszedł do sionki, otrzepując śnieg z futrzanych butów.

— Tu jest wieszak — poinformowała go jeszcze Ara, wchodząc do pokoju. Zatrzymała się zaraz za progiem. Przyłożyła sobie dłoń do czoła, jakby badając temperaturę. Poczula się

dziwnie. Jakby chłód, który wdarł się za przybyszem, zmroził wszystkie dźwięki, przygaśli płonący na kominku ogień. Cały ten wieczór wydał się jej nagle bezsensowny, przyjęcie, zaprojektowane już dawno, sztuczne i nikomu niepotrzebne. Stała na progu pokoju, nie wiedząc, co dalej począć.

Technik i jego dwaj synowie wracali objuczeni pękami chrustu. Na stopniach przed domem otrzepali śnieg z butów i już mieli zapukać, gdy zauważyli, że drzwi są lekko uchylone. Technik pchnął je. Otworzyły się ze zgrzytem nie naoliwionych zawiasów. W sali na dole było chłodno. Ogień na kominku prawie wygasł. W domu panowała absolutna cisza.

— Przecież chyba nie wyszli nigdzie? — odezwał się niepewnie jeden z synów.

— Pójdę na górę — powiedział technik. — Coś się musiało stać, może tam znajdę kogoś, kto mi to wyjaśni.

Wezwanie z Lanckorony okazało się poważne. Siedem trupów w mieszkaniu konserwatora, pracownika biura podróży, które rozporządzało całym miasteczkiem. Inspektor regionalny stwierdził, że sprawa wykracza poza jego kompetencje. Od wielu lat nie zanotowano na świecie podobnego wypadku. Dyżurny strażnik uznał wezwanie z Lanckorony za głupi kawał. Przekonało go dopiero autentyczne przerażenie holofonującego człowieka. Wyruszyli natychmiast, zastanawiając się jeszcze, czy to naprawdę nie jest doskonale zaaranżowany blef. Po drodze do wsi zabrali oficera Astropolu. Astropol był właściwie jedyną instytucją, która miała jakieś takie rozeznanie w podobnych wypadkach. Nikt, poza jego pracownikami, nie stykał się już od dawna z morderstwami czy samobójstwami, a i oni nie mieli zbyt wiele do roboty. Szef Astropolu, Tarian, siedział stale na Trytonie, do pracy na Ziemi wydelegował niewielką jednostkę specjalną. Nie napracowali się ci ludzie. Ostatnie morderstwo zostało popełnione szesnaście lat temu i wtedy do akcji mogła wkroczyć owa Specjalna Jednostka Astropolu. Władze zwlekały zazwyczaj z podaniem informacji o wypadkach nagłej śmierci i toczącym się śledztwie, zbyt silny oddźwięk wywoływały takie sprawy w społeczeństwie ludzi wrażliwych i mało odpornych. Najwięcej ofiar pochłaniał ciągle kosmos, ale na mieszkańcach Ziemi tamte ofiary nie robiły zbyt dużego wrażenia. W kosmosie pracowali ludzie genetycznie przekształceni lub ryzykanci, którzy liczyli się z ogromnym niebezpieczeństwem, od urodzenia wychowywano ich bowiem na jednostki wybitnie odporne psychicznie. Pojęcie walki, bólu i śmierci znali właściwie jedynie pracownicy Astropolu.

Patrol przybył na miejsce tuż przed świtem. Człowiek z SJA nie odezwał się do nikogo przez całą drogę. Wcale nie był przekonany, że w Lanckoronie zdarzyło się to wszystko, o czym słyszał od regionalnego inspektora. Pracował w SJA wiele lat i w tym czasie tylko cztery razy interwencja Specjalnej Jednostki była uzasadniona. Na ogół alarmowano fałszywie. Kiedy przyjmowano informację o jakiejś katastrofie, wzywano SJA, zanim stwierdzono cokolwiek, aby nikogo nie narazić na makabryczne widoki.

Pojazd zatrzymał się przed oświetlonymi oknami budynku w centrum wsi. Słońca jeszcze nie było widać, ale niebo na wschodzie blade już i jego granat powoli się rozjaśniał.

— Zostańcie na razie tutaj — powiedział człowiek z SJA do patrolu i ruszył po stromych schodach do drzwi budynku. Przekroczył próg i wszedł do dużej izby. Znalazł się w pomieszczeniu, w którym miało się odbyć przyjęcie. Przy stole siedziało czterech mężczyzn. Jeden z nich był lekarzem.

— Czekalem na was z niecierpliwością — powiedział do funkcjonariusza SJA. — Ci ludzie są w stanie głębokiego szoku,

Zwiadowca dopiero teraz pojął, że wezwanie było prawdziwe.

— Kto holofonował? — zapytał ostro.

— Ja — odezwał się młody chłopiec, który siedział przy stole z głową wspartą na rękach.

— Jak to się stało?

— Wróciliśmy z chrustem. Drzwi były uchylone. Ojciec wszedł do środka, a za nim brat. Ja zostałem na zewnątrz. Dziwiliśmy się, czemu tak pusto i cicho, bo miało się właśnie zacząć przyjęcie. Do środka wszedłem po chwili, gdy ułożyłem chrust. Ojciec siedział tu przy stole, tak jak teraz. Brat właśnie zbiegał ze schodów, krzycząc: „Wszyscy zabici! Wszyscy zabici!” — i tak wkoło. Okropnie się przestraszyłem. Uciekłem i przez jakiś czas błąkałem się po lesie. Dopiero gdy trochę ochłonałem, wróciłem do domu i połączyłem się ze szpitalem i Inspektoratem. Nie poszedłem na górę. Nie chcę tam iść.

Człowiek z SJA skierował się ku schodom. Był opanowany, wchodził po stopniach powoli. Trupy leżały w równym szeregu, jeden koło drugiego, wzdłuż korytarza. Pięć kobiet i dwaj mężczyźni. Wszyscy mieli popodcinane żyły. Powietrze było ciężkie od zapachu krwi. Nawet on zniósł to z trudnością. Odwrócił się i wybiegł na zewnątrz, gwałtownie łapiąc oddech. Chwilę stał w milczeniu, przechylony przez poręcz schodów. Ekipa, z którą przyjechał, przyglądała mu się bacznie. Opanował się więc całym wysiłkiem woli.

— Idziemy — powiedział twardo. — Psychostymulatory na pełną moc.

Śledztwo powoli postępowało naprzód. Do roboty wzięli się przede wszystkim lekarze, wspierani całym zespołem komputerów i analizatorów. W organizmach ofiar nic stwierdzono żadnych śladów substancji odurzającej. Wykluczono użycie przemocy. Pozostawało przystać na trudną do przyjęcia wersję zbiorowego samobójstwa. Przez długi czas usiłowano tę niesamowitą wiadomość zataić, lecz w końcu prasa dowiedziała się prawdy. Omal nie wybuchła panika. Aby ratować sytuację, zawiadomiono Bazę na Trytonie. Astropol wydelegował Pandyka, aby osobiście zajął się prowadzeniem śledztwa.

Pandyk siedział w fotelu naprzeciw wielkiego, panoramicznego okna, przez które mógł zobaczyć niemal cały pejzaż miasta. Wpatrywał się uważnie w zwieńczenia i liczne kopuły, usiłując dopasować do nich nazwy poszczególnych zabytków. Nieczęsto przyjeżdżał do Krakowa, mimo że tutaj się urodził. Lubił to miasto. Teraz przybył do niego z powodów niestety zupełnie innych niż kontemplowanie piękna krajobrazu. Śledztwo weszło w nową fazę. Kilku pasażerów szynobusu przemierzającego owego wieczoru trasę do Lanckorony zeznało, że na przystanku w Kalwarii, gdzie wysiadało się, aby dotrzeć do miasteczka, opuścił pojazd tylko jeden człowiek. Podali rysopis. Rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Niestety, ślad po tajemniczym przyjeźdźnym zaginął. Pandyk przypuszczał, że obcy skierował swe kroki do Lanckorony. Mało prawdopodobne było jednak, że stał się ósmą, dotąd nie odkrytą, ofiarą tragedii. Z trafieniem na ślad tego człowieka wiązał Pandyk nadzieję wyjaśnienia całej zagadki. Nie mógł dojść przyczyny, która skłoniła siedem dorosłych osób do tak strasznego czynu. W jaki sposób siedmioro ludzi mogło podjąć taką decyzję? Czy możliwe było, że jedna z tych osób skłoniła pozostałe do popełnienia samobójstwa, a następnie sama odebrała sobie życie? Ci ludzie znali się przecież od dawna, a na dodatek za kilka minut mieli rozpocząć wspólną zabawę, zaplanowaną starannie i już przygotowaną. Przecież ich plany nie mogły się aż tak zmienić — z wesołej imprezy w ponure, niesamowite unicestwienie. Czego szukał samotny obcy człowiek? Może zamierzał zatrzymać się gdzieś w okolicy?

Pandyk czekał właśnie na holofon z biura podróży. Musiał odszukać pasażera szynobusu, nawet gdyby się miało okazać, że nie ma on nic wspólnego ze sprawą Lanckorony.

Rozległ się sygnał. Pandyk podniósł się szybko i wcisnął klawisz. Za wielkim oknem zbierały się chmury. Na szóstą po południu zapowiedziano burzę i obfite opady. Na południu, pięćdziesiąt kilometrów stąd, panowała zima: chwycił mróz, z dachów zwisały sopele, a zasy sięgały po pas. Tam właśnie leżała Lanckorona.

— Biuro Podróży „Relax” — zakomunikował uprzejmy głos po drugiej stronie. — Łączę z dyrektorem.

Po kilku modulowanych miauknięciach sygnału odezwał się męski głos.

— Panie Pandyk — zaczął staroświecko. — Mamy już informację, o którą pan prosił. Poszukiwany przez pana człowiek rzeczywiście załatwił u nas formalności związane z wynajęciem domku w Lanckoronie. Przed południem w dniu wypadku otrzymał klucze i miał się zgłosić do naszego pracownika, konserwatora obiektów w miasteczku, wieczorem tego samego dnia. Zarezerwowaliśmy mu miejsce w szynobusie.

— Czy może mi pan podać jego nazwisko?

— Oczywiście. Nazywa się Trip.

Pandyk osunął się na fotel

— Czy pan się nie pomylił? — zapytał.

— Na pewno nie, proszę pana. Eleff Trip, urodzony w Medelinie, w Strefie Amerykańskiej Południowo-Zachodniej.

— Dziękuję — powiedział Pandyk nieswoim głosem i odłożył słuchawkę.

Czy to możliwe — myślał — żeby człowiek, który w tajemniczych okolicznościach zniknął z Trytona, który nie miał żadnych szans dostania się na Ziemię, pojawił się nagle w Lanckoronie? Przyszedł najnormalniej w świecie do biura podróży, jakby wybierał się na wypoczynek? Czy pojawienie się Tripa w podkarpackiej wiosce może mieć związek ze śmiercią tych kilku osób?

Pandyk czuł w głowie coraz większy zamęt. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich ośmiu dni zupełnie przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Począwszy od niespodziewanego przylotu Pioniera 26, a skończywszy na masakrze w tej małej miejscinie. Niezrozumiała była też dematerializacja Tripa i jego niewiarygodne pojawienie się w środkowej Europie. Pandykowi nie mogło się to pomieścić w głowie. Przez kilka krótkich dni dorobił się więcej zmarszczek niż w ciągu dwunastu lat służby w Astropolu i wyglądało na to, że w najbliższym czasie jeszcze mu ich przybędzie. Na dworze, za szklanymi ścianami biurowca rozpadał się grubymi kroplami deszcz. Czarna chmura, uformowana przez Nadbałtycki Ośrodek Pogody, zajęła już połowę nieba. Słońce skryło się za nią i wydawało się, że nadchodzi noc.

Ulm i Gastor przybyli na Ziemię następnego dnia. Kiedy wysiadali na środkowoeuropejskiej stacji strato, nie mogli spodziewać się, że trasa ich dalszego lotu ulegnie całkowitej zmianie. Właśnie odbierali bagaże przy długiej taśmie, płynącej z wnętrza stratolotu, gdy podszedł do nich oficer Astropolu w mundurze z czerwonymi naszywkami SJA.

— Moje nazwisko Abel — zakomunikował. — Porucznik Abel. Polecono mi przewieźć panów do Rejonowej Komendy SJA. Zaszły nieprzewidziane okoliczności.

Bez słowa skierowali się na rzeźnię oświetlony podjazd, gdzie czekał już ich elektrowóz. Trzy długie, ozdobne dysze, sterczące spod stateczników, lekko drżały. Zatrzasnęli drzwi i wóz ruszył, sprawnie prowadzony przez automat. Mijali zatłoczone skrzyżowania, szpalery drzew, uliczne kawiarnie, puste o tej porze roku, chodniki pokryte białym nalotem. Dla Gastora śnieg był zawsze czymś niezwykłym. Urodził się i wychował w Luandzie, w samym sercu Afryki, i aż do pełnoletności śnieg oglądał jedynie w holowizji. To nie było to samo, co zobaczyć go na własne oczy. Miasto usiane białym dywanem wyglądało pięknie.

W komendzie czekał na nich sam pułkownik Owicz.

— Siadajcie, panowie — wskazał energicznie miejsca na wprost biurka. — Zaszły nieprzewidziane wypadki. Nie polecicie do Krakowa, lecz do Nowego Jorku. Trzy osoby w mieszkaniu przy Piątej Alei podcięły sobie żyły.

Rozdział 7

POSZUKIWANIA

Lot strato do Nowego Jorku trwał pot godziny. Ulm i Gastor spotkali Pandyka już na lotnisku. Czekał na przyłot Tariana, który zdecydował się opuścić Trytona i osobiście nadzorować przebieg poszukiwań. Z komunikatu tutejszego Inspektoratu wynikało, że zeszłej doby Eleff Trip wynajął od właścicielki kamienicy przy Piątej Alei mieszkanie. Kobieta ta wraz z rodziną popełniła samobójstwo. Nazwisko pilota figurowało w księdze meldunkowej. Dwóch sąsiadów rozpoznało go na zdjęciach. Z zebranych danych wynikało niezbicie, że Trip pojawił się w Nowym Jorku mniej więcej w tym czasie, w którym zniknął z Lanckorony. Nie dało się oczywiście ustalić tego co do minuty. Ze zgromadzonych w śledztwie materiałów wynikało, że między momentem opuszczenia Lanckorony a czasem przybycia do Nowego Jorku była nie wyjaśniona godzinna luka. Ulm nie wykluczał więc, że pilot przybył do miasta normalną drogą. Lot z Krakowa trwał trzydzieści pięć minut, do Krakowa mógł się dostać szynobusem w ciągu niespełna dwudziestu. W sumie nie zabrałoby to nawet godziny. Pozostawały jeszcze inne drogi. Z Pragi, po drugiej stronie Karpat, lub z Wiednia. Mógł tam dolecieć aero z ostatniego przystanku linii szynobusu na granicy stref. Wszystkie te możliwości należało sprawdzić. Trudność polegała na tym, że potencjalni pasażerowie nie zawsze korzystali z rezerwacji. Właściwie, żeby znaleźć osoby, które widziały Tripa w czasie podróży lub później, trzeba było ogłosić komunikat holowizyjny. W małym pokoiku rejonowego inspektora na Manhattanie długo zastanawiano się nad podjęciem tej decyzji. Komunikat taki byłby dla pilota jawnym ostrzeżeniem o wszczęciu poszukiwań. W końcu rozesłano informacje do jednostek SJA i nadano komunikat. Sytuacja była zbyt poważna, by operować półśrodkami.

Ulm zdawał sobie sprawę, że ta niebezpieczna gra przybiera coraz bardziej zaskakujący obrót. Właściwie nie chodziło już o schwytanie Tripa. Trzeba go było jak najszybciej unieszkodliwić. Dalsze ofiary doprowadziłyby społeczeństwo do stanu trudnej do opanowania psychozy strachu. Bezbronność ludzi, pozbawionych odruchów agresji, stwarzała dodatkowe niebezpieczeństwo. Koniecznie należało rozpocząć starania, które uniemożliwiłyby panikę. Można było oczywiście zastosować środki nadzwyczajne. Masowe zaopatrzenie wszystkich w psychostymulatory i farmakologiczne środki uspokajające. To jednak ostateczność, podjęcie takiej decyzji równało się ogłoszeniu stanu wyjątkowego. Ulm pocieszał się, że nie jest jeszcze tak źle.

W czasie, gdy stacje holowizyjne nadawały komunikat zaopatrzone w zdjęcia poszukiwanego pilota i wzywający do zgłaszania najbliższych nawet informacji, Trip przemierzał równym krokiem centralną ulicę Rio de Janeiro. Poszukiwał nowego celu swej wędrówki. Ostre słońce i upał dawały mu się we znaki. Na skrzyżowaniach pulsowały światła, tłumy przewalały się przez ulice, po autostradach bezszelestnie sunęły sznury pojazdów.

Zastanawiał się, dlaczego nie może być szczęśliwy. Dwukrotnie już próbował przecież osiedlić się gdzieś i wypocząć. Za każdym razem coś nie pozwalało mu zostać tam dłużej. Teraz miał tylko jedno pragnienie — napić się czegoś zimnego. Nie chciał jednak wstępować do żadnej przypadkowej knajpy. Postanowił najpierw wynająć pokój w hotelu. Na rogu ulicy Pizarra minął tłumek wgapiionych w ekran holowizora ludzi i skręcił w wąziutką przecznicę. Nic zwrócił uwagi na jej nazwę. Wystarczyło mu, że na ścianie narożnego domu widniała

wielka strzałka i napis: „Hotel Santa Barbara — 100 m”. Hotelik był mały i nie najwyższej klasy, mieścił się w starym budynku o barokowym wystroju. Trip stanął przed zwałistą ladą recepcji. Nacisnął mosiężny guzik dzwonka. Recepcjonista zjawił się po chwili z przepraszącym uśmiechem.

— Przepraszam, że musiał pan czekać, ale podawali właśnie ważne wiadomości. Poszukują jakiegoś faceta — zakomunikował.

— Chciałem wynająć pokój — powiedział chłodno Trip.

— Dam panu najlepszy. Z widokiem na morze. Pańskie nazwisko?

— Eleff Trip.

— Proszę, oto klucze. Pokój numer 10 — recepcjonista skłonił się usłużnie, z jego twarzy zniknął uśmiech.

Trip nie przejął się tym. Zabrał drewnianą gruszkę z pobrzękującym przy niej kluczem i ruszył po skrzypiących schodach na górę. W połowie drogi przystanął.

— Czy macie tutaj jakiś barek? — zapytał człowieka zza lady, który zajęty był lekturą książki holofonicznej.

Recepcjonista drgnął i z roztargnieniem wskazał kierunek. — Tu, na prawo — powiedział szybko. — Te dębowe drzwi zasłonięte kotarą.

Widok z okna pokoju zaskoczył Tripa swoją wspaniałością. Zalana słońcem zatoka, stoki opadające w wody oceanu, porośnięte zielenią, przetykane amarantem dachówek małych domków, rozsianych w ogrodach. Od morza płynął strumień orzeźwiającego powietrza, przesyconego wilgocią, a piasek plaży wydawał się zupełnie biały, prawie jak śnieg w Lanckoronie. Do tej chwili nie myślał poważnie, żeby tu zostać. Traktował Rio raczej jako etap w swej podróży na południe. Bardzo chciał dotrzeć do Buenos Aires. Poznał kiedyś to miasto. Mieszkała tam kobieta, z którą wiele lat temu było mu bardzo dobrze. Teraz jednak zawahał się, spoglądając w przejrzyste powietrze nad oceanem. Rio de Janeiro jawiło się jako ósmy cud świata, olśniło go niespodziewanie przepychem, opanowało swym urokiem wszystkie zmysły. Wsparty łokciami o parapet okna, ciągle spoglądał na wielkie miasto. Coraz mocniej pragnął tu pozostać,

— Tak. To tu — powiedział do siebie.

Z westchnieniem oderwał się od rozświetlonego pejzażu i po trzeszczących schodach powędrował na dół. Gdy przechodził przez hol, kierując się ku dębowym drzwiom baru, recepcjonista uklonił mu się bardzo nisko. Wewnątrz siedziało kilkanaście osób. Wygodne, miękkie fotele, usłużny barman, cichy szum klimatyzacji, tłoczącej do wnętrza chłodne, pachnące powietrze. Tripowi wydawało się, że będzie tutaj szczęśliwy.

— Otrzymaliśmy wiadomość z Rio — krzyczał do słuchawki Tarian. — Trip prawdopodobnie jest tam, w hotelu Santa Barbara. Trzeba go natychmiast zatrzymać!

— Uważa pan, że należy to zrobić? — odpowiedział Ulm po chwili zwłoki.

— A pan nie?

— Zastanawiam się. Nie mam pewności, czy będziemy w stanie go upilnować. Zbiegł z Trytona. Zdaje mi się, że nie natrafimy na żadne połączenie komunikacyjne, które umożliwiłoby mu tak szybkie przeniesienie się na inny kontynent. Jestem przekonany, że Trip porusza się za pomocą teleportacji.

— Co pan radzi? — głos Tariana był coraz bardziej zaszepcony.

— Ta cała sprawa bardzo się komplikuje. Nie jestem pewny, czy można Tripa traktować nadal jako człowieka. Jednostka ludzka nie ma zdolności teleportacji.

— Sądzi pan, że należy go traktować jako obcy obiekt?

— Nie wiem, co zaszło na Irmie. Do dzisiaj nie mamy stamtąd żadnych wiadomości. Paf nie odezwie się wcześniej, niż za dwa tygodnie. Nie chcę się wdawać w jakieś skomplikowane hipotezy i domysły, ale bez wątpienia ludzie nie poruszają się w taki sposób w prze-

strzeni i w czasie. Nie upilnujemy go. Takie jest moje zdanie.

— Wydaje mi się jednak... — odezwał się Tarian i zamilkł. — Więc uważa pan, że należy Tripa unicestwić?! — krzyknął po dłuższej chwili,

— To byłoby najrozsądniejsze.

— Pan myśli, że społeczeństwo zaakceptuje naszą decyzję?

— Jestem naukowcem i rozpatruję ten problem z punktu widzenia mojej wiedzy. Doświadczenie mi mówi, że nie możemy przeciągać struny. Tyle ja. A unieszkodliwić może go tylko Astropol.

— Musimy połączyć się z Pandykiem.

— Zgoda — odparł Ulm z westchnieniem.

Na połączenie czekali minutę. Obraz na monitorze zafalował i na jego połowie pojawił się wizerunek Pandyka.

— Witam was.

— Padła propozycja unieszkodliwienia Tripa. Wiemy, gdzie jest. Dwadzieścia minut temu wynajął pokój w hotelu w Rio de Janeiro, Decyzję musimy podjąć natychmiast, zanim znowu stanie się jakieś nieszczęście.

— To znaczy, że chcecie go zabić?

— Nie my — odpowiedział Tarian. — To propozycja Ulma.

— Panowie — odezwał się Pandyk zdecydowanym tonem. — Jeżeli go zabijemy, to pozbawimy się możliwości znalezienia odpowiedzi na pytanie, jakie zmiany zaszły w jego organizmie, co umożliwia mu takie przenoszenie się z miejsca na miejsce. Możemy też nigdy się już nie dowiedzieć, co stało się na Irmie.

— Ulm uważa, że trzeba traktować go jak obiekt obcy i wrogo nastawiony.

— I chyba ma rację — stwierdził sucho Pandyk.

— Ja jednak jestem zdania — Tarian starannie dobierał słowa — że należy spróbować go złapać i przewieźć z powrotem na Trytona. Astropolowi nie wolno pochopnie podjąć decyzji zabicia kogokolwiek, To, że tylko my jesteśmy upoważnieni do zrobienia tego, nakłada na nas wielką odpowiedzialność, wymaga głębokiego zastanowienia. Jeśli nie istnieje taktyczna konieczność obrony, nie możemy stosować środków ostatecznych.

— Róbcie, co chcecie!!! — wybuchnął nagle milczący do tej pory Ulm. — Chyba całkiem potraciliście rozum! Chcecie ryzykować kilka czy kilkanaście następnych ofiar, bezbronnych ludzi, dla jakichś tam naukowych celów i szczytnych ideałów Astropolu! Zasłanianie się ideałami poznania za wszelką cenę i nieprzekraczalnością granic obrony koniecznej, nie bacząc na to, że ofiarami będą nie tylko ci unicestwieni, ale ich bliscy, całe ich otoczenie i te setki i tysiące ludzi, którzy dowiedzą się o tragedii. Czy nie zdajecie sobie sprawy, jakie skutki wywoła to w psychice ich wszystkich? Ja nie pozwalam na podjęcie tak pochopnej decyzji! Musimy włączyć do dyskusji Gastora, Demisa i Palsa!

— Tylko Gastora — odezwał się Tarian zrezygnowanym tonem. — Na łączenie się z Trytonem nie ma czasu.

Wokół hotelu nagle zrobiło się rojniej. W najbliższych uliczkach nie można było znaleźć miejsca na zaparkowanie elektrochodu. Rejonowy inspektor Nik Soper, odziany w sezonowy uniform — biały kapelusz z szerokim rondem i białe, obcisłe spodnie nad kolana — stał w holu hotelu Santa Barbara i rozmawiał z pracownikiem recepcji. Trip od kilku minut siedział spokojnie w barze i popijał mrożony cocktail. Po ulicy, przed barokową fasadą budynku, spacerowało wielu jednakowo ubranych mężczyzn z dziwnie wypchanymi kieszeniami bluz. Inni, zaczajeni na pobliskich dachach, za roletami prywatnych mieszkań, za żaluzjami sklepików bacznie obserwowali otoczenie hotelu przez pobłyskujące w słońcu lornetki. Nik Soper po raz pierwszy brał udział w takiej akcji i nie czuł się pewnie. Na podobne okoliczności był przygotowany wyłącznie teoretycznie. W dalekiej perspektywie ulicy Pizarra mknął

już biały elektrochod łącznika. Dysze pojazdu opalizowały w słońcu. Po kilkunastu sekundach z cichym sykiem wyhamował za rogiem. Człowiek, który z niego wysiadł, energicznie ruszył w kierunku hotelu. Na jego widok Soper przerwał rozmowę i wyszedł na środek holu.

— Zaczynamy — powiedział cicho łącznik. — Mamy go dostarczyć bezpośrednio na lotnisko.

— Tak jest — odrzekł inspektor Nik Soper i dał znak swoim ludziom.

Akcja trwała kilkanaście sekund. Siedmiu mężczyzn biegiem wpadło do wnętrza hotelu. Soper podprowadził ich do dębowych drzwi zasłoniętych kotarą. Wszedł pierwszy. W barze panował dziwny nastrój. Ludzie spoczywali w swych fotelach zupełnie nieruchomo, stwarzali wrażenie zahipnotyzowanych. Ruchy ich rąk były automatyczne, unosili kieliszki do ust i odstawiali je z powrotem w jakimś upiornym, powolnym tempie. Soper od razu rozpoznał Tripa. Pilot był jedynym człowiekiem, który zachowywał się normalnie. Wskazał go zwiadowcom SJA. Szczęknęły kajdanki, nim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje.

— O co chodzi? — krzyczał przerażony pilot, — Co to znaczy?!!

Sprawił wrażenie kompletnie zaskoczonego. Wyprowadzono go z trudem, wierzgającego i bez przerwy domagającego się wyjaśnień.

Inspektor Soper poczuł niebywałą ulgę. Ulgę i jednocześnie wielkie zmęczenie. Coś bardzo przygnębiającego było w tej całej akcji. Nie cieszył się, że udało mu się ująć tego groźnego człowieka.

Zwiadowcy wpakowali Tripa do elektrochodu i pojazd z gwizdem syreny ruszył w kierunku lotniska. Siedmiu ludzi, którzy pojмали pilota, jak na komendę usiadło na krawężniku przed hotelem. Byli wyczerpani. W barze wszystko wracało powoli do normy. Nik Soper obserwował, jak ustają rytmiczne ruchy rąk gości. Jakby budzili się ze snu. Wstawali i rozglądali się niepewnie wokół siebie. Wracali stamtąd, skąd nikomu przed nimi nie udało się powrócić. Inspektor wezwał służbę medyczną i poprosił obecnych o podanie personaliów, gdyby okazali się potrzebni SJA. Tłumek przed hotelem zaczął się rozrzedzać. Opustoszały sąsiednie dachy i ulice. W okolicy zapanował spokój.

— Mówiłem, że to bezsensowne! — Ulm był wściekły. — Teraz radźcie sobie sami! Sami zlikwidujecie bałagan, któregoście narobili!

— Wydaje mi się, wbrew temu, czego oczekiwaliśmy, że postąpiliśmy słusznie — Tarian mimo zdenerwowania usiłował zachować zimną krew. — Trzeba było spróbować tej szansy.

— Tarian ma rację — poparł go Gastor.

— Nawet jeżeli teraz zginą następni ludzie? — krzyczał Ulm.

— Ale dzięki naszej akcji mamy pewność, że jest już tylko jedno wyjście.

— Ja tę pewność miałem dużo wcześniej! — Ulm nie mógł się uspokoić. — Ofiary będą na pewno! Łatwo jest znaleźć ślad w wielkim mieście, ale co będzie, gdy on pojawi się na przykład w jakiejś wiosce w Tasmanii?

— Dostyc, panowie! — przerwał ostro Tarian. — Nie po to was tu prosiłem, żebyście się kłócili. Sprawa zlikwidowania Tripa nie nasuwa już żadnych wątpliwości. Proponuję ponowić komunikat. Nadawać go co dwie godziny przez całą dobę i podać w nim całą prawdę do wiadomości publicznej.

— Nic wydaje mi się to rozsądne — zaoponował Ulm. — Po co powiększać zamieszanie? Ludzie i tak są dostatecznie przerażeni.

— Uważam, że tylko takie postawienie sprawy pomoże zmobilizować społeczeństwo i uświadomi mu istniejące w tej chwili zagrożenie. Wezwiemy Selgiego. To potrwa co prawda kilka godzin, ale będziemy mieli pewność, że Trip przestanie istnieć. Na tym możemy zakończyć.

Tarian podniósł się z fotela i starannie złożył dokumenty. Pozostali uczestnicy dyskusji

wstali również i powoli kierowali się w stronę drzwi. Ulm podszedł do milczącego od dłuższej chwili Gastora.

— Czemu jesteś taki ponury? — zapytał, biorąc go pod rękę.

— Nie wiem — Gastor westchnął. — To wszystko budzi mój sprzeciw.

— Chcesz powiedzieć, że masz opory?

— Tak. I to ogromne — powiedział Gastor zmęczonym głosem.

— Ale to przecież już nie człowiek! To nie pilot Trip, którego znaleźliśmy! Teraz możemy o nim powiedzieć: „obiekt Trip”.

— Ulm, czy człowiek, który zachoruje, przestaje być człowiekiem?

— Ale to nie jest choroba. To głębokie, biologiczne przekształcenie jego struktury.

— Przecież na Trytonie nic nie wykryliśmy!

— Zaniechaliśmy przeprowadzenia testów komórkowych, bo Trip najwyraźniej wracał do zdrowia. Wydaje mi się teraz, że proces owych przekształceń postępował równolegle wraz z odzyskiwaniem sił fizycznych. Im lepiej dbaliśmy o niego, tym szybciej przemieniał się w to, czym jest dzisiaj. Pamiętasz te opóźnienia i zmiany w działaniu leków, na które obaj zwróciliśmy uwagę?

— No tak. Mówiliśmy wtedy o jakimś zakażeniu.

— Tam nic było żadnego zakażenia. Leki działały inaczej, bo z innymi strukturami miały do czynienia. Ich działanie hamował ten sam czynnik, który przebudowywał organizm Tripa, formował nowe jego właściwości. Możesz spać spokojnie, Gastor. Poza zewnętrznym wyglądem pilot Trip nie ma już chyba nic wspólnego z człowiekiem.

— A jego świadomość? — Gastor przystanął. Żółtawe światło rzucało na jego twarz cień i ostro podkreślało zmarszczki. — Przesłuchiwałem taśmę nagraną podczas aresztowania w Rio. Ten człowiek był zupełnie nieświadomy! Nic nie rozumiał! Nie zdawał sobie sprawy, co powoduje swoją obecnością! Wołał o sprawiedliwość!

— Ja nie twierdzę, że działał świadomie — Ulm zatrzymał się również. — Ale czy jesteś przekonany, że jego świadomość, to świadomość człowieka? Czy na podstawie wykrzykiwanych przez niego słów możesz z całą pewnością powiedzieć, że... Zresztą co to ma za znaczenie! Decyzja została podjęta! Nawet jeżeli on jest człowiekiem, to stanowi zbyt wielkie zagrożenie dla innych. Dawniej nie istniały takie problemy. Takich jak on skazywano na śmierć, a jeżeli byli chorzy, izolowano na całe życie w zamkniętych zakładach i wszyscy uważali to za słuszne. To dopiero nasze społeczeństwo, łagodne i ufne, stworzyło inne metody. Pytanie tylko, czy na pewno lepsze?

— Ale... — usiłował mu przerwać Gastor.

— Wiem, co powiesz! Że może uda się go izolować? Tak, pewnie by się udało, ale nie ma już na to czasu. Zanim wymyślilibyśmy odpowiednie zabezpieczenie, byłoby grubo za późno. Nie wolno nam podejmować takiego ryzyka, Gastor. Musimy go zabić.

Następna wiadomość spadła na Astropol jak grom. Prędkość, z jaką Trip się przemieszczał, i spustoszenia, jakie czynił, były zaskakujące. O godzinie szesnastej odkryto zbiorowe morderstwo w Akrze. Czternaście osób, oglądających występy baletu w lokalu „Ariada” popełniło samobójstwo wraz z grupą tancerzy. Razem dwadzieścia cztery ofiary. W dwie godziny później na pokładzie kutra w małej miejscowości na północy Europy, w Lundig, znaleziono sześcioro ludzi z poprzecinanymi żyłami. Wszyscy już nie żyli, gdy kuter wpływał do portu.

Przy ekranach, nadajnikach i receptorach nasłuchu czuwał teraz nieprzerwanie cały sztab ludzi. Nie lekceważono żadnej informacji o pojawieniu się kogoś, choćby tylko podobnego do Tripa. Brygady kontrolujące pozostawały w stałej gotowości. O dziewiętnastej wyładował w Warszawie Selgi. Był wyborowym strzelcem o stymulowanej hormonalnie, zwiększonej agresywności. Ciągły trening doprowadził ciało tego człowieka do odporności nie

spotykanej wśród normalnych ludzi, a zaprogramowane wcześniej i stale doskonalone cechy jego umysłu sprawiały, że był zwiadowcą niezwykle groźnym, bezbłędnym i beznamiętnym.

Teraz czekano już tylko na informację o miejscu pobytu pilota Tripa. Społeczeństwo było na granicy paniki. Ulice opustoszały, ludzie wracali z najdalszych zakątków, by te ciężkie chwile spędzić z rodzinami, matki nie pozwalały dzieciom wychodzić z domów. Uczucie zagrożenia potęgował fakt, że Trip zawsze pojawiał się znienacka i równie nagle znikał. Nikt nie był pewien, czy następny cios nie dosięgnie jego i jego rodziny. Apteki masowo wydawały psychostymulatory i środki uspokajające, po wyludnionych dzielnicach miast krążyły w pełnym uzbrojeniu oddziały SJA.

Następny meldunek nadszedł z Australii. Jakaś kobieta zauważyła Tripa na ulicy i natychmiast zawiadomiła inspektorat. Na miejsce podążył najbliższy patrol. Zidentyfikowano poszukiwanego w pobliskiej jadłodajni i od tego momentu zwiadowcy stale już podążali jego tropem. Zawiadomiono Sztab Operacyjny i natychmiast lotem strato przywieziono Selgiego do Melbourne. Dom, który mu wskazano, leżał na odludziu i był zupełnie opuszczony. Rodzina, która go zamieszkiwała, zaraz po pierwszych wypadkach przeniosła się do znajomych w Sydney. Trip siedział w parterowym pokoju tego domu od kilkudziesięciu minut. Zwiadowcy, obserwujący go, twierdzili, że nie wychodził. Selgi oddalił ich. Musiał zostać teraz sam. Poprawił pistolet w kaburze i wyszedł zza drzew. Od domu dzieliło go kilkanaście metrów. Przygotowywał się do strzału, śledząc poruszający się za szybami cień. Wtem szerokie parterowe okno otwarło się z trzaskiem i stanął w nim Trip.

— Selgi! — zawołał z radością, — Chodź, stary! — pilot Pioniera 26 zbiegł z hałasem po schodkach, otwierając drzwi. Selgi wzmocnił psychostymulator i ruszył mu na powitanie.

— Skąd się tu wziąłeś? — pytał Trip, podając mu rękę.

— Nie wiesz? — zwiadowcy nie było zbyt wesoło.

Trip popatrzył na niego uważniej,

— Może wejdziesz? — zaproponował nieśmiało.

— Wejść — powiedział ciężko Selgi.

Stanął naprzeciw siebie w ciemnym salonie na parterze, wiatr stukał otwartym oknem. Zwiadowca Selgi zrobił coś, co było zupełnie niezgodne z planem akcji. Zapytał;

— Czy ty coś z tego pojmujesz, Trip?

— Coś zaczynam rozumieć. Słyszałem komunikaty i później przemówienie Tariana. Ja nie pamiętam, żebym zrobił to wszystko, o czym on mówi! Wierzysz mi?

Ręce Tripa wczepiły się w bluzę Selgiego. Musiał przy tym wyczuć pistolet, bo odepchnął zwiadowcę.

— Więc po to przyszedłeś — stwierdził ciężko. — A ja się zastanawiałem, skąd się tutaj wziąłeś.

— A ty skąd się wziąłeś w tym domu i w tym kraju?

Trip potarł nerwowo czoło.

— Więc nie ma wyjścia?

— Nie ma — ton Selgiego był znowu zimny i beznamiętny.

— Ułatwię ci to — rzekł pilot, odwracając się do niego plecami.

— Nie musisz — powiedział Selgi i strzelił. Kula weszła na wysokości łopatki i Trip ciężko upadł na podłogę. Nie dowierzając własnym oczom zwiadowca patrzył, jak ciało pilota znika, dematerializuje się, rozpada. Został sam w pustym domu.

Zwłoki Tripa znaleziono na jednej z ulic Tokio i w hermetycznym pojemniku przetransportowano na Trytona.

Rozdział 8

ZNIKNIĘCIE

Z trudem posuwałem się szaroniebieskim zboczem. Promienie słońca drobnymi plamkami rozświetlały drogę przede mną, ale niewiele mi to pomagało. Z rozgrzanych liści spiralnie unosiła się do góry para, gromadząc się pod gęstymi koronami drzew. Moje ubranie przypominało brudny, namoknięty ręcznik, oklejało mnie lepкими fałdami. Szedłem już osiem godzin. Nie czułem rąk, pokrwawionych cierniami wysokich, nie znanych mi roślin. Po czterech godzinach od momentu wymarszu z bazy trafiłem pośród traw na niewielkie oko mętnej wody. Jakieś długonogie owady snuły się po jego powierzchni i od czasu do czasu śmigał przez nie pies wodny, zapadając w niebieskie poszycie brzegów. Nie przypuszczałem, że tak może wyglądać umiarkowana strefa jakiegokolwiek planety.

Pozostawiłem bazę samotną, na pastwę losu. Nie było w niej nikogo. Kiedy wróciłem wczoraj koło południa z próbkami z terenu hodowli, zastałem bazę taką, jaką teraz opuściłem. Ciche, ciemne korytarze i pustka.

Przy bajorku pośliznąłem się i o pień drzewa stłukłem zegarek. Nie wiedziałem, jak daleko do zmroku ani kiedy w tym lesie, przypominającym amazońskie puszcze, osaczy mnie ciemność. Zupełnie straciłem głowę. I tym razem nie wywiązałem się z zadania. Ruszyłem śladem łązika, który wypatrzyły automaty. Tor jego dotychczasowej jazdy lśnił czerwoną krechą na mapie, nad pulpitem komputera i deską rozdzielczą. Bez zastanowienia poszedłem tym tropem, nie wzięwszy nawet broni. Nie podjąłem żadnej próby analizowania sytuacji. Chciałem wreszcie dopaść swojego przeciwnika, który czaił się gdzieś, a tymczasem nie znałem choćby jego wyglądu.

Raz po raz w lesie trzaskały gałązki. Na łązik natknąłem się niespodziewanie na skraju zarośli, pod kępą „kapiących drzew”. To był ten sam pojazd. Miał jeszcze gorący silnik i ciepłe siedzenia. I nagle zauważyłem błysk. Błysk, który jak zwodniczy ogień wciągał mnie coraz dalej i dalej, aż do miejsca, z którego nie potrafiłem już wrócić. I wtedy, gdy podniosłem głowę znad owego lustra zielonkawej, glonistej wody, zamajaczył mi gdzieś po lewej stronie jakiś, rozdzielony siecią gałęzi na fragmenty, ruchliwy cień. W pierwszej chwili pomyślałem, że to stojak, ale zaraz zorientowałem się, że one nie przekraczają granic lasów. Mógł to więc być jedynie niebieski kombinezon. Serce zadrzało mi na tę myśl. Kto? Polla? Nora? Tor? Szybko ruszyłem w tamtym kierunku. Znów błysnęło i zatrzeszczały łamane gałązki wiciowiklin. Ten rozbłysk mógł pochodzić od czyichś skilarów albo od szkiełka zegarka. Miejsce, ku któremu zdążałem, pozornie wydawało się łatwo dostępne. Wysoką skarpe o niemal pionowej ścianie zasłaniał gęsty, puszysty pióropusz bananid. Ich ostre, łamliwe włoski połączone z jadowymi gruczołami potrafiłyby niezłe zaszkodzić zdrowiu człowieka, gdyby nie chronił go kombinezon. Przejście tą drogą było zbyt ryzykowne.

Zaprzagnąłem nagle znaleźć się na otwartej przestrzeni. Tam, gdzie trawy sięgają najwyżej kolan i wypalona ziemia nie pozwala roślinom rozrastać się tak bujnie. Gdzie wiatr rozwiewa opary, a ciągły przewiew odświeża człowieka podczas jego wędrówki. Miałem dość bujnej roślinności, łodyg oplatających ramiona, gęstych lian utrudniających przejście i grząskiego, mulistego podłoża, w którym przy każdym kroku nogi zapadały się po kostki. Przymknąłem oczy i oparłem się bezwiednie o gliniastą skarpe. Pod powiekami pojawił się obraz przyrody łaskawej i życzliwej człowiekowi. Łąka, o której marzyłem, stała się niemal

realna i z trudem przekonywałem sam siebie, że to tylko wytwór mojej wyobraźni. Otworzyłem oczy. Przez tę chwilę nie myślałem zupełnie o człowieku, który niedawno zniknął mi z pola widzenia. W końcu przewyciężyłem niechęć i ruszyłem ku obniżeniu skarpy. Byłem już bardzo zmęczony. Obraz rozmazał się jakoś i zamglął. Przetarłem szkła i poprawiłem je na nosie. Teraz kontury zobaczyłem z całą wyrazistością, zamglenie ustąpiło.

Dopiero po piętnastu minutach dotarłem do miejsca, gdzie ujrzałem błysk. Na czworakach przeczesywałem teren, usiłując wypatrzeć jakiś ślad. Rozgarniając ostre trawy, cał po calu, przeszukiwałem okolicę w promieniu kilkunastu metrów. Musiałem wiedzieć, kim jest ten człowiek! Musiałem! Zastanawiałem się, czy to była w ogóle realna istota, czy zjawa? Czy to był Makong? Nie znalazłem nic prócz nadłamanej gałązki. Pot łał się ze mnie strugami. Ciągłe, wszechobecne parowanie tętniącej życiem puszczy zapierało dech. Pomyślałem, że bardzo mało tu tlenu. Nigdy wcześniej nie widziałem tej okolicy. Znałem ją wyłącznie ze zdjęć.

Zniechęcony usiadłem w jakiejś kałuży. Woda w niej była zupełnie przezroczysta i stała nieruchomym lustrem. Nachyliłem się. Ujrzałem swoją twarz, dziwnie nabrzmiałą, niesamowitą, z lornetami skilarów zamiast oczu. Długo wpatrywałem się w ten obraz. W końcu zauważyłem coś zaskakującego. Jak olśnienie dotarł do mnie widok odbitego w dnie kałuży śladu ludzkiej stopy. Nachyliłem się gwałtownie, mącąc lekko wodę. Odczekałem niecierpliwie kilka sekund, aż wzniecony moim ruchem muł opadnie z powrotem. Ślad był zupełnie wyraźny! Ludzka stopa! Tylko dłaczego, u diabła, nie obuta? Człowiek, który tu stanął, był mężczyzną. I to potężnym mężczyzną. Gdybym znalazł choćby jeszcze jeden odcisk tej stopy w innym podłożu, potrafiłbym określić wagę człowieka, który tędy przechodził. Dla porównania postawiłem moją nogę obok odbicia tamtej. Mój ślad był mniejszy i wyraźnie płytszy. Kto mógł być cięższy ode mnie? Raczej nikt z obecnej załogi. A więc Makong. Skąd się tu wziął? Gdzie przebywa, skoro nie pojawia się na stacji? W jaki sposób przetrwał? Nagle opanowało mnie przerażenie. Poderwałem się z miejsca i ze ściśniętym ze strachu gardłem ruszyłem na oślep przed siebie, rozdzierając rękoma lepką gęstwinę.

Ciągle szedłem do przodu. Teraz zmęczenie dotkliwiej dawało się odczuć, a nerwy coraz bardziej odmawiały mi posłuszeństwa. Wciąż na nowo musiałem sobie uzmysławiać, że przecież jestem zwiadowcą, że przygotowano mnie na takie ewentualności. Usiłowałem sam siebie przekonywać o swojej sile, by zupełnie w nią nie zwątpić, nie stracić wiary w to, że przetrwam. Jeżeli jest w moim organizmie bariera, która do tej pory ograniczała moje poczynania, to w pewnym momencie, mam nadzieję, ustąpi. Bo przecież muszę przetrwać! Takie założenia towarzyszyły mojej misji. Ten moment najwyraźniej jeszcze nie nadszedł, bo nie odczuwałem w swojej psychice żadnych zmian, poza natarczywymi impulsami rejestrowanymi gdzieś w podświadomości, które kazały mi wciąż czerpać z kieszeni na piersiach środki wzmacniające i pobudzające. Czy ten stan wyczerpania, nerwowości, strachu, jaki mi teraz towarzyszył, został przewidziany? Ta planeta przecież do niedawna była zupełnie bezpieczna! Nie spodziewano się tak ciężkich warunków i może dlatego wysłano mnie, a nie kogoś takiego jak Selgi. Selgi strzelał szybciej niż myślał. Czy wszystkich wywabiono ze stacji tak jak mnie? Nie. zdążyłem nawet wypuścić sondy z wiadomościami. To był chyba mój największy błąd. Czy możliwe, żebym popełnił tyle błędów? Coraz mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że jakiś obcy, silny czynnik miał wpływ na moje postępowanie. Od kilku godzin towarzyszyło mi nieustanne wrażenie nacisku na mój system nerwowy. Fakt, że potrafiłem się spłoszyć, biec na oślep, jechać tropem łazika bez chwili zastanowienia, zapragnąć czego innego, niż tylko rozwiązania postawionej przede mną zagadki, dawał wiele do myślenia. Przestałem się pocieszać wyimaginowaną barierą, która miała zniknąć w decydującej chwili.

Zmrok zapadał szybko. Ściemniało się z minuty na minutę. Wstałem. Postanowiłem iść bez względu na wszystko. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Oddech za oddechem. Bezmyślne, automatyczne przebijanie się przez gęstwinę. Nie wiem, jak długo szedłem. Głośne

trzaski gałęzi przestały rozpraszać moją uwagę. Po prostu maszerowałem. W końcu, zupełnie nieoczekiwanie, las się skończył. Stałem zaskoczony. Rozejrzałem się niepewnie wokoło i zobaczyłem łazik. Coś we mnie pękło, zacząłem się śmiać jak opętany. Klęcząc na jednym kolanie, rechotałem coraz głośniej. A więc przez cały dzień, padając ze zmęczenia, kręciłem się w kółko. Ogarniały mnie wątpliwości i przeżywałem stany depresji w odległości kilkuset metrów od mojego łazika, który mógł mnie zawieźć w bezpieczne miejsce w ciągu pół godziny. Nagle przestałem się śmiać. Zrobiłem się podejrzliwy. Ktoś lub coś trzymało mnie przecież na tym odludziu. Dlaczego. W jakim celu? Napięcie wracało niczym narastająca fala. Zerwałem się z ziemi i popędziłem do pojazdu. Gwałtownie ruszyłem i łazik z miejsca rozwinął maksymalną prędkość. Wracałem do bazy najszybciej, jak tylko mogłem. Dałbym wszystko, żeby być tam już, w tej chwili, a najlepiej jeszcze wcześniej.

Dojechałem w środku nocy. Reflektory po raz ostatni podskoczyły na piaszczystej muldzie, omiatając białym światłem wieżycę stacji, silnik zamarł. Łazik przetoczył się jeszcze kilka metrów i stanął na betonowej płycie przed budynkiem.

Przez całą drogę rozmyślałem nad sytuacją. Postanowiłem przestudiować wszystkie notatki, jakie zrobiłem do tej pory. Miałem niejasne przeczucie, że coś przeoczyłem. Wciąż zresztą liczyłem na powrót wszystkich członków nowej załogi w komplecie i w zdrowiu. Łudziłem się, że po przyjeździe zastanę ich zajętych zwykłymi sprawami, ale już w momencie, w którym zobaczyłem zabudowania, wiedziałem, iż tak nie jest. Baza, nie oświetlona i z wyłączonym polem siłowym, sprawiała wrażenie martwej. Kiedy wszedłem do środka, oświetlając sobie drogę nahełmową latarką, zrozumiałem jaki był cel tej całej akcji, w którą pozwoliłem się wplątać kilka godzin temu. Zacząłem przypuszczać, że moja samotna wyprawa w rejon upraw była przez kogoś podstępnie zaaranżowana. Stacja została doszczętnie zdemolowana. Pojazdy stały w służbie z porozbijanymi maskami, strzaskanymi reflektorami, zupełnie jakby ktoś walił w nie kilofem, na odlew i na oślep. Pokruszone cewki i przewody, płyty pamięci, pogruchothane ciężkimi butami, zaścielały cały dolny poziom, zaczynając od sali komputera, a kończąc na korytarzu obwodowym. Poszedłem do podziemi, gdzie znalazłem całkiem zdemolowany rozdzielnik sieci i zdruzgotany generator. Biegałem po stacji coraz szybciej, nie wierząc własnym oczom. Serce biło mi gwałtownie i coś ścisnęło krtań. Wyszedłem na piętro, do laboratoriów. Schody zasypane były strzępami materiału, papierami podartymi na drobniutkie konfetti, szkłem. Tak jak się spodziewałem, laboratoria zostały doszczętnie zniszczone. Zupełnie jakby ktoś wsadził tu czerpak koparki, nabrał czego się dało i spuścił z dużej wysokości. Jeszcze jakiś dymek o jadowitej woni wydostawał się gdzieś z dna, to efekt przypadkowej reakcji pomieszanych odczynników. Dalej szły nasze pokoje. Rozprute łóżka, wybebeszone fotele, podarte kombinezony, książki z biblioteki zsypane w ogromny stos na środku. Najgorsze jednak dopiero na mnie czekało. Sala medyczna. Rozbity w drobny mak kontromed. Wszystkie leki zmieszane w gigantyczny cocktail leżały w przesklonym holu pod umywalkami przytwierdzonymi, jedna obok drugiej, do ściany. Lustra zaścielały podłogę zgrzytliwym dywanem. Usiadłem ciężko na brzegu pozbawionej wnętrzości sofy i opanowała mnie kompletna martwota. Jakbym umarł wraz ze stacją. Jakby każdy cios zadany jej przez nieznanego przeciwnika był ciosem zadany mnie samemu. Nie upilnowałem jej. Nie potrafiłem ubezpieczyć załogi. Dałem się ponieść nierozsądnym projektom i równie lekkomyślnie jak załogę, zaprzepaściłem teraz stację. Nie zdążono tego zrobić wcześniej, więc wywabiono mnie zwodniczym śladem łazika. Nie mogłem sobie samemu tego wszystkiego wytłumaczyć. I nagle ogarnęło mnie przeczucie jeszcze okropniejsze. Natychmiast poszedłem długim korytarzem ku bojom lądowiska. Baza pozbawiona była energii, więc gdybym chciał startować, musiałbym ręcznie zwolnić chwytaki. Nie pamiętałem, gdzie znajduje się korba, ale zauważyłem ją natychmiast, gdy tylko dobiegłem do pierwszego stanowiska. Stał tam Pionier 28, a miejsce, w którym powinna znajdować się korba, osmalone żarem wybuchu, przypominało skład złomu. Wyrzutni nie dało się uruchomić. Strzelnice były

rozbite. Nic mogłem wystać już nawet sondy. Z bijącym sercem zbliżyłem się do mojego Pioniera. Ujrzałem rzecz zadziwiającą. Korba, zwalnająca chwytaki mego statku, pozostała nie naruszona. W pierwszej chwili poczułem wielką radość. Kamień spadł mi z serca. Lecz w sekundę polem podejrzliwość wróciła ze zdwojoną siłą. Dlaczego akurat mój luk pozostawiono w spokoju? Bez wątpienia było to działanie celowe. Ktoś z myślą o mnie nie uszkodził uchwytów mego statku. Czyżby przewidywał moją podróż? A może miał nadzieję, że przerażony odleczę? Nie, teraz właśnie nie mogłem odlecieć. Nie mogłem zostawić tego wszystkiego w takim stanie. Przecież nie znalazłbym żadnego wytłumaczenia. Spaliłbym się ze wstydu, nie mówiąc już o tym, że groziłby mi Trybunał. Wiedziałem, że trzeba wyjaśnić sytuację. Choćby częściowo, odnaleźć chociaż ślady zaginionych. Postanowiłem wyjść na zewnątrz. Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie wolno mi się poddawać.

Kiedy przekroczyłem próg głównego wejścia, usłyszałem jakieś szmery za plecami. Przystanąłem. Właściwie to przerażony przywarłem do ściany, z trudem hamując odruch ucieczki. Ktoś był w stacji. Znowu nie miałem broni. Pomyślałem, że za pomocą jakiegoś automatu mógłbym może chociaż, częściowo zabezpieczyć stację przed wizytami nieproszonych gości. Z wnętrza nieustannie dochodził hałas. Bezszelestnie posunąłem się w stronę stacji. Ostrożnie stawiałem kroki w ciemności. Podkręciłem pasmo podczerwieni w skilarach. Krok za krokiem, omijając skrzętnie zaścielające podłogę odłamki szkła, szedłem w stronę niepokojących dźwięków. Hałas wcale nie cichł. wręcz przeciwnie, nieustannie potężniał. Teraz ktoś przewracał metalowe puszki, ze zgrzytem przesuwiał stoły i łomotał pojemnikami. Czy nie spodziewał się mnie w stacji, czy też po prostu nie lękał się spotkania ze mną? Za najbliższym zakrętem mieściło się pomieszczenie laboratorium biologicznego i właśnie stamtąd bił ostry blask. Człowiek, który buszował w środku, czuł się zupełnie swobodnie. Poprzez szurania i stukoty przebijała się chwilami nucona pod nosem melodia. Nigdy jej nie słyszałem, ale cóż to miało za znaczenie. Nie słyszałem wielu melodii. Nie interesowała mnie specjalnie muzyka. Za to głos, który nucił, był głosem znajomym. Zbliżyłem się do drzwi jeszcze bardziej. Tylko krok dzielił mnie od progu. Zawahałem się. A jeśli będzie uzbrojony? Mam wpaść i wpierw go powalić, czy też nie? W końcu zrobiłem ten jeden krok. Człowiek stał odwrócony do mnie plecami, schylając się nad czymś, co leżało na podłodze. Pod sufitem płonęła żarówka. Nie miałem pojęcia, jak zdołał uruchomić tylko ją jedną. Chrząknąłem. Odwrócił się spokojnie, jakbym go zupełnie nie zaskoczył. To był Elter. Spojrzał na mnie i wrócił do swego zajęcia. Coś było nie w porządku z jego twarzą, ale nie dotarło to do mnie od razu. Nie zdążyłem mu się dokładnie przyjrzeć.

— To ty? — powiedział.

— Tak.

Byłem już spokojny i przygotowany na wszystko.

— Co się tu stało, nie wiesz? — zapytałem lekko.

— Wiem tyle co ty, albo i mniej — nadal się nie odwracał.

— A gdzie reszta?

— Reszta z piątki? — odezwał się kpiącym tonem.

Żart wydał mi się zupełnie nie na miejscu.

— Wiesz, gdzie oni są? — kontynuowałem.

— Przypuszczam, że nie znajdę tego, czego szukam. Tak. Na pewno nie znajdę.

W tym momencie odwrócił się i zauważyłem natychmiast tę zmianę w jego twarzy, która już wcześniej mnie zaniepokoiła. On nie miał skilarów. Byłem tak zaskoczony, że zauważył to i przyjrzał mi się czujnie.

— Coś nie w porządku? — zapytał.

— Nie — odparłem zmieszany. — Wszystko dobrze. A z tobą?

— Również — znów wrócił do przerwanej czynności.

— Dobrze widzisz? — nie mogłem się powstrzymać.

— Oczywiście — odparł lekko zdziwiony. Przerwał przekładanie odczynników, jakby to zajęcie straciło sens.

— Chodź — powiedział do mnie. — Coś ci pokażę.

— Coś ważnego? — zaniepokoiłem się.

— Wysypisko.

— Jakie wysypisko?

— Sam zobaczysz. Trafiłem na nie przypadkiem.

Wyszliśmy z budynku na rozległy plac. Elter skierował się na zachód. O nic nie pytając, posuwałem się za nim, przygotowany na niebezpieczeństwo. Przeszliśmy tak około pięciuset metrów. Tuż przed nami zamajaczyła zniecka duża hałda. Odcinała się czarnym stożkiem od rozgwieżdżonego nieba.

— To wysypisko — odezwał się Elter.

Podszedłem bliżej i pochyliłem się, aby rozpoznać zgromadzone tu przedmioty.

— Ależ to automaty! — wyrwało mi się.

— Rzeczywiście — stwierdził, przypatrując się bacznie powyginanym, żelaznym truchłom. — Może to lepiej?

— Jak to lepiej! — krzyknąłem. — Zachowujesz się jakoś dziwnie!

Nie odpowiedział nic, tylko zaczął obchodzić hałdę.

— Nie interesuje cię los twojej załogi? — wrzasnąłem za nim.

Zatrzymał się.

— Interesuje — stwierdził stanowczo. — Ale właściwie co ja tutaj robię? Ty nie jesteś członkiem mojej załogi. Ich tutaj nie ma. Chciałbym ocalić choć jeden automat.

— Ocalić? - zdziwiłem się. — Automat?

— A ty co? — podniósł nagle głos. — Myślałeś, że będziemy gołymi rękami pracować?! Nie zastanawiałeś się, jak to zrobimy? Dlaczego to zrobimy?

— Ale co mamy zrobić? — krzychałem zrozpaczony absolutną niemożliwością nawiązania z nim kontaktu.

— A bo ja wiem?

Przystanął, jakby tknięty nagłą myślą.

— Nie wiem — powtórzył jeszcze raz i zamilkł. Machnął ręką. — Coś mi się poplątało.

— Tak? Co? — zdecydowany na atak zrobiłem krok w jego stronę. — Czy nie poplątało ci się czasem rozum?

Wściekłem się już ostatecznie.

— Czy ty nie widzisz tego wszystkiego, co nas otacza? — wrzeszczałem. — Tej zdemolowanej stacji? Tej pustki?! Nie widzisz, że sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, jest nienormalna?!

— Co ty mówisz? — nie mógł mnie pojąć.

Wydawało mi się, że zupełnie postradał zmysły.

— Więc idziesz? — zapytał.

— Dokąd? - odpowiedziałem pytaniem.

Machnął tylko ręką i ruszył w swoją stronę. Przystanął jeszcze na moment i odwracając się rzucił przez ramię:

— Tylko w takim razie nie próbuj iść moim śladem.

W pierwszej chwili chciałem go zatrzymać, potem tropić, ale kiedy w końcu ruszyłem za nim, okazało się, że rozpląnął się w ciemnościach niczym cień i nie pozostał po nim żaden ślad. Byłem już tak zmęczony dzisiejszym dniem, że nawet pięć adrenoli nie zdołałoby mnie pobudzić. Wróciłem na stację z przecuciem, że zainteresują się mną wcześniej czy później. Teraz przynajmniej miałem pewność, że gdzieś tutaj żyją i zapewne są zdrowi. Elter nie potrzebował skilarów. Ruszał się pewnie i widział wszystko!

Znalazłem pokój, który nie był zdewastowany. Ocalały dwa z tych, które stały do tej

pory zamknięte. Postanowiłem zrobić w nich kwaterę główną. Tuż przed zaśnięciem spróbowałem zdjąć skilary. Przyszło mi do głowy, że jeżeli nie są potrzebne Elterowi, to może i ja mogę się bez nich obyć. Ale w mojej sytuacji nie zaszły żadne zmiany. Kiedy otworzyłem oczy, pozbawione ochronnych szkieł, roztańczył się przed nimi istny fajerwerk, dynamiczna spirala miotających się barw, ognie na obrzeżach, falujące w rytm mojego oddechu skurcze przestrzeni, nieregularne odbłyски powielonych przedmiotów — tylko tyle. A więc warunki obiektywne były takie same jak przedtem. Co się stało z oczami Eltera? Coraz więcej zagadek domagało się wyjaśnienia. Jego dziwne zachowanie i niespodziewana ucieczka całej załogi. Niezwykle zaćmienie, jakie ogarnęło mnie, gdy wróciłem do opuszczonej stacji. I nagle przypomniałem sobie rozbite skilary. Widocznie nie były potrzebne Tei. Z jej oczami stało się to samo, co ze wzrokiem kierownika ekspedycji. I Makong, który wrócił na stację po to, by porozbijać nowej załodze skilary. Czy to miało ułatwić przebieg jakichś nie znanych mi procesów? W jakim celu Makong przeprowadził całą tę akcję?

Usypiałem z niejasnym przeczuciem, że zbliżam się do źródła zagadki, do jej rozwiązania. Jeszcze jedno zamajaczyło w mojej zapadającej w sen świadomości — powtarzający się w raportach meldunek o pogorszeniu widoczności. Sam przecież przeżyłem dzisiaj coś podobnego nad leśnym jeziorkiem. Sen długo jeszcze nie przychodził, wsłuchiwałem się w szmery i stęknięcia murów, we własny oddech i rytm serca, przewracałem się z boku na bok. Wpatrywałem się w czarny prostokąt drzwi, jakby zaraz ktoś miał stamtąd nadejść. W końcu zerwałem się z posłania i oświetlając pokój słabym blaskiem hełmowej lampki, zastawiłem drzwi dwoma przyciągniętymi z laboratorium stołami. Dopiero wtedy uspokoiłem się i nie pamiętam nawet, kiedy zasnąłem.

Rozdział 9

DEPRESORY

Rano postanowiłem obejrzeć złomowisko automatów, skierowałem tam pierwsze swoje kroki. Wychodząc z pokoju zauważyłem rzuconą pod drzwiami kartkę. Podniosłem ją. Była złożona na pół, a wewnątrz zapisana drobnymi literkami, kobiecą ręką. Poznałem charakter pisma Polli. List zawierał kilka słów: *Ruszaj na północ. Mogę czekać tylko w Strefie Jezior*. I podpis. Nie mogłem powiedzieć, żeby mnie ten list zachwycił. Przede wszystkim nie miałem pewności, czy napisała go ona, czy też ktoś inny chce mnie zwabić w gąszcz borów strefy umiarkowanej. Przez sekundę pomyślałem o statku. Czy nie lepiej byłoby wrócić na Trytona i przylecieć tutaj w pełnym rynsztunku? Oddaliłem jednak natychmiast tę myśl. Choć byłem w okropnej sytuacji, miałem przed sobą dwie drogi. Jechać natychmiast na północ lub zostać i czekać na następną próbę nawiązania kontaktu ze strony moich przeciwników. Wybrałem wariant pośredni. Jeszcze przez trzy dni postanowiłem czekać na stacji na jakieś wydarzenie i w tym czasie spróbować coś uruchomić, skonstruować jakąś broń, która od biedy mogłaby mi posłużyć, a potem jechać w Strefę Jezior.

Ze złomu spoczywającego na hałdzie z trudem udało mi się złożyć najprostszy półautomat oczyszczający. Przez kilka godzin zbierałem płytki ze wszystkich automatów, jakie wygrzebałem w stercie pogiętych blach. Skonstruowany przeze mnie robot nie wyglądał najlepiej. Pokierszowany i kuśtykający, ale jednak sprawny i to już był sukces. Szedłem z nim przez równinę. Począpywał za mną krok w krok. Mogłem na niego liczyć. Miał tę zaletę, że nie sprzątał bezmyślnie. Wmontowałem mu rozdzielnik, dzięki któremu odróżniał elementy nieprzydatne i zepsute od całych, nie uszkodzonych, Wydałem rozkaz, aby wszystkie niezda-

ne części usuwał na hałdę. Pozostałe składał w miejscach, w których powinny się znajdować. Nie łudziłem się, że za pomocą tego jednego półautomatu uda mi się doprowadzić do porządku całą bazę. Musiałbym stracić na to kilka dni, a przecież postanowiłem jeszcze skonstruować jakąś broń, zabezpieczyć stację i mojego Pioniera. Dokładnie przejrzałem wyposażenie bazy. Najbardziej zniszczony został kontromed. Ocalała maska tlenowa i kilkadziesiąt pastylek w różnych kolorach. Nieco więcej uratowało się z kuchni. Niemal wszystkie koncentraty puszkowe i kilkaset w tubkach. System wodny nie działał, ale jedynie z powodu braku elektryczności. Podpompowałem więc ręcznie trochę wody do zbiornika na najwyższym poziomie bazy. Automaty kuchenne uległy zniszczeniu, żaden nie był sprawny. Nie mogłem więc nawet marzyć o syntezie chleba, mleka czy świeżych owoców. Na szczęście wśród ocalałych pastylek znalazłem trochę witamin, kilkanaście tabletek uspokajających i wzmacniających. Włożyłem je wszystkie do kieszeni na piersi.

Co czułem, pędząc po wertepach ku Strefie Jezior. Nie byłem z pewnością spokojny. Czekałem na generalne rozstrzygnięcie. Przez te kilka dni, które spędziłem na stacji zajęty budową systemu zabezpieczającego korytarz cumowniczy, nic odwiedzał mnie nikt. Ani Makong, ani Elter. Nie spotkałem także Polli, choć któregoś wieczoru wydawało mi się, że jej sylwetka mignęła za załomem muru. Nie uruchamiałem urządzeń elektrycznych, wołałem dyskretne światło ręcznej latarki. Nie dostrzegłem więc tej sylwetki dokładnie. Być może wyobraźnia spletała mi figla. Kilkakrotnie słyszałem jednak wewnątrz stacji odgłosy czyjejs obecności. Nie starałem się o kontakt, pozostawiłem im całkowitą inwencję. Trochę śmieszyło mnie to wyczekiwanie, chociaż uczucie zagrożenia z dnia na dzień rosło. Starałem się żyć normalnym rytmem i potrafiłem ten narzucony sobie rygor wytrzymać do końca.

Teraz jadę i zadaję sobie pytanie, co czuję podążając na północ. Niewątpliwie powraca ciągle przeświadczenie, że stale jestem pod kontrolą, pod ścisłą, nieprzerwaną obserwacją. Może to zresztą nieprawda. Nie potrafię już ocenić sam siebie. Zresztą może nie trzeba snuć takich rozważań. Wiem przecież, że konfrontacja jest nieunikniona. Tak postanowiłem i zamierzam dotrwać, choćby na przekór samemu diabłu.

Zatrzymałem się nad jeziorkiem, a właściwie nad stawem, jednym z tych doświadczalnych. Szuwary, które w ciągu kilku ostatnich dni zarosły groble, zupełnie mnie zdezorientowały. Powinienem odejść nieco w głąb lasu. Obawiałem się, że nie trafię tutaj z powrotem. Robiłem na drzewach znaki, lecz niepewność tego sposobu nie dawała mi spokoju. Drzewa, które rosły nad jeziorem, były mi tak obce, że prawie ich nie rozróżniałem. Z Encyklopedii Army zapamiętałem tylko drzewo makowcowe. Z grubego pnia wyrastały wiotkie łodygi, na których zakwitały ażurowe, krystaliczne kwiaty o płatkach z drobnymi żyłkami, przezroczystych i twardych jak z plastyku. Niestety, tutaj makowce nie rosły. Patrząc na gęstwinę, w której się miałem zanurzyć, traciłem z wolna pewność siebie. Nie mogłem ręczyć za wyniki tej akcji. Rola zwiadowcy zaczynała mi ciążyć i rozumiałem coraz lepiej, że tropicielem jestem marnym, nawet jeżeli jednym z lepszych w Astropolu. Te nazwy — Astropol i Ziemia — stawały się powoli pustym dźwiękiem i wywoływały co najwyżej mglisty obraz z przeszłości. Właściwie to nie wiedziałem nawet, czy mojej. Nie miałem ze sobą żadnej broni, prócz długiego noża. Postanowiłem nie uszczuplać arsenału w bazie, zwłaszcza że był nadzwyczaj skromny. Miotacz płomieni, jedyna broń palna, jaką dysponowałem, skonstruowałem z dyszy łożnika, zapalniczki i butli gazu zapalającego, ocalałej z pogromu.

Wciąż jeszcze rozważałem w myśli problem, czy kontaktować się z Pollą. Przybyłem tu na jej wezwanie, ale nie wiedziałem, czy ona wie, że już jestem. Mogłem dać znak, choćby klaksonem lub ogniem, ale jaki to miało sens, skoro Strefa Jezior rozciągała się na tysiącach kilometrów powierzchni. W najlepszym razie miejsce jej hipotetycznego pobytu można by było zawęzić do kilkunastu kilometrów kwadratowych, wypełnionych wrzawą puszczy, gę-

stwą tłumiącą dźwięki i na dodatek rozpostartą na równinie, co uniemożliwiało dostrzeganie jakichkolwiek sygnałów optycznych. W końcu zdecydowałem się wejść do lasu. Chciałem opuścić teren, na którym ukryłem łazik. Jeżeli miałem się z kimkolwiek spotkać, to nie tutaj.

Gdyby nie nóż, nie zaszedłbym daleko. Tak samo, jak poprzednim razem czułem niesamowitą atmosferę tego lasu. Jazgot ptaków wświdrowywał się w mózg, dzwonił w czaszce aż do bólu. Tego nie doświadczyłem poprzednio. Im dalej się posuwałem, tym częściej brodziłem w mule, a potem w wodzie zarośniętej glonami, która wraz z korzeniami i planktonem tworzyła galaretowatą masę. Kiedy się potknąłem, mimo woli zanurzyłem rękę w tej cuchnącej mazi, cofnąłem dłoń ze wstrętem i długo tarłem o spodnie, aby pozbyć się śluzowatej powłoki, którą pokryły się moje palce. Szedłem powoli, bez nerwowego pośpiechu i byłoby dobrze, gdyby... Właśnie, gdyby nie nagły zwrot.

Postanowiłem czekać na najbliższej polanie. Nic chciałem zbyt daleko odchodzić od łazika. Zamierzałem zbudować tu szałas i jakoś sobie radzić, póki nie nawiążą ze mną kontaktu. Już cztery godziny szedłem przez dżunglę, gdy pomiędzy ciętymi przeze mnie z furją gałęziami nagle pojaśniało. Niebo przeświecało przez ostatnią warstwę zarośli. Po minucie stałem na skraju rozległej polany, zalanej jaskrawym słońcem. Zmrużyłem powieki i przysłoniłem oczy dłonią. Po piekle dżungli polana wydawała się niezwykle łagodna i piękna. Niczym klejnot, leżący wśród bagien, wyłoniła się z gęstwy tysiącem kolorowych kwiatów. Męczący jazgot ptaków cichł powoli. Na środku łąki rosły trzy przysadziste drzewa o grubych pniach i zwisających ku ziemi pióropuszcach liści. Stałem przez chwilę oszołomiony, aż wreszcie ruszyłem ku naturalnemu szałasowi, utworzonemu przez owe drzewa. Powietrze było lżejsze. Nie musiałem już łapać go gorączkowymi haustami, które rozrywały płuca, nie dostarczając odpowiedniej ilości tlenu. Szklą skilarów zmatowiały nieco. Zaszły parą od gwałtownej różnicy temperatur. To nagłe ochłodzenie najbardziej mnie zaniepokoiło. Zdjąłem skilary. Stałem z zamkniętymi oczami, brzegiem koszuli przecierając zaparowane szkła, gdy za moimi plecami rozległy się trzaski gałęzi. Nie przeraziłem się, ale odruchowo ruszyłem w przeciwnym kierunku. Po przebiegnięciu kilkunastu kroków na oślep zatrzymałem się i szybko włożyłem skilary. Musiałem je zamazać jeszcze bardziej, bo widoczność wcale się nie poprawiła. Jakiś wielki cień majaczył na skraju polany. Pomyślałem, że mam do czynienia z jednym z tych wielkich gadów, które zamieszkują wyłącznie strefę umiarkowaną, a szczególnie okolice jezior. Wiedziałem, że są drapieżne i wiedziałem też, że nie jestem należycie uzbrojony na taką okazję. Zwierzę wyraźnie zmierzało w moją stronę. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Nie zastanawiając się długo, pobiegłem ku drzewom. Wdrapałem się na jedno z nich i w niewygodnej pozycji czekałem na odwrócenie tej przykrej sytuacji. I teraz dopiero się zaczęło. Nagły zawrót głowy omal nie pozbawił mnie równowagi, jak przez mgłę zobaczyłem rozdziawiony pod drzewem pysk i tylko mocniej ścisnąłem konar. Zrobiło mi się żal wszystkiego. Siebie i tego ponurego gada czatującego na mnie. Poczulem, że mam dość parszywego życia, na które mnie skazano tu, na tej planecie, i samotności. Co za absurdalny pomysł, wysłać w obcy świat pojedynczego, samotnego człowieka. I zrozumiałem, że chcę zostać wchłonięty przez tę planetę, stać się jej częścią, jej dzieckiem, a nie intruzem.

Pomyślałem, że może mógłbym nie odczuwać swojej egzystencji w tak przykry sposób i może nie przeżywałbym wszystkiego tak emocjonalnie, gdyby moja rola, moje zajęcie i miejsce, w jakim się znalazłem, nie upokarzały mnie tak dotkliwie. Bo kimże ja byłem? Zagnanym w pułapkę złodziejem, który przyszedł tu wydzierać tajemnicę, intruzem, zaśmiecającym planetę swoją obcością. Zrozumiałem, że muszę poddać się jakiemuś przekształceniu. I tak się stało. Poczulem, że lecę. Nie byłem pewien, czy do paszczy czatującego gada, czy też ku mojej nowej postaci. Resztki świadomości kołatały się jeszcze gdzieś we mnie i ten strzęp mojego „ja” buntował się przeciwko nowej osobowości,

I wtedy, jakby z wielkiego oddalenia, usłyszałem głos Polli. I obraz się rozmazał. Z trudem otworzyłem zaciśnięte powieki. Leżałem na skraju łąki, a ona stała nade mną.

— Co się stało? — szepnąłem wyczerpany.
— Już nic. Wszedłeś na złą polanę. Zjawiłam się w samą porę.
— Ogarnęła mnie taka straszna depresja — przypomniałem sobie. — Co to takiego „zła polana”?

— Porozmawiamy później — uspakajała mnie. — Przeniosę cię teraz do bezpiecznej groty — uśmiechnęła się.

Z łatwością uniosła mnie z trawy, niczym dziecko, i ruszyła w busz.

— Jak mnie znalazłaś? — zapytałem ją, kiedy się ocknąłem.

— Przypadkiem — powiedziała, przypatrując mi się uważnie.

Oczywiście od razu zauważyłem, że jej piękne oczy nie są osłonięte skilarami.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — odezwała się.

— Czy jakoś dziwnie? — udałem, że nie rozumiem.

— No... tak uważnie — odparła po chwili wahania.

— Ty też mi się tak przyglądasz. Czy coś jest nie w porządku?

— Nie, skądże.

— Chciałaś się ze mną zobaczyć.

— Tak.

— Dlaczego opuściłaś stację?

— Stację?! Jaką stację? Teraz muszę już iść! Nie odchodź z polany. Naokoło pełno gadów. Wrócę jutro — po wygłoszeniu tej deklaracji ruszyła ku wyjściu.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że leżę w jaskini.

— Zaczekaj! — rzuciłem za nią, lecz się nie zatrzymała, a ja byłem zbyt słaby, żeby wstać.

Zostałem sam. Która mogła być godzina. Z przerażeniem stwierdziłem, że zniknął mój zegarek i długi nóż. Czy zgubiłem je pod kępą drzew, czy też odebrała je Polla? Setki myśli cisnęły mi się do głowy. Nie potrafiłem tego wszystkiego zrozumieć. Czuję się jak skorupiak wyrzucony na brzeg oceanu, z opiekuńczych fal na wypróżony piasek.

Wróciła rzeczywiście nazajutrz. Przeżyłem koszmarną noc. W ciemności coś się bez przerwy kotłowało i warcząc złowrogo, posapując, dreptało wokół wejścia do groty aż do świtu. Ciężkie powietrze wtłaczało mi się w płuca z poświstem, nie przynosiło ulgi. Postępując wstałem i wyszedłem przed grotę. Świt witał mnie chłodem i orzeźwiający powietrzem. Wiedziałem jednak, że nie potrwa to długo. Za godzinę cała dżungla rozpraży się znów, a powietrze przeniknie wilgoć i niemiły zapach stęchlizny. Narwałem naręcze liści drzew makowcowych. Sporo makowców rosło tutaj, na zachodnim brzegu łąki. Ta łąka nie była tak zachwycająca jak poprzednia. sprawiała wręcz nieprzyjemne wrażenie. Wysokie, ostre trawy i suche szuwały dawały schronienie niebezpiecznym zwierzętom, a prócz tego bez przerwy cięły jakieś paskudne owady.

W pewnej chwili ujrzałem między drzewami Pollę. Zręcznie przemykała się przez gęstwinę, nie potrącając żadnej gałązki. Wreszcie stanęła na skraju polany. Wyglądała tak cudnie, że aż ścisnęło mnie coś za serce. Miała na sobie jedynie srebrzystą przepaskę, osłaniającą brzuch. Jej piersi kołysały się, kiedy szła w moim kierunku. Przypominały mi tamtą noc w bazie. Jedyń.

— Znowu dziwnie patrzysz — powiedziała mrużąc oczy.

— Tym razem chyba inaczej? - odparłem.

— Rzeczywiście — szepnęła obejmując mnie. — Czekałam na ciebie, bardzo czekałam. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Mówiła mi te słowa do ucha zniewalającym głosem, a ja czułem, jak falują te piękne, brązowe piersi i czułem jej zapach. Spletliśmy się w uścisku, niknąc w trawie, która nie

wydawała mi się teraz ani ostra, ani nieprzyjemna, przeciwnie, była kobiercem przypominającym puch. miękka i życzliwa.

Chwilę leżeliśmy w milczeniu, aż wreszcie ona odezwała się pierwsza.

— Wiesz — powiedziała łagodnie — wczoraj, kiedy nosiłam cię tutaj, zgubiłeś po drodze zegarek. Wpadł w bagno. Chciałam go dzisiaj odszukać, ale nie znalazłam.

— Dlaczego o tym mówisz? — czujność zbudziła się we mnie na powrót.

— Myślałam, że go szukałeś.

— Tak. Szukałem.

— No więc już wiesz.

— A długi nóż?

— Jaki nóż? — zdziwiła się.

— Nieważne — powiedziałem, chcąc przerwać tę rozmowę.

— Cieszę się, że jesteś — ciągnęła Polla, niczym nie zrażona.

— Ja również, ale cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdybym wiedział, po co mnie wzywałaś.

— Jak to? — na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

— No, dlaczego tak bardzo chciałaś się ze mną widzieć?

— Nie wystarczy, że cię kocham?

— Szybko się zakochujesz — stwierdziłem z drwiącym uśmiechem.

— Owszem — odparła urażonym tonem i zamilkła.

— Mam ochotę się wykąpać — powiedziała wstając nagle i przeciągając się.

Była bardzo piękna. Białe włosy, które przeczesywała palcami, wyglądały jak iskrzące się druciki. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, biegła już wśród traw, niczym jakieś nieziemskie zjawisko. Wiatr, zakłęty w kształt kobiety.

— Fantastyczne — wyszeptalem do siebie i też zerwałem się z trawy.

Wykąpaliśmy się w małej sadzawce, porośniętej rzęsą. To była wspaniała kąpiel. Przez chwilę zapomniałem nawet, gdzie się znajduję i po co w ogóle przyleciałem na Irmę. Przypomniały mi o tym moje skilary, uparcie wpijające się w nos. Niebieskie oczy Polli, niedawno uszkodzone przez Makonga, te same, które z takim trudem ratowaliśmy, teraz mówiły o miłości. W spojrzeniu dziewczyny wyczytałem również kłamstwo. Jeżeli istotnie była osobą, za którą ją brałem, to jakby celowo ukrywała pewne fakty z niedawnej przeszłości. Musiałem jakoś delikatnie nawiązać do jej zniknięcia, dowiedzieć się, co robi, dokąd odchodzi i dlaczego nie musi używać szkieł. Stawiałem wiele pytań, ale rozmowa zawsze zbaczała z tematu. Otrzymywałem wymijające odpowiedzi.

— Na tamtej polanie bardzo źle się czułem, czy tobie to się też kiedyś zdarzyło? — spytałem, stojąc po pas w wodzie.

— Owszem, czasem wpadam w przygnębienie.

— Wchodząc na takie polany?

— Dlaczego na polany? — zdziwiła się.

— Słuchaj, Polla — chwyciłem ją za rękę. — Czy ty chcesz mi pomóc?

— No pewnie! — potwierdziła skwapliwie patrząc mi w oczy.

— No więc powiedz, dlaczego opuściłaś stację?

— Znowu mówisz o jakiejś stacji! Chcesz mnie zamęczyć?

— Polla, musisz powiedzieć, jak to było!

Posmutniała. Zamilkła na dłuższą chwilę, aż wreszcie, wychodząc z wody, stwierdziła:

— Nie pamiętam, co było przedtem. Zupełnie nic nie pamiętam. Najważniejsza jest pamięć.

— Pamięć? Pamięć czego?

— Nie wiem — odparła z wahaniem. — Tak sobie powiedziałam.

— Czy ty nie widzisz różnicy między nami? — pytałem, coraz bardziej zdenerwowany.
— Widzę. Ty jesteś mężczyzna, a ja kobietą.
— Mnie chodzi o oczy!
— No tak. Masz chore oczy.
— Ja?!! — krzyknąłem zdziwiony.
— No pewnie.
— Mam całkiem normalny wzrok — sprostowałem ze zniecierpliwieniem.
— Przecież widzę, że ty masz chore oczy!
— Co widzisz? — zdenerwowałem się ostatecznie. — Przecież to z twoim wzrokiem jest coś nie w porządku!!!

— Nieprawda. Ja nie muszę nosić takiego dziwnego przyrządu, żeby patrzeć. To chyba oczywiste, czyje oczy nie nadają się do niczego!

— Zgoda — dałem spokój. — A nie wiesz, jak nazywa się ten przyrząd?

— Nie pamiętam. Czy to ważne?

— A co pamiętasz?

— No, jestem Polla... — urwała, jakby nie była pewna tego, co mówi.

— Tylko tyle? No i kto tu nie jest w porządku?

— Ile razy się z tobą spotykam, zadręczasz mnie jakimiś bzdurnymi pytaniami! — wybuchnęła zniecierpliwiona. — Nie po to chciałam się z tobą widzieć! Mam tego dość!

— O, nie! — wrzasnąłem. — Po co mnie tutaj ściągnęłaś? Dlaczego nie nosisz skilarów? Nic nie rozumiem!!! Dlaczego zniknęłaś ze stacji?

— A ja nie rozumiem, po co ty nosisz te szkła i czemu ciągle czepiasz się tej diabelnej stacji!!! — wrzeszczała jeszcze głośniejszym głosem niż ja.

Zamilkłem. Ona również. Staliśmy naprzeciw siebie jak dwa sprężone do skoku zwierzęta. Nad nami rozpościerał się gorejący olśniewającym blaskiem wschód. Krwista, królewska purpura odbijała się w źrenicach Polli.

— Spotykasz ich? — spytałem niemal szeptem.

— Kogo?

Objąłem ją ramieniem.

— A dokąd stąd wracasz? — mówiłem, dalej cicho i spokojnie.

— Donikąd. Wracam do ciebie. Tutaj.

— W takim razie skąd odchodzisz?

— No, także stąd.

Odepchnąłem ją gwałtownie,

— Znowu robisz ze mnie wariata! — krzyknąłem i ruszyłem przed siebie, w gąszcz.

Nie pamiętam, jak długo i którędy szedłem. Zupełnie straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Nie potrafiłem uporządkować poszczególnych elementów rzeczywistości, w której się znalazłem. Nie mogłem szukać jakiegoś wzorca postępowania, bo nigdy wcześniej nie doświadczyłem tego, co tutaj. Polla była dla mnie coraz większą zagadką. Raz ufna i kochająca, to znowu wykrętna i obca. Jak narzędzie w czyimś ręku.

I wtedy po raz drugi zatraciłem świadomość. Znalazłem się w zasięgu działania czynników wywołujących depresję, w zasięgu następnego depresora. Ten musiał być zlokalizowany gdzieś w szuwarach, które obchodziłem niewielkim łukiem. Cały świat beznadziejnie poszarzał, rozpadł się na drobne elementy. To wszystko, co robiłem, stało się niewarte trudu, zachodu i starań. W moich myślach przesuwaly się obrazy stoków Karpat, które wyłoniły się z mgły, Giewontu i leżącego pod nim niewielkiego miasteczka. U moich stóp zobaczyłem rzekę, szemrzącą granatową tonią. Zanurzyłem w niej ręce i patrzyłem, jak obmywa je woda. Przejrzysta, chłodna woda, nad którą wychowałem się w domu któregoś z moich przybranych rodziców. W tej wodzie były pijawki. Otworzyłem szerzej oczy. Czarne, obłe ciała sunęły w stronę moich palców. Drgnąłem. Ohyda! Szarpnąłem się do tyłu. Zrobiłem dwa kroki i to

wystarczyło, żeby wydostać się z obszaru oddziaływania depresora. Powoli wracał zamglony obraz szuwarów rosnących nad szarym jeziorkiem. Byłem wyczerpany. Nie potrafiłem nawet kiwnąć palcem.

Polla pojawiła się niczym duch. Zobaczyłem nad sobą smukłe, brązowe uda.

— To ty — zdołałem wyszeptać.

— Nie miałam właściwie zamiaru iść za tobą, ale dobrze się stało, że to zrobiłam. Znowu się zgubiłeś. Powinieneś być ostrożniejszy.

Dźwignęła mnie i objąwszy ramionami poniosła ku polanie.

— Zrobię ci coś do picia — szepnęła mi po drodze do ucha.

Przyłgnąłem mocniej do jej piersi. Przemknęła mi myśl o jej zadziwiająco wielkiej sile. W następnej sekundzie zapadłem w sen.

Obudziłem się w grocie.

Rozdział 10

AGRESJA PRZESTRZENI

Zrobiłem krok do przodu, i moja noga trafiła w próżnię. Straciłem równowagę i kiedy usiłowałem podeprzeć się drugą nogą, poczułem, że uwięzła w jakichś korzeniach. Zaraz potem z całym impetem uderzyłem o zbocze. Mimo woli wyrwał się z moich piersi głuchy jęk, stłumiony łomotem upadku. Zamarłem w bezruchu. Nie poddam się! Zacisnąłem powieki. Badałem dłońmi otoczenie. Zbocze porastały mokre trawy. W którą stronę idę? Jak długo mogę się jeszcze opierać? Będę walczył. Jakaś ohydnie śliska jaszczurka umknęła spod mojej ręki i uświadomiłem sobie bezmiar szczęścia, jaki mnie spotkał dzięki temu, że nie była jadowita.

Łuk rozprzestrzenił się w ogromny wir. Ramiona wiatraków pędziły poprzez siebie nad moją głową ku tunelowi. Tunel rozrósł się, pęczniejąc niczym bryja i zalepiał przestrzeń, zamykał ją, twardniejąc w gejzerowaty wytrysk. Bładosine maczugi wystające z toni tuż nad powierzchnią, i ta woda różowawa, ciepła i chwytająca rozkoszą za krtań. Otulić się w nią, zachłysnąć, nabrać jej w płuca. Gdzie moje dłonie? Nie widzę ich, choć dotykam wyczuwam palce. Niepokojąco długie, szeleszczące, zawężone w stawach, niczym korzenie jakiegoś wiekowego drzewa. Suche. Zamarłem, nasłuchując. Z bezkresnego oceanu ciszy, która mnie otaczała, dochodziły teraz jakieś młaśnięcia. Oddalone, rozmyte. Spojrzałem w niebo. Ta tęcza, która rozpadła się w moim mózgu na sześć zbieżnych w samym centrum odłamków. Szybujące atomy kolorów. W środku czarny punkt. Nie byłem w stanie zebrać myśli. Ktoś mnie otruł? I zaraz się zaśmiałem. Przypadłem do ziemi, przerażony eksplozją dźwięków, jakie wywołał mój śmiech. Jakby te dźwięki stały obok przyczajone, gotowe na moje wezwanie. Natychmiast dające odzew moim strunom głosowym. Młaśnięcia przybliżały się. Nasłuchiwałem. To człowiek? Człowiek stąpa po bagnie, rozchylając kanciaste szuwary. Ostre łodygi trą o siebie z suchym chrzęstem. Ktoś zbliża się do mojej kryjówki i chlupocze mokrymi butami w zatęchłej mazi. A zaraz za nim z cichym pluskiem trzy szare psy wodne suną odkrytymi płaszczyznami bajora, przyczajone, gotowe do ataku, jeżeli ofiara zachwieje się i upadnie w wodę.

Wtem zobaczyłem słońce, niespodziewanie przedarło się przez chmury. Przestał mnie zajmować człowiek, który przemierzał bagna szukając tutaj nie wiadomo czego. Purpurowa,

okrągła tarcza słońca przemieniła się w twarz mojej matki z przymkniętymi powiekami i opiekuńczym uśmiechem. To nie była moja matka. To moja siostra i mój brat w jednej osobie, ich uśmiechy, okolone pióropuszem włosów, ich nagie ramiona, strzępy wspomnień złane w jeden promienny uśmiech. Dal niebotyczna, nieznaną przestrzeń patrzyła na mnie spod powiek słońca. To nie było słońce Ziemi. Wstałem. Morze mnie rozgrzeszy. Jego wody, słone, trawiące rany, spokojne. Gdzieś obok trzaskały gałęzie, jakieś zwierzę w pędzie łamało krzewy, biegło ku mnie! Nie mogłem go zobaczyć! Już czułem na skórze gorący oddech, ciepło krwawego pyska. Czy to pies wodny? Okropny krzyk strachu wyrwał się z moich ust. Aż zadrżały korony drzew i spadły z nich krople słodkiej rosy. Cały świat poszarzał. Zacisnąłem powieki, oczekując morderczego ciosu. Wyciągnąłem dłonie na oślep, pragnąc się bronić za wszelką cenę. Moje ręce zapadły w gęsty, niczym owcze runo, kutner. Czułem mięśnie, grające pod tą skórą, ich taniec śmierci. Lecz bezruch trwał zbyt długo. Powoli otworzyłem oczy. W szarości, poprzez mgłę, zobaczyłem go. To był tylko stojak, przerażony tak samo jak ja. Stał nieruchomo. Trzymałem go za łapę. Czułem, że wracam do równowagi. Puściłem zwierzę, lecz nie zmieniło pozycji. Nerwowym ruchem przeszukałem kieszenie. Gdzieś miałem przecież ukryte skilary. W końcu je znalazłem i szybko nałożyłem. Jakbym dostał obuchem w głowę. Nagła ciemność rozstała się szybko i wszystko wróciło do normy. Nabrało kolorów. Lecz mgła nie opadła całkowicie i każdy przedmiot lekko w niej opalizował. Poznałem miejsce, w którym stałem. Po kolana w bryi. To wszystko, co działo się przed chwilą, działo się naprawdę. To stojak podchodził, mlaskając namokniętymi łapami. I były psy wodne, które przyciąły się teraz za najbliższą kępą, i słońce, purpurowe, olbrzymie słońce zachodu, którego promienie przez szparę w sieciach gałęzi grzały moją twarz. Ale skąd przyplątał się ten błękitny stojak? W buszu Strefy Jezior żyły tylko wodne psy i duże, nieruchawe gady, z ubarwionymi tęczowo pyskami krokodyli. Nie znałem nawet ich nazwy. Miał szczęście, że go nie pożały. Nie mniejsze niż ja.

Zbliżałem się do grotu. Tutaj spotkałem po raz pierwszy Pollę. Nie tę, którą kiedyś znałem. Tę nową, już bez skilarów na nosie. Piękniejszą i dziwnie zalotną. I taką tajemniczą. Stojak ciążył mi na plecach. Ważył chyba ze sto kilo. Niebieskie futro ogona ciągnęło się za nami, niczym tren ślubnej sukni. Nie wiedziałem, czy zastanę Pollę. Szedłem, bo grota była jedynym punktem orientacyjnym w tej okolicy. Postanowiłem poważnie porozmawiać z tą dziewczyną. Bez wykrętów, bez dwuznacznych, wymijających odpowiedzi, niejasnych plam, przez które nie sposób się przedrzeć.

W grocie nie było nikogo. Barłóg, który ułożyłem z makowcowych liści, zajmował kąt w głębi, na środku czerniało wygasłe ognisko. Musiałem wyjść po chrust. Najchętniej nie ruszałbym się już nigdzie, ale bez ognia było jeszcze gorzej. Zapadał zmrok. Poza tym nie czułem się dobrze. Woląłem mieć światło, na wypadek gdyby atak miał się powtórzyć. Co się ze mną działo? Nie przychodziło mi do głowy żadne rozsądne wytłumaczenie, choć ze wszystkich sił starałem się wyjaśnić mechanizm tego zjawiska. W końcu przestałem sobie zwracać nim głowę. Musiałem się skupić na bardziej prozaicznych czynnościach. Zauważyłem ostatnio, że coraz częściej się potykam. Nie dostrzegałem już tych wszystkich rozpadlin, wykrotów i dziur, czy co u diabła? Może to zmęczenie wyciska swe piętno na moich zmysłach? W pierwszym dniu to mnie jeszcze bawiło. Liczyłem nawet, ile razy się potknę, obsunę, zgubię drogę w ciągu godziny. Dzisiaj już przestałem liczyć. Byłem bardzo zmęczony. Postanowiłem czekać w grocie na Pollę dopóty, dopóki nie przyjdzie. Nawet, gdyby to miało trwać kilka dni. Lecz kiedy wracałem, objuczony naręczem suchych gałęzi, przywitał mnie jej radosny śmiech. Rzuciłem chrust przed wejściem i zajrzałem do wnętrza mojego obecnego domu. Nie widziałem jej jednak w panującej w środku szarówce. Wszedłem do środka i zapaliłem zapalną. Polla leżała na makowcowym łóżku, naga i piękniejsza nawet niż wtedy, gdy była tutaj poprzednio.

— Chodź — wyszeptała do mnie tym swoim melodyjnym głosem, w którym brzmiało aż za wiele namiętności, i przywoływała mnie gestem. Wyczekiwanie splotło się z pożądaniem. Nie potrafiłem się oprzeć tej kobiecie. Nie potrafiłem, bo nie chciałem. Położyłem się przy niej i czułem, jak każdy dotyk i pocałunek przywraca mi siły, jak krew, zaczyna krążyć żywiej, powietrze staje się chłodne i lekkie. Biła od niej krystaliczna świeżość, i lepkie łachmany, które przywarły do mego grzbietu twardym pancerzem, przestawały mi ciążyć.

— Długo będziesz, tym razem? — zapytałem, kiedy leżeliśmy w ciemnościach. Zupełnie zapomniałem rozpalic ogień. Przy niej nie dręczyły mnie koszmary, nie bałem się. Choć to może żalosne, ale musiałem przyznać, że bezpieczny czułem się tylko przy jej boku. I coraz bardziej zaczynało mi brakować tej ciszy i spokoju, jakie dawała jej obecność.

— Zaraz muszę odejść — wyszeptała, przytulając się do mnie.

— Tak po ciemku? — spytałem, czepiając się słabej nadziei.

— Tak.

— Nie boisz się?

— Czego miałabym się bać?

Zbiła mnie z tropu swoim zdziwieniem.

— No, na przykład psów wodnych — powiedziałem z wahaniem.

Roześmiała się.

— Jak można bać się tych zwierzaków?

— Jednak one żywią się mięsem — zaoponowałem.

— One same są ledwo żywe ze strachu — odparła z przekonaniem.

— Jak to ze strachu? — czułem, że nasza rozmowa znów przybiera niesamowity obrót. Nie pojmowałem toku jej rozumowania. — Nie sądzisz chyba, że one boją się polować?!!

— Nic denerwuj się - powiedziała łagodnie i pogłaskała mnie po włosach.

Odrąciłem jej rękę z wściekłością.

— Znowu zaczynasz opowiadać jakieś bzdury! — podniosłem głos. — Jak możesz w ogóle coś takiego mówić? Skąd wiesz to wszystko? Co to znaczy, że psy wodne się boją? Przecież tylko niektóre są stare i chore, inne są młode, zdrowe, silne i polują doskonale!

— Tak po prostu mi się zdaje — odparła. — Spójrz na tego stojaka, którego przywlokłeś z bagien, przecież...

— Zaraz, zaraz!!! — chwyciłem ją mocno za ramię. — Z jakich bagien?!! Skąd wiesz, że spotkałem go na bagnach?

Zmieszała się, ale usiłowała mnie zbyć.

— No a gdzie go mogłeś spotkać? Stojaki tylko tam się włóczą!

— Polla! Znowu zaczynasz kręcić! — krzyknąłem zrozpaczony.

— To daj mi spokój! Nie przyszłam tu po to, żeby się z tobą kłócić!

— Więc po co?

— Chcę ci pomóc!

— Pomóc? A w czym?

— Muszę już iść — powiedziała naraz stanowczym tonem i wstała.

— Chwileczkę! — szarpnąłem ją ku sobie, że aż się zatoczyła — Mów, w czym chcesz mi pomóc!

— Puść! — warknęła i wyrwała rękę z taką siłą, że zabołały mnie stawy. Ruszyła do wyjścia.

Rzuciłem się za nią, lecz po dwóch krokach rąbnąłem na kamienną posadzkę jak długi. Noga zaplątała mi się w jakiś korzeń. Zakląłem głośno i paskudnie.

— Przyjdę jutro! — usłyszałem jeszcze z daleka i poczułem, jak wraz z tym dźwiękiem ulatnia się światło, które do tej pory rozjaśniało ciemność. Nie miałem siły się podnieść. Czerń nocy, wypełniona groźnymi pomrukami puszczy, zamykała wejście do mojej groty

niczym płat granatowej tkaniny. Tam za progiem pozostały drwa, które teraz już się nie rozpala, wilgotne od wieczornej rosy. Powietrze znowu stało się lepkie, zatykało mi płuca, przypierało swoim ciężarem do ziemi. Z wysiłkiem dopełzłem do posłania i leżałem w bezruchu, nasłuchując odgłosów dobiegających z ciemności. Do mego ucha sapał, tak samo ciężko jak ja, ocalony po południu stojak.

Jeżeli cokolwiek z tego wszystkiego rozumiałem, to chyba tylko podświadomie. Do świadomości docierały jakieś niejasne strzępy, mętnie potrafiłem określić celowość zmian, jakie wokół mnie zachodziły. Czułem, że rozwiązanie jest gdzieś blisko, lecz czułem też, że jest nieosiągalne.

Teraz od dwudziestu minut przeczesywałem las wokół małych stawów, porośniętych szarą trzcina wysokości człowieka. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie zostawiłem łazik. Może nie było go już w tamtym miejscu. Znowu naszła mnie myśl, że coś czy też ktoś zwabia mnie w pułapkę. Czy działo się ze mną to samo, co spotkało innych? Może ja po prostu byłem odporniejszy? Mnie nie udało się omamić byle czym. Musiała więc ruszyć cała skomplikowana maszyna, mechanizm, który mną sterował. Jego działanie stawało się tym bardziej nieubłagane, im dalej. pozwalałem się wciągać w te tryby. Każde, na pozór drobne zdarzenie, służyło następnym wypadkom, było niejako strumykiem, który wraz z innymi tworzył rzekę nie do przebrnięcia. Lecz widocznie nie wszystko w tym układzie funkcjonowało doskonale, skoro momentami powracała moja świadomość. Organizm ruszał do szturm i początkowo przez kilka godzin, teraz już tylko przez kilkadziesiąt minut mój umysł funkcjonował sprawnie wraz ze wszystkimi zmysłami. Niektóre rzeczy jednak były nieodwracalne. Nie ręczyłbym za rzetelność i pewność mojego obecnego wywodu. To się już stało. Nie odbuduję zaufania do własnego osądu rzeczywistości, dopóki stąd nie odleczę. Nie miałem pojęcia, czym był mój wczorajszy atak. Jak mogło dojść do tego, że zdjąłem skilary? Cieszyłem się, że pozostało mi chociaż tyle rozsądku, aby je upchnąć w kieszeni. Mogłem je przecież cisnąć gdziekolwiek, w trawę, w wodę, mogłem wdeptać je w muł. Skóra mi cierpła, gdy o tym pomyślałem. Na szczęście gdzieś czuwały resztki sprawnych komórek, które w momencie ataku swymi zdrowymi, normalnymi reakcjami ratowały mi, być może, życie. Skilary po tej ostatniej historii przywiązałem sobie do uszu, a gdybym mógł, to najchętniej zespawałbym je ze skórą, wstrzeliłbym w kość, jakimiś zaczepami oplatał wokół mózgu, żeby umrzeć, kiedy ja sam lub ktoś inny będzie usiłował je ze mnie zderzeć. Panicznie bałem się oslepnąć. Utrata tych dwóch czarnych lunetek była równoznaczna ze ślepotą i wiedziałem już, że jest warunkiem wchłonięcia przez nie znaną mi siłę, która próbuje mnie przełamać. Czułem, jak wszystko sprzysięga się przeciw mnie. Pęta zasadzek, zdradliwych przypadków zaciskały się wokół coraz mocniej. Zbyt potężnym wrogiem był mój przeciwnik, zbyt precyzyjnie rozgrywał swoją partię. Dlatego postanowiłem wracać na stację, uciec ze strefy umiarkowanej. W niej przecież leżały te przedziwne miejsca, wywołujące depresję nie do zniesienia. Trzykrotnie otarłem się o nie, przeżywając niesamowite chwile. Nie podobała mi się też rola Polli w tej całej historii. Była zbyt dwuznaczna.

Z jednej strony jej obecność podnosiła mnie na duchu, przywracała siły, z drugiej zaś tym boleśniej odczuwałem jej odejścia, a rozmowy, które prowadziliśmy, wytrącały mnie z równowagi. I znowu na jej wspomnienie zrobiło mi się różnie. Cudowna Polla.

Z zamyślenia wyrwał mnie szelest za plecami. Nad trawą w regularnym rytmie pojawiała się i znikła głowa mojego stojaka, drugie uszy falowały w pędzie, niczym szafirowe frędzle przyczepione do głowy. Po chwili był już przy mnie i stał w odległości jakichś dziesięciu kroków w charakterystycznej pozie. Patrzył uważnie czarnymi ślepiami.

— Czego chcesz? — powiedziałem do niego.

Nie poruszył się. Tak właśnie postępował. Był jak pies. Wydawało mi się zawsze, że stojaków nie sposób obłaskawić. Może po prostu nikt tego nie próbował? Dziwiłem się

jednak, że tak łatwo przywiązał się do mnie. Czulem, że on też ma do spełnienia jakąś rolę w całej tej okropnej historii. Pogroziłem mu kijem, chcąc go odpędzić, ale stał dalej nieporuszony. Ten kij sprawiłem sobie ostatnio, żeby mieć się na czym oprzeć, gdy znów się potknę. Liczba moich potknięć w ciągu godziny niepokojąco wzrosła, zdarzało mi się to teraz czterokrotnie częściej, niż na początku. Zanurzyłem się znowu w szuwary, po raz dziesiąty już przemierzając zapamiętany tydzień temu szlak. Odkryłem nawet drzewo, na którym własną ręką wyryłem głęboki znak. Dalej biegł płytki rów, porośnięty trzcinami, potem była kępa skrzydlatych mozg i wąska ścieżka, skręcająca na groblę, przy której zostawiłem łazik. Nie było go. Otarłem pot i ruszyłem przed siebie. Groble i zarośla stały milczące, podobne do siebie jak krople wody. Nie rozróżniałem już konturów z należytą ostrością. Krążyłem tak jeszcze z godzinę. W końcu znalazłem łazik. Byłem jednak przekonany, że zostawiłem go gdzie indziej, po drugiej stronie stawów, tam gdzie znalazłem pierwszy znak wyryty przeze mnie. Pierwszy, bo tutaj też widniał taki sam znak. Nie wiedziałem już, czy zrobił go dla zmylenia mnie ktoś inny, czy też może ja sam w jakimś zaćmieniu przejechałem łazikiem na drugą stronę polany i ponownie oznakowałem drzewo.

Wsiadłem do wozu. Musiałem wrócić na stację. Chciałem znaleźć jeszcze jakieś tabletki wzmacniające i pożywić się jedzeniem z zapasów bazy. Byłem pewny, że ta żywność nie zawiera nic, co mogłoby mi zaszkodzić. Miałem nadzieję usnąć wreszcie spokojnie, uzbrojony w miotacz płomieni, który sprzężony z półautomatem strzegł boi mego statku, mogłem w końcu stamtąd wystartować, odlecieć i już nie wrócić. Zapaliłem silnik. Zaterkotał niewyraźnie. Nacisnąłem przyspieszacz i wóz ruszył, przedzierając się przez sitowie, szlam i płytkie bagienka. Wyprowadziłem pojazd na łąkę i dodałem gazu. Jak najszybciej chciałem już być u celu. Kątem oka zauważyłem jeszcze, że stojak w bezpiecznej odległości przemierza równinę długimi susami. Postanowiłem nie zwracać na niego uwagi. Trochę mnie bawiło, a jednocześnie niepokoiło jego milczące towarzystwo.

Stację ujrzałem pod wieczór. Słońce nie schowało się jeszcze za horyzont, kiedy wjechałem na płaskowyż. Lśniła koronkami swych dachów, przypominała w tym oświetleniu pałac z bajki. Odetchnąłem głębiej. Depresory i cała ta fatalna strefa pozostały za mną. Stojaka zgubiłem gdzieś po drodze. Mimo wielkich chęci nie dorównywał mojej maszynie. Odpadł po dwustu kilometrach. I tak podziwiałem jego szybkość i wytrwałość. Dojechałem do bazy i byłem niemal szczęśliwy. Przede wszystkim musiałem sprawdzić, czy nie miałem w korytarzu cumowniczym jakiejś nie zapowiedzianej wizyty. Łazik toczył się jeszcze po płycie przed głównym wejściem, gdy już biegłem do bramy. Sieć cieniutkich nitek, jaką zawiesiłem tam na wysokości kolan, była zerwana. Pędem ruszyłem do cumowniczego korytarza. W chwili, kiedy miałem weń skręcić, pośliznąłem się i lecąc jak długi, przeciąłem wylot tunelu. W tej samej sekundzie od strony zamontowanego przeze mnie miotacza buchnął słup ognia, pozostawiając na ścianie płat czarnego, skwierczącego kopcium. Serce podeszło mi do gardła. Zerwałem się na równe nogi. Wyciągnąłem z kieszeni kawałek metalu i rzuciłem w światło korytarza. Ponowny błysk rozświetlił ciemność i zaraz potem snop żaru osiadł na przeciwległej ścianie. Miotacz został przestawiony! Nie mogłem w to uwierzyć! Było zupełnie, absolutnie niemożliwe, żeby ktoś mógł to zrobić. Przecież nikt nie widział mnie, gdy kodowałem w pamięci fotokomórki mój kształt. Nie było przy tym ani żywej duszy! Szperałem przy światłoczułych płytkach w zupełnych niemal ciemnościach, tylko przy bladym świetle ręcznej latarki. Może to ja sam w jakimś amoku przybyłem tutaj, przestawiłem automat przeciwko sobie i potem wróciłem do Strefy Jezior, zostawiając łazik w nowym, starannie po raz drugi oznaczonym miejscu? Tak więc to ja sam przerwałbym nici w bramie wejściowej? Nie mogłem nawet obejrzeć dokładnie osmaleń, bo wystawiłbym się na nowe uderzenie broni.

Osunąłem się na kolana i waliłem pięściami w posadzkę, z trudem tłumiąc łkanie, które ścisnęła mi krtań. Kipiała we mnie bezsilna wściekłość i rozpacz.

Nie potrafię — myślałem. — Nie umiem zwyciężyć. Przeciwnik, kimkolwiek był, przerastał mnie, a teraz właściwie pokonał. Bo cóż takiego ocaliło mi życie? Jeszcze kilka tygodni temu powiedziałbym, że przypadek. Ale dzisiaj już wiedziałem, że nieprzypadkowo się potknąłem. Ta akcja została przeprowadzona z drobiazgową dokładnością. Właściwą nie dla rzemiosła, lecz dla arcyzmu, talentu, maestrii. Sztuka dla sztuki? Przeraziła mnie ta myśl. Dopiero teraz, po chwili, zdałem sobie dokładnie sprawę z przebiegu zajścia. Mój bieg, upadek i płomień, który przecina korytarz o ułamek sekundy później. Ten gorący podmuch na skórze. Niemalże liźnięcie ognia. A jednak ocalałem. Tylko po co? Czy nie prościej zniszczyć całkowicie, zabić, unicestwić, niż wymyślać tak precyzyjne sposoby na doprowadzenie do powolnej i niepewnej śmierci? A może ona w tym przypadku jest równie pewna, co natychmiastowy zgon w płomieniach? Zacisnąłem powieki i zwarłem dłonie na skroniach aż do bólu.

Dosyć! — pomyślałem. — Jeszcze potrafię sam się zabić. Nikt mi tego nie odbierze. Byłem już zdecydowany. Zabije mnie ten cholerny miotacz. Własnymi moimi rękami może przestawiony. Miał mi zademonstrować moją bezsilność i zależność od tej nieznannej siły, której istnienia nie potrafiłem dłużej znieść. On właśnie mnie zabije. Nie można pokonać Pafa, zwiadowcy i pilota Astropolu Pierwszej Klasy. Pocieszywszy się tym stwierdzeniem wstałem, otrzepując dłonie z błota i kurzu tej paskudnej planety. Rozprostowałem pomięty kombinezon i już unosiłem nogę, kiedy usłyszałem krzyk.

— Nie, nie!!!. — to Polla biegła korytarzem w moim kierunku i krzyczała, by mnie powstrzymać.

Nie dobiegła. To było tak straszne, że mimowolny jęk wyrwał się z moich ust. Prze-frunęła obok mnie płonąca i upadła kilka kroków dalej.

Rozdział 11

ELEMENTY MOZAIKI

Długo klęczałem nad jej ciałem. Szok, który przeżyłem, minął. Przeczolgałem się na drugą stronę fatalnego korytarza i wyszedłem na zewnątrz. Usiadłem na kamiennych schodkach. Wiatr zamiatał piaskiem po wielkiej płycie przed budynkiem. Daleko widniała hałda zniszczonego sprzętu. Słońce stało wysoko. Pomyślałem, że nadszedł czas, aby zreasumować to wszystko, co wydarzyło się na planecie. Na wysłanie meldunku do Astropolu było już za późno, nie mogłem też wystartować. Straciłem broń, zegarek i jedyny sprawny półautomat. Jeżeli wszystkie moje dotychczasowe działania miały jakiś sens, to powinienem teraz dokładnie przeanalizować fakty. Zebrać je, uszeregować i logicznie połączyć. Trzeba pogrzebać w pamięci. Westchnąłem. Wcale nie chciało mi się myśleć. Czuję, że postarzałem się o kilkanaście lat. Bolały mnie wszystkie mięśnie i głowa. Zdawało mi się, że za chwilę rozerwie ją potworne wewnątrzczaszkowe ciśnienie.

Beznadziejność — pomyślałem. — Nic ponadto.

Ruszyłem wzdłuż postrzępionego fundamentu stacji całkiem bez celu. Zacząłem analizować zagadkowe cechy planety, na której się znalazłem. Na Irmie nie występowały istoty o wysoko rozwiniętej inteligencji. Nie było żadnych, oprócz nas, ludzi. Stojaki nie zapuszczały się poza gorącą strefę, ten jeden, którego spotkałem wśród jezior, ledwie żył. A wodne psy? W genealogicznej hierarchii stały o wiele niżej niż stojaki. Jeszcze niżej wielkie gady klimatu umiarkowanego. I wtedy zauważyłem pewną zależność. Im bliżej strefy umiarkowanej, tym większe było zagrożenie dla istot inteligentnych. Właśnie w strefie klimatu umiarkowanego

znajdowały się depresory. W jaki sposób działały? Teraz już wiedziałem, że przeżyłem wejście w depresor przynajmniej trzykrotnie. A może wtedy, kiedy sądziłem, że wypilem narkotyczny napój, poddany zostałem działaniu depresora? Najpierw czuło się zniechęcenie, smutek, nostalgię aż do granicy wytrzymałości, i strach. Potem urealniały się wizje, to, co na taśmie pamięci zapisało się najtrwalej. Depresory wywoływały je stamtąd i roztaczały namacalny niemal obraz w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób. Zawsze jednak udawało mi się z tego wyjść. A co stałoby się, gdybym już stamtąd nie wrócił? Gdybym się poddał do końca? Prawdopodobnie to samo co z tymi wszystkimi, których teraz szukałem. Może byli zbyt słabi, aby się przemóc w decydującej chwili, może zbyt słabe nici wiązały ich z rzeczywistością. Dokonywała się w nich całkowita przemiana. Polla nie pamiętała właściwie, kim jest, nie bardzo wiedziała, co robi. Jej osobowość uległa pełnemu przekształceniu. Żyła tylko chwilą, obecną. Jakby wypełniała jakiś program. Była automatem realizującym narzucone zadania. Kto to spowodował? Kto zaprogramował ją i wszystkich pozostałych ludzi, którzy znaleźli się na Irmie? Nie umiałem odpowiedzieć na te pytania. Tak samo dziwnie jak Polla zachowywał się Makong, kiedy atakował nas, zdzierając skilary. Właśnie. To była następna zagadka. Wydawało mi się, że skilary utrudniają przebieg zjawisk wywoływanych przez depresory, że dopiero ten niesamowity, stubarwny chaos, wywołany brakiem szkielek, umożliwia całkowitą przemianę. Ci, którzy przeszli przez depresor do końca, nie potrzebowali już szkielek. Zakłócenia wzroku, według teoretyków wywoływane przez mózg, nagle znikają. Jakby przejście przez cały cykl było procesem przystosowania do życia na planecie. Przeciwno temu przemawiał jednak fakt, że w depresorze urealniały się wizje Ziemi, nie zaś nowy, odmienny obraz Irmy. Zdawało się więc, że zniesienie tej wzrokowej bariery nie służyło przystosowaniu, lecz miało na celu opanowanie i może unieszkodliwienie ludzi.

Aż przystanąłem, kiedy przyszło mi to do głowy. Czyżbym rozwiązał zagadkę, jaką był brak rozumnego życia na Irmie? Czy jakiś nieznaną czynnik unicestwienia za pomocą skomplikowanego mechanizmu wszelkie żywe istoty, które przekroczyły poziom inteligencji stojaków? Niesamowite! Czy to w ogóle możliwe?

Ruszyłem dalej przed siebie, wciąż nie mogąc pogodzić się z taką hipotezą. A jednak ona wydawała mi się najrozsądniejsza. Na czym miało polegać to unicestwienie? Dlaczego przez całe lata nic takiego się na Irmie nie działo? Przylatywali tu różni ludzie i powróciło stąd dwadzieścia kilka ekspedycji. Nigdy nie zdarzył się nawet najmniejszy wypadek, nikt nie zaginął, nie było ani jednego nieudanego eksperymentu. Co takiego stało się w czasie trwania wyprawy Pioniera 26, że cały system został pobudzony do działania? Żałowałem teraz, że pozostawiłem stację bez opieki. Przepadł przez to dziennik Makonga. Może tam odszukałbym jakieś wskazówki dotyczące tej zagadki. Byłem teraz zdany na własną, zawodną pamięć. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak przypomnieć sobie po kolei to wszystko, co zdarzyło się tuż przed moim przybyciem na planetę.

Ostatni zapis datowany był cztery miesiące przed moim lądowaniem. Dotyczył kłótni Makonga z Dia. Makong uważał, że należy zamknąć się w bazie i nie opuszczać jej pod żadnym warunkiem. Dia twierdziła, że trzeba startować lub szukać zaginionych i starać się wyjaśnić zagadkę. Wymknęła się ze stacji i już nie powróciła, tak samo jak czworo innych przed nią. Makong znikł również. Tekst kończył się zwięzłą notatką o pogorszeniu widoczności. Teraz już wiedziałem, co to oznaczało. Działo się tak zawsze tuż przed uaktywnieniem się depresora. Ta notatka została jednak zrobiona jeszcze na stacji. Czyżby aktywność depresorów była tak wielka? Czy może jeden z nich znajdował się gdzieś w pobliżu stacji? Cofnąłem się dalej pamięcią. Dia zaginęła w Strefie Jezior? Trzy dni wcześniej zniknęła Tea. Uciekła ze stacji, przedzierając się przez pole ochronne. Jej ślad urywał się nagle nad jeziorem Oro. Co pomogło jej przenieść się dalej? Tuż przed nią zaginął Trip. W czasie poszukiwań nad płaskowyżem Fairanda zameldował o pogorszeniu widoczności. I znowu depresor znalazł się bliżej, niż mogłem przypuszczać. Trip stawał się dla mnie najbardziej zagadkową postacią. On jeden

wyszedł z tego cało. Wrócił na Ziemię. Był w okropnym stanie, ale jednak przeżył. Wiedziałem, że uległ depresorowi, lecz albo był bardzo mocny, albo coś pomogło mu wyrwać się z tego kręgu. Gdybym odszukał jego maszynę, może znalazłbym jakieś ślady.

Wcześniej, o ile pamięć mnie nie zawodziła, zniknęli razem Aster i Kora. Nie wrócili z terenów eksperymentalnej uprawy. Druga załoga zniknęła w całości. Po moim przylocie na stację zastałem przełączone fotokomórki. Teraz zrozumiałem tę zagadkę. Przełączenie ich nastąpiło w ten sam sposób, co automatu strzegącego boi mego statku w korytarzu cumowniczym. Potem odkryliśmy łązik w Górach Skiiego. Nie wiedziałem, czy pojawił się tam przypadkiem, czy celowo. Może trafiliśmy na jakiś ślad i to spowodowało ponowne uaktywnienie się depresorów? A potem pojawił się na stacji Makong. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że zwiastował to, co miało się wydarzyć w najbliższym czasie. W przeddzień zniknięcia całej załogi dowiedziałem się o hodowli i znaczeniu *chlorelli irmanis*. Przypisywano jej zdolność niszczenia wszystkich bakterii, które znalazły się w jej zasięgu. Kiedy pojechałem po próbki, zniknęli wszyscy członkowie wyprawy. Dlaczego wyszli z bazy mimo mojego wyraźnego zakazu? Może depresor pojawił się na terenie stacji? Tak! Byłem teraz pewien! Atak Makonga służył tylko do odwrócenia naszej uwagi. Wtedy w bazie znalazło się coś, co później, w odpowiedniej chwili, uaktywniło się i wywołało depresję. Myliłem się jednak co do przyczyny tej aktywności. Cóż za znaczenie mogło mieć odkrycie łązika! Tu chodziło o *chlorellę irmanis*. To ona prawdopodobnie stała się powodem kolejnych zniknięć. Byłem przekonany, że pierwszy wypadek zaginięcia musiał nastąpić niedługo po rozpoczęciu eksperymentów z tą bakterią. Członków drugiej załogi nieszczęście spotkało wtedy, gdy pojęli sens i znaczenie tych doświadczeń. Tylko kim był, u diabła, mój wróg? Nie mogłem już prawie znieść jego absolutnej nieuchwytności. Braku jakiegokolwiek kontaktu. Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie. Może wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy zaniechali tych nieszczęsnych eksperymentów? Czuję, że nieznany przeciwnik doskonale się orientuje, do jakiego stopnia udało mi się rozwikłać zagadkę. Nie miałem wątpliwości, że czuwa nade mną bez przerwy jakieś baczne oko. Do jakiego stopnia wykonuję jeszcze moje własne zadania, a do jakiego jestem już sterowany? Przerazał mnie fakt, że przez tyle lat nieustannych eksperymentów, badania planety, fotografowania i przetrząsania każdego jej zakątka, analiz i diabli wiedzą czego jeszcze, nie natrafiono na żaden ślad mechanizmu, który kontrolował sytuację na Irmie. Z potężnym zaiste przeciwnikiem miałem do czynienia i wątpiłem, czy ta walka ma jakikolwiek sens. Podtrzymywał mnie na duchu tylko przykład Tripa, który przetrwał i wystartował.

Pomyślałem o Polli. Czy poświęcono ją dla osiągnięcia jakiegoś ważniejszego celu? Czy wymknęła się spod kontroli, chcąc mnie ratować, czy po prostu jej zadaniem było nie dopuścić do tego, abym popełnił samobójstwo? Jeżeli tak, to wykonała je bez zarzutu. Wynikał z tego jeden pocieszający wniosek. Nie przeznaczono mi natychmiastowej śmierci. Była więc jeszcze jakaś szansa.

Usiadłem na stercie rdzewiejącego już żelastwa i patrzyłem na pustynię. Piasek kłuł w oczy swoją bielą. Gdzieś na horyzoncie formowały się chmury. Wielkie i sinobrunatne. Nadchodziła burza. Wtem moją uwagę przykuł niewielki, ruchomy punkcik. Przybliżał się powoli, lecz systematycznie, jak mała piaskowa trąba. Zmierzał najwyraźniej w stronę stacji. Machinalnie wyszukałem w kupie złomu stalowy pręt, zupełnie jakby mógł mi w czymś pomóc. Czy naprawdę kawałek żelaza obroniłby mnie? Cisnąłem go z powrotem na stertę z ironicznym uśmiechem. Punkt rósł coraz szybciej. Już wiedziałem. To cwałował mój nieodłączny ostatnimi czasy stojak.

— A więc jesteś, przyjacielu — powiedziałem i podniosłem się, ruszając, w stronę stacji. Postanowiłem zajrzeć do kuchni. Byłem porządnie głodny, a poza tym nadchodziła burza. Dalekie grzmoty przetaczały się nad pustynią i coraz częściej przecinały horyzont świetliste, zielonkawe smugi błyskawic. Za chwilę nad stacją rozpięta się piekło.

Posiłek był skromny. Trzy puszki koncentratu białkowego o smaku homarów i prasowana czekolada. Teraz siedziałem przy ekranie, a na zewnątrz zapadła kompletna ciemność. Rozjaśniały ją jedynie błyskawice, ukazując nieprzeniknioną kurtynę deszczu. W całej stacji bębniło. Woda szumiąc i bulgocząc ściekała do zbiorników. Deszcze zdarzały się w tym rejonie wyjątkowo rzadko, ale nawet dla tak skąpej ilości wody konstruktorzy obmyślili doskonały system jej odprowadzania. Faliste dachy stacji ułatwiały szybkie spływanie wody.

Siedziałem w ciemnościach wypełnionych odgłosami spływającej wody i myślałem o Merze. Zastanawiałem się, czy zobaczę ją jeszcze kiedykolwiek. Ją i Ziemię. To podzwrotnikowe miasto, zieleń drzew. Czy usłyszę kiedyś śpiew zwykłych ptaków. Musiałem podjąć jakąś decyzję. Utknąłem w martwym punkcie. Zdawało mi się, że wiem bardzo dużo o całej tej tragicznej historii, ale nie odzyskałem ludzi, nie udało mi się rozszyfrować depresorów, znaleźć ich i usunąć z Irmy poza system, poza galaktykę! Nie udało mi się nawiązać kontaktu z moim nieuchwytnym przeciwnikiem, bo ten kontakt był na pewno zależny tylko od niego. Ale istniało z pewnością jakieś rozwiązanie. Skoro Trip wrócił, musiało być wyjście z całej tej sytuacji. Trzeba pomyśleć. Zaraz, zaraz... I wtedy przypomniałem sobie, że w czasie depresji urealniamy się wizje, te najsilniej upragnione i najlepiej zapamiętane miejsca i rzeczy. Wstałem gwałtownie. Wystarczy więc tylko intensywnie myśleć o kontakcie! Nie, to mało. Jeszcze musi to sprawiać największą przyjemność. Może w taki sposób uda mi się spotkać wszystkich zaginionych? Jeżeli znalazłbym jednak wśród nich Polłę, znaczyłoby to, że wizje są absolutną fikcją i nie miałbym już wtedy żadnej pewności co do pozostałych osób i rzeczy. Ale z drugiej strony, jeżeli uzyskam logiczne wyjaśnienie jej nieobecności, będę miał pewność, że wizje są realne przynajmniej w pewnym stopniu, że w jakiś sposób są powiązane z rzeczywistością, że nie funkcjonują w całkowitym od niej oderwaniu... A więc kontakt tą drogą byłby wtedy możliwy.

Nowe odkrycie podekscytowało mnie. Budziła się we mnie nadzieja, że może uda się wyrwać stamtąd tych wszystkich, których miałem pilnować i nie spełniłem tego zadania. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Sam nie wiedziałem, jak stamtąd powrócić, a co dopiero, jak zmusić do powrotu innych. Jeżeli wizje miały jakieś powiązania z rzeczywistością, to być może wyjdę z tych wszystkich opresji, na przykład wyobrażając sobie z intensywną przyjemnością, że jestem w stacji, albo jeszcze lepiej w kabinie mojego Pioniera. Co innego, gdy fikcyjność tamtego świata okaże się absolutna. Wtedy prawdopodobnie ani nie wrócę, ani nie spotkam nikogo i nigdy. I co będzie? Po prostu — koniec. Byłem przeświadczony o konieczności podjęcia ryzyka. Bezczyenne siedzenie przy ciemnym ekranie opuszczonej stacji nic nie pomoże. Musiałem coś zrobić, choć nie wiedziałem, czy zbliży mnie to do sedna tajemnicy. Mogłem też jeszcze stąd odlecieć. Mogłem próbować choćby gołymi rękami rozdzierać hartowaną powłokę stacji, żeby od tyłu dostać się do korytarza cumowniczego, gdzie spoczywał mój statek, tak dobrze strzeżony przez miotacz. Nie miałem jednak pojęcia, czy automat nie zacznie ostrzeliwać się i od tamtej strony, a gdyby tak się stało, trafiłby swym płomieniem w korbę cumy i całkowicie odciąłby mi możliwość ucieczki. Mogłem też jeszcze czekać na przybycie następnego zwiadowcy. Nie wiedziałem zresztą, czy taki już nie przyleciał i nie został unieszkodliwiony, nim zdążył zrobić krok. Znając potęgę przeciwnika, wcale bym się nie dziwił. Czy ma sens oczekiwanie na przylot choćby całej eskadry, tylko jak długo? Po co?

Deszcz przestał padać i na ekranie pojaśniało. Wyszedłem na płytę przed budynek. Zmoknięty stojak czekał cierpliwie. Nie był zaniepokojony. Wskoczyłem do łazika i nacisnąłem gaz. Jeszcze z daleka przyjrzałem się stacji. Być może po raz ostatni. Nie jechałem zbyt szybko. Po co męczyć zwierzę? Stojak galopował za mną, potrząsając zwałami niebieskiego futra.

Rozdział 12

PODDAĆ SIĘ, BY ZWYCIĘŻYĆ

Bez trudu odnalazłem tamtą polanę. Od razu poczułem jej chłód, zimne piękno. Im bliżej podchodziłem do kępy drzew, tym smutniejszy stawał się krajobraz. Jednym słowem, wszystko szło dobrze. Pozostało tylko zdjąć skilary i dobrze je schować. Zrobiłem to. Przez moment przeżywałem istny zawrót głowy. Miliardy kolorowych płatków zafalowały przed moimi oczami, po czym ułożyły się w spadającą w dół strugę. Pęd barwnych drobin powoli ustawał, aż wreszcie zamieniły się one w pulsującą, czerwoną magmę. Pośrodku nadal od dołu ku górze rwał potok połyskujących prostokącików. Poczulem, że zaraz zwymiotuję i napłynęło owo dobrze mi znane poczucie beznadziejności. Wzmagало się w miarę tężenia obrazu przed oczami. Stałem przykuty do ziemi, nie mogąc ruszyć ani ręką, ani nogą. Za wszelką cenę usiłowałem myśleć o nich. O obu załogach, które wylądowały ostatnio na planecie. Może łatwiej skupiłbym się, zamykając oczy, ale bałem się ryzykować. Czułem, że nie uda mi się bardziej wzmoczyć tego pragnienia. Musiałem zapełnić wyobraźnię większą liczbą konkretnych obrazów. Przez cały czas zwalczałem uparcie nawracające pragnienie ujrzania Ziemi, lasów i łąk Europy, gór Azji, oceanów i Polli. I stało się. Z purpurowej kurtyny obrazu wyłoniła się pierwsza wizja, krótkotrwała jak błysk. Mój rodzinny dom wśród pól pszenicy. Udało mi się na tyle wywołać uczucie wstrętu, że obraz się załamał, lecz nie zniknął całkowicie i obserwowałem, jak stare wierzby przekształcają się w sosny, modrzewie i duże kamienie gołoborza. Majestatycznie szumiący las wypełniał się już śpiewem ptaków. W szumie rozróżniałem stukot dzięcioła i bliskie bzyczenie muchy.

— Nie, nie tak! — targnąłem się i upadłem na coś miękkiego. Zauważyłem białą, lśniąca pościel i leżący na niej kształt. W ciemności niewielkiego pokoiku rozpoznawałem twarz tej kobiety. To była Mera.

Czy potrafię się od niej wyzwolić? — pomyślałem z przerażeniem. — Jakże trudno jest wzbudzić w sobie nienawiść do kochanej osoby! Gorączkowo wygrzebywałem z pamięci wszystkie złe wspomnienia łączące się z Merą. Ciągłe małe. Mera oddychała równo, spała z kosmykiem czarnych włosów przyklejonym do policzka. Poruszyła się. Wpadłem w panikę. Co będzie, jeżeli się zbudzi? I zaraz potem przyszła refleksja. Przecież jej tu nie ma, ani mnie nie ma tam. Ucieszyłem się z poczucia własnej świadomości i jasności myślenia. Czy mogła istnieć jakaś więź między rzeczywistością Irmy a tą wizją? Chyba tylko przez moją osobę. Otrząsnąłem się. Rozważania trzeba odłożyć na później. Teraz za wszelką cenę musiałem wzbudzić w sobie nienawiść do Mery. I przypomniałem sobie pewne zdarzenie z początków naszej znajomości, nienawidziłem jej wtedy. Znowu ogarniała mnie wściekłość. Bardzo dobrze! Pokój Mery zaczął się rozjaśniać i w tym ułamku sekundy, zanim jeszcze nadeszła następna wizja, udało mi się zobaczyć Eltera. Bardzo tego chciałem. Na spotkaniu z Elterem szczególnie mi zależało. Kiedy obraz się konkretyzował, gęstniał do maksymalnej realności, stało się coś dziwnego. Poczulem znowu nagły, obezwładniający zawrót głowy i jakiś wewnętrzny chaos, lecz na szczęście ani przez chwilę nie utraciłem nad sobą kontroli. Potem zapadła ciemność.

Otrzeptałem kombinezon z błota. Strasznie bolała mnie głowa. Rozejrzałem się po okolicy. Trzy kroki ode mnie, przed wejściem do jaskini, przed płonącym ogniskiem siedział Elter. Z trudem go poznałem. Spod kępek nieregularnych, jakby powygryzanych brwi patrzyły na

mnie wyblakłe, niebieskie oczy. Bruzdy zmarszczek rysowały się dużo wyraźniej niż wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni. Siwe włosy, zlepione w grube kosmyki, przypominały rozwichrzoną koronę drzewa na wietrze. Kombinezon wisiał na nim, złachmaniały, miejscami dziurawy, gdzie indziej wystrzępiony. Dowódca nie zareagował na mój widok. Przyszło mi do głowy, że może mnie nie widzi, ale gdy chciałem zrobić krok w jego stronę, usłyszałem zniecka:

— Nie ruszaj się! Po co przyszedłeś?

Zamarłem w pół kroku.

— Poznajesz mnie? — zapytałem.

— Dlaczego by nie? — odparł ponuro.

— Jestem tu z własnej woli. Rozumiesz? — domagałem się potwierdzenia.

— Nic nowego. Myślisz, że ja znalazłem się tu inaczej?

Zbił mnie z tropu.

— Porozmawiamy tylko chwilę — powiedziałem po krótkim namyśle. — Potem wracam na Ziemię.

— Ja byłem na Ziemi przedwczoraj. Jak chcesz, to możesz tam wracać jeszcze przed rozmową ze mną.

— Nie zrozumiałeś mnie — zaprzeczyłem gwałtownie. — Ja tam polecę statkiem.

— Twoja sprawa. Chcesz zakosztować podróży statkiem, dobra, ale co mnie to może obchodzić! — powiedział ostro.

Czułem, że tracę grunt pod nogami. Nie mogłem mu wytłumaczyć tej najprostszej różnicy. Zmieniłem temat.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałem.

— Szesnaście kilometrów na zachód od jeziora Clear Water.

— Tak blisko płaskowyżu Fairanda! — zawołałem zaskoczony.

— Wiesz, co się stanie, jeżeli mnie będziesz denerwował? — powiedział niespodziewanie.

— No, nie całkiem — odparłem.

— Ucieknę stąd do brzoskwiniowego sadu na przedmieściach Sarajewa.

Nie pomyślałem o takiej możliwości.

— Tam już nie — stwierdziłem po chwili. — Skoro mi powiedziałeś.

— Przeniósłbyś się za mną? — przyjrzał mi się bacznie.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Jesteś wytrwały, więc mów od razu, zamiast mnie ścigać.

— Czy wiesz, co się stało z Pollą?

Skurczył się, jakbym wylał na niego wiadro zimnej wody. Przez moment zdawało mi się, że zniknie i nie będę nawet wiedział, gdzie go szukać.

— A ty nie wiesz? — wyszeptał wreszcie.

— Wiem.

— Dawno jej nie widziałem — powiedział z zastanowieniem. — Czy coś się stało?

— Nie — odrzekłem spokojnie, ale już wiedziałem, że istnieje jakiś związek między naszymi różnymi rzeczywistościami.

Zawahałem się, czy mogę mu wszystko powiedzieć.

— Chodzi o związek między twoim i moim światem — rzekłem.

— O związek — pokiwał głową w zamyśleniu. I nagle roześmiał się. Myślałem, że nigdy nie przestanie się śmiać. Łzy ściekały mu nierównymi strumyczkami po pobrużdżonej twarzy. Przezroczysta kropelka zawisała na końcu haczykowatego nosa. Śmiał się bardzo długo, ale w końcu przestał.

— Gdzie jest Makong? — zapytałem, gdy uspokoił się już zupełnie.

— Nie interesuję się jego sprawami. Ani niczymi. Prosiłem, żebyście mi dali święty

spokój! Bez przerwy jakieś wizyty! Czy nie dość długo byliśmy razem? Wciąż wam mało!
Słuchałem wybuchu gniewu tego starego człowieka z mieszanymi uczuciami.

— Zjeżdżaj stąd! — wyrzucił naraz z wściekłością.

— Nigdy nie używałeś takich słów — powiedziałem zdziwiony.

— Więc słyszysz! — wrzasnął. — I zjeżdżaj!

— Jestem głodny — próbowałem zwlekać. Za wszelką cenę musiałem się przecież czegoś dowiedzieć.

Złagodniał niespodziewanie.

— Ty też jesteś głodny — stwierdził.

— I boli mnie głowa — dodałem.

— To po transferze — zawyrokował. — Mam na to sposób.

Podniósł się i zniknął we wnętrzu grotty. Po chwili wrócił.

— Masz — wręczył mi dwa duże, różowe owoce i kubek zawiesistego napoju. Powąchałem. Śmierdział zgniłym bobem.

— Śmierdzi — rzekł obserwując mnie Elter. — Ale działa!

Wypiłem płyn jednym haustem zatykając nos, po czym zabrałem się do owoców.

— Zjesz i do widzenia — powiedział rozkazująco.

— Dobrze — odparłem z pełnymi ustami.

Dopiero teraz miałem okazję przyjrzeć się otoczeniu. Zrazu wydało mi się, że to ziemski las, ale patrząc uważniej dostrzegłem, że zmienił się jedynie kolor roślin. Zielen we wszystkich odcieniach otaczała grotę. Skilary nie oddawały prawidłowych barw!

— Co tak kręcisz głową? — zagadnął mnie Elter.

— Nic — odpowiedziałem. — Może inni będą gościnniejsi.

— Kto na przykład?

— Makong.

— Nie liczyłbym na to. Może go nawet w ogóle nie spotkasz. On bez przerwy przebywa na Ziemi.

— Chyba że wizytuje bazę — rzuciłem zaczepnie.

— Jaką bazę?

— Naszą.

— Nic nie wiem o żadnej bazie.

— A ty gdzie lubisz być najbardziej? — nadal nie rezygnowałem.

— Już ci mówiłem. Pod Sarajewem.

— A co, jeżeli musisz...

— Niczego nie muszę! — przerwał mi ostro.

— Masz jakieś przywileje?

— Dostyc tego! — krzyknął. — Kończ już!

Połknąłem ostatni kęs i wytarłem ręce o spodnie.

— No, to trzymaj się — powiedziałem, starając się przywołać uczucie nienawiści do tego głupiego, zadufanego w sobie człowieka.

Wywołanie obrazu Makonga nie było proste. Dobrą chwilę błdziłem, nim trafiłem we właściwe miejsce. Myślałem, że to jeszcze jedna pomyłka, gdy wylądowałem na polanie podobnej do wszystkich innych. Na środku stała kępa drzew. Prawie jak na mojej. Odzyskałem świadomość po sekundowej przerwie. Siedziałem oparty o pień makowca. Nie mam pojęcia, dlaczego tak nazwano te drzewa. Nie były podobne ani do ziemskich maków, ani do świętecznych makowców. O krok przed sobą ujrzałem Norę. Prezentowała się nieźle. W przeciwieństwie do Eltera wyglądała świeżo i kwitnąco. Niebieskie włosy miała starannie upięte w kok.

— Nigdy nie widziałem cię w tej sukni — zagałem rozmowę.

— Kombinezony odczłowieczają — stwierdziła, nie zaskoczona moją wizytą.
— Dobrze się czujesz? — spytałem z udanym zainteresowaniem.
— Nie umiesz udawać — powiedziała.
— Czytasz w myślach?
— Z gestów — patrzyła mi prosto w oczy.
— Moje gesty nie mówią, ale to i tak nie ma nic do rzeczy. Chciałem się spotkać z Makongiem, a trafiłem na ciebie.
— Ja też przyszłam się z nim zobaczyć. Jak widzisz, nie ma go. Jest znowu tam. — ostatnie słowo wypowiedziała ze szczególnym naciskiem.
— Nie wiesz gdzie?
— Wiem.
— Więc czemu go nie odszukasz?
— Może on nie chce mnie widzieć?
— Długo będziesz czekać?
— Do skutku.
— Poczekam z tobą.
Poruszyła się niespokojnie.
— Jesteś nietaktowny — stwierdziła bez złości.
Zniknęła, nim się obejrzałem. Znowu więc byłem sam. Przyjmowano mnie niezbyt przychylnie. Nie wiedziałem, co mam teraz począć, czy iść dalej, czy czekać na Makonga. Nie wiedziałem, kiedy wróci. Po chwili namysłu postanowiłam przenieść się gdzie indziej, wpierw jednak musiałem zapamiętać to miejsce, polanę Makonga. W odległości kilku metrów od kępy drzew zauważyłem niewielki głąz. Będzie znakiem rozpoznawczym. Usiłowałem sobie przypomnieć, kto po Makongu mógł być najkompetentniejszy w tamtej załodze. Chyba Dia. Znałem tę Afrykankę ze zdjęć w naukowych czasopismach. Typowa Bantu o płaskim nosie i włosach sterczących niczym kolce jeża.
Tym razem podróż przeszła łatwiej. Nie wiedziałem, czy te liczne przenosiny w ciągu jednego dnia nie wywołują ujemnych skutków, ale na razie czułem się dobrze, a ciekawość gnała mnie coraz dalej. Dia jadła jakiegoś ptaka upieczonego w ognisku razem z piórami. Wyglądała identycznie tak, jak ją zapamiętałem. Jedynie strój się zmienił. Nie miała na sobie kombinezonu. Przestraszyła się, gdy mnie ujrzała.
— Kim jesteś? — krzyknęła, wypuszczając z ręki obgryzane udko.
— Przepraszam — powiedziałem spokojnie. — My się jeszcze nie znamy. Jestem zwiadowca Paf.
— Ach — westchnęła z ulgą. — To ty jesteś Paf.
Taksowała mnie spojrzeniem przez dłuższy czas.
— Czego chcesz? — spytała wreszcie.
— Chcę bardzo wiele, ale z nikim nie mogę się dogadać.
— Widocznie tak musi być — westchnęła.
— Nie rozumiem.
— Ja też nic nie rozumiem — wydęła grube, ciemne wargi.
— Na przykład?
— Na przykład po co tutaj siedzę?
— A wiesz, jak się tutaj znalazłaś?
— Nie pamiętam — pokiwała głową, jakby cofając się w bardzo odległą przeszłość.
— A nie chciałabyś wrócić?
— Dokąd? — zdziwiła się.
— Na naszą stację.
— Nie ma żadnej stacji! — przerwała mi gwałtownie. — Zwłaszcza dla tamtych — wskazała wielkimi, brązowymi oczami niebo.

- Zastanów się — powiedziałem powoli. — I pomyśl o Tripie.
- Czego ty znów chcesz od Tripa?
- Myślę, że wiesz, co się z nim stało.
- Nie mam pojęcia — stwierdziła z przekonaniem.
- A kiedy ostatnio go widziałaś?
- Dawno — odrzekła, wahając się. — Nie wiem, jak mu się powiodło.
- Jest na Ziemi — poinformowałem ją.
- Kiwała głową w zamyśleniu.
- To dobrze — powiedziała wreszcie. — A teraz daj mi spokój. Spotkamy się jutro.
- Jaki to depresor? — spytałem.
- A cóż to jest ten depresor? — zdziwiła się szczerze.
- Nieważne — odparłem. — No, to do jutra.

Wylądowałem na mojej polanie. Myślałem, że będę teraz mógł wrócić do tej rzeczywistości Armii, z której wyszedłem. Próbowałem wciąż na nowo wycofywać się od kępy drzew w stronę łązika. Nic z tego nie wychodziło. Nie potrafiłem nawet zorientować się w kierunkach. Nie pomogły włożone na nos skilary. W nich nie widziałem już zupełnie nic. Chaos. Uporczywie powracały znów wizje Ziemi, nie miałem siły z nimi walczyć. Gdzieś musiałem przecież wylądować, żeby spokojnie przemyśleć to wszystko, co usłyszałem. Polana mnie nie przyjmowała. Postanowiłem się poddać. Wbrew przypuszczeniom nie wylądowałem na Ziemi. Znalazłem się w dziwnym miejscu. Na skalnej półce z czerniejącym w niej otworem grotu. Kilkadziesiąt metrów kwadratowych skalistej powierzchni, Rozglądałem się niepewnie. Wokół milcząco stały szczyty i ciemniały urwiska. Kilkusetmetrowe przepaście i nagie turnie. Przestraszyłem się, że to pułapka, ale cóż mogłem teraz zrobić. Przynajmniej już wiedziałem, co mi przeznaczone. Wszedłem do jaskini. Zapadał zmrok, robiło się chłodno i z trudem różniałem poszczególne przedmioty. Legowisko ułożone z liści. Kilkanaście paczek sucharków. Byłem przerażony nie na żarty.

Moje miejsce stałego pobytu — pomyślałem. — Zesłania.

Usiadłem na stercie liści i bezmyślnie żułem sucharek. Nigdzie nie było ani kropli wody. Suchar boleśnie ranił podniebienie. Odechciało mi się jeść. Zwaliłem się na posłanie jak kłoda i natychmiast usnąłem.

Obudziło mnie słońce świecące prosto w oczy. Wschód. Piękne były wschody w górach. Nawet tutaj. Wyszedłem przed grotę. Pragnienie porządnie dawało mi się we znaki. Szukałem wzrokiem jakiegoś zagłębienia, gdzie znalazłbym może trochę wody. Wspiąłem się na skalę nad jaskinią. Była tam płytka niecka, a w niej nieco stęchłej wody. Wypiłem ją do dna, aż poczułem na języku smak ziemi i piasek zachrząścił mi między zębami. Usiadłem na półce, zwieszając nogi w dół. Lustrowałem otoczenie. Wydawało się, że jestem w górach Skiego, choć nie miałem pewności, czy dobrze rozpoznałem okolicę. Należało znowu spróbować transferu. Przypomniała mi się wczorajsza rozmowa z Dią. Jej słowa dały mi wiele do myślenia. Już wiedziałem, że musiała maczać palce w exodusie Tripa. Ona знаła chyba sposób umożliwiający dostanie się z powrotem do punktu wyjściowego. Trochę teraz żałowałem mego lekkomyślnego postępu, z drugiej jednak strony dalsze siedzenie w bazie nie miało najmniejszego sensu. To, czy stąd wrócę, nie zależało już teraz ode mnie. Zdałem sobie sprawę, jak słabej nitki się uczepiłem, decydując się na eksperyment. Miałem jednak pewność, że istnieje powiązanie obu światów. I Makong, i Polla potrafili pojawiać się przy mnie i wracać, musiał to umieć również Elter, skoro zjawił się w zdemolowanej stacji. Polla nie mogła mi już pomóc. Nie żyła. Czy dlatego, że nie uległa całkowicie? Miałem wątpliwości. Wszyscy chyba byliśmy prawie zupełnie nieświadomi tego, co działo się wokół nas. Staliśmy się ofiarami czyjegoś kaprysu.

Postanowiłem jeszcze odwiedzić Astera, Teę i Tora. Szczególnie dużo obiecywałem

sobie po wizycie u tego ostatniego. Był biologiem, może lepiej niż my wszyscy orientował się w sytuacji? Nie wiedziałem tylko, czy potrafię się z nim porozumieć. Zdecydowałem się na transfer. Na szczęście moje poprzednie obawy okazały się płonne, nie byłem więźniem. Depresor pozwalał na przejścia. Astera nie zastałem. Z jego siedziby przenieśliem się do Tei. Muszę przyznać, że moje wyobrażenie o tej dziewczynie daleko odbiegało od rzeczywistości. Ta Azjatka wyróżniała się szczególną urodą, była smukła, wysoka i czarnowłosa. Złota skóra pięknie harmonizowała z żółtymi oczami. Tym razem ona mnie zaskoczyła.

— Ty jesteś Paf — powiedziała, nie przerywając posiłku.

— Owszem — odparłem.

— Jesteś głodny, masz — podała mi miseczkę z różową papką.

Powąchałem nieufnie. Pachniała korzennymi przyprawami.

— Pięknie pachnie — stwierdziłem.

— Jeszcze lepiej smakuje — odpowiedziała z uśmiechem.

Nabrałem pełną garść wonnej masy. Rozpływała się w ustach.

— Mieszkasz w grocie? — zagadnęła.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — spytałem zaskoczony i zniecierpliwiony.

Roześmiała się dźwięcznie.

— Gdybyś widział swoją minę!

— Możesz mi powiedzieć?

— To nie tajemnica. Powiedziała mi Dia.

— A ona skąd wie?

— Nie mam pojęcia. Pewnie chciała cię odwiedzić i tam ją zaniósł.

— Tea, jak to jest z tym przenoszeniem? — spytałem podstępnie.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Musi być z tego kręgu jakieś wyjście!

— Ty chcesz wyjść? Dokąd?

— Na Irmę. Na prawdziwą Irmę.

Omal się nie zachłysnęła.

— Nikt chyba tego nie próbował — powiedziała po chwili.

— Ja muszę spróbować — odparłem.

— Po co, Paf? Tam przecież nie warto — rzekła z uśmiechem.

Podniosła się i ruszyła ku swojej grocie. Nie było jej kilka minut. Wróciła jedynie w przepasce na biodrach.

— Idę się kąpać — rzuciła, przechodząc obok mnie. — Jeśli chcesz, chodź ze mną.

Skwapliwie przyjąłem propozycję. Jeziorko znajdowało się może kilometr od groty.

— Tea, nie chciałabyś przenieść się ze mną? — starałem się wrócić do poprzedniej rozmowy.

— Nie przepadam za przenoszeniem się w coraz to inne miejsca. Próbowałeś wchodzić w fikcyjne światy?

— Nie — odrzekłem zdziwiony. — Czy to jest możliwe?

— O, tak. Jeżeli nie ma mnie tutaj, to jestem właśnie tam.

— Czy pozostali o tym wiedzą?

— Tak, i nie bardzo im się taka zabawa podoba.

— Więc wrócisz ze mną?

— Za dużo chcesz wiedzieć od razu — powiedziała, otrząsając się z wody.

Wyszedłem na brzeg. Czuję się wspaniale odświeżony. Słońce stało wysoko i przyjemnie grzało wilgotną skórę. Powinienem przenieść się do Tora, ale było mi tutaj za dobrze.

— Zostaniesz ze mną na noc? — zapytała Tea.

— Zależy ci na tym?

— Wiesz — powiedziała spuszczać oczy. — Czuję się tutaj trochę samotna...

Wzmogłem czujność. Taki wstęp nie zapowiadał niczego dobrego.

— A Aster? — spytałem.

— Nie mówmy o nim! To przez niego... — przerwała.

— Co chciałaś powiedzieć? — chwyciłem ją mocno za ramię.

— Masz miłe dłonie — bez zająknięcia zmieniła temat.

— Nie zostanę z tobą — powiedziałem może zbyt stanowczo.

— Nie podobam ci się?

— To nie to. Zbyt wiele zaczynasz, zbyt mało kończysz.

Zatrzymała się, przypatrując mi się uważnie. Jej wąskie oczy zmieniły się przy tym w dwie ciemne kreski na skórze twarzy.

— Zastanowię się nad twoją propozycją — powiedziała wreszcie. — A dokąd mnie zabierzesz?

— Na Irmę — odrzekłem krótko.

— Tor! Tor! — szarpałem biologa za rękaw. Leżał na boku i nie poruszał się. Rozejrzałem się dokoła. Stałem znów na skalnej półce. Mieszkanie Tora przypominało dokładnie moje, tylko że tu były inne góry. Na widocznych ze wszystkich stron szczytach leżał śnieg. Kiedy oddychałem, z ust wydobywał się obłoczek pary. Zjrzałem do wnętrza jaskini. Ciągle zastanawiałem się nad mechanizmem tego przedziwnego sposobu przenoszenia się. Z tego, co zaobserwowałem dotychczas, wynikało, że w sferę coraz głębszej fikcji można przenosić się bez żadnych przeszkód, natomiast droga powrotna odbywała się jakimiś z góry określonymi etapami. I tak zapewne Tea ze swoich fikcyjnych światów poprzez wizję Ziemi wracała do swego depresora na Irmie. Wynikałoby z tego, że droga na tę Irmę, na której lądowały nasze Pioniery i gdzie stała nasza stacja, prowadziła przez jakiś jeden konkretny depresor. Jak mi się zdawało, zbliżałem się do wyjaśnienia samego mechanizmu działania tych pułapek, natomiast pytanie, jakim celom one służyły, pozostawało nadal bez odpowiedzi. Nie potrafiłem też nawiązać najmniejszego kontaktu z moim hipotetycznym przeciwnikiem. Siedziałem w grocie Tora i zastanawiałem się nad tym wszystkim. Było cicho, góry stały milczące i dlatego pewnie tak strasznie zaskoczył mnie nagły grzmot, który wstrząsnął powietrzem. Spojrzałem na niebo, lecz nie było na nim ani jednej chmurki. Serce zabiło mi gwałtowniej. Po lewej stronie widnokręgu, mniej więcej trzydzieści stopni na zachód od miejsca, w którym stałem, ujrzałem na niebie ognisty punkt. Po pewnym czasie wydłużył się on w płonącą linię. Grzmot przeszedł w dudniący, jednostajny huk. Zerwałem się na równe nogi. Na Irmie lądował statek. Widziałem go przez długą chwilę, nim skryły go wierzchołki gór. Przypadłem do biologa i szarpiąc go za kłapy wołałem:

— Tor! Lądują! Słyszysz? Lądują!!!

Poruszył się i jęknął.

— Lądują... — wyszeptał po chwili z wyraźnym wysiłkiem.

— Tor! Tor, co ci jest?! — krzychałem nadal.

— Nic. Ja już nie doczekam.

— Gdzie my jesteśmy, Tor? — pytałem, potrząsając nim w podnieceniu.

— To Góry Północno-Zachodnie. Gdzie oni lądują?

— Trzydzieści stopni za zachód.

— Na płaskowyżu Fairanda. Ale nie wydostaniesz się stąd. Nie będziesz miał tyle sił. Załatwią ich zresztą tak jak i nas. Tylko Pax jest w drodze na Ziemię.

— Nie nowina — powiedziałem bez przejęcia. — Wszyscy tutaj bez przerwy podróżują.

— Ale Pax naprawdę wraca na Ziemię.

— Tor! — krzychałem, przestraszony jego słabnącym głosem. — Powiedz mi, co tu się dzieje?! Kto to spowodował?

— Nie wiem więcej niż ty. Ktoś tu na pewno interweniował.
— Tor, czy ty myślisz o jakiejś obcej cywilizacji?
— Tak, Paf. Czuję, że już się oddalam.
— Jak to, co robisz?
— Tak, będziemy transferować aż do swojego końca. Koniec wygląda tak, jak widzisz. Przenosi się już tylko moja myśl. Walczyłem i przegrywam.
— A inni? Makong? Trip i Pax? Dia, Tea!!! — krzychałem, zupełnie nad sobą nie panując.
— Oni się poddali i tobie radzę to samo, bo skończysz tak jak ja. Mamy zdolność porozumiewania się i dlatego sądzę, że spotka cię taki sam los. Ty też nie potrafisz się poddać.
— Tor, jaki to wszystko ma sens?! Powiedz mi!!! — domagałem się błagalnym głosem odpowiedzi.
Ale Tor już nie dawał znaku życia. Na próżno szarpałem go i tarmosiłem. Tylko ledwie wyczuwalny puls świadczył o tym, że ciało jeszcze funkcjonuje. Spojrzałem na jego zamknięte oczy i zostawiłem leżącego na skalnej półce w otoczeniu zaśnieżonych szczytów.

Tea leżała w grocie.
— Przyniosłam więcej liści — oznajmiła, gdy ujrzała mnie w progu.
— Słyszałaś lądowanie? — podbiegłem do niej z pytaniem.
— Aha. Będzie nas więcej.
— Uważasz, że to dobrze?
— Nie mam pojęcia. Nie zastanawiałam się nad tym.
— Możemy wrócić do naszej poprzedniej rozmowy? — zmieniłem temat.
— Chętnie, ale musisz mi przyrzec, że dzisiaj zostaniesz — powiedziała.
— Przyrzekam. Słuchaj, pozostaje tylko znaleźć miejsce, które nas cofnie na Irmę.
— Nie rozumiem cię. Przecież jesteśmy na Irmie.
— Tak przypuszczałem.
— Co znowu?
— Że zaczniesz mówić od rzeczy. Wszystko ci zaraz wyjaśnię.
Przysiadłem na stercie liści obok niej.
— Ta grotka, w której teraz siedzimy, jest fikcją — zacząłem. — Nie ma jej. Jest całkowitą fikcją.
— Co ty opowiadasz? — zdziwiła się. — Przecież wszystkiego mogę dotknąć?
— A gdy przenosisz się na przykład na Ziemię? — podsunąłem jej.
— No, też mogę. Wszystko jest realne.
— Właśnie. I tu i tam jest realne. Tylko że Ziemia jest o trzydzieści sześć lat świetlnych stąd. Za pomocą punktu stykowego podróżuje się tam trzy dni, a ty to robisz w sekundę. Nie dziwiło cię to?
Zastanowiła się.
— Rzeczywiście. Coś jest fikcją — stwierdziła. — Albo ta grotka, albo Ziemia. Nie — uparła się nagle. — I tu, i tam jest prawdziwie.
— To niemożliwe! — powiedziałem i już zamierzałem zacząć wyjaśnienia od nowa, gdy nagle krzyknęła niemal histerycznie:
— Ale tak jest! Co innego te światy, do których przenoszę się z Ziemi! One są nierealne!
Zdenerwowałem się. Nigdy bym nie przypuszczał, że do takiego stopnia można przekształcić psychikę człowieka, naukowca, członka kosmicznej ekspedycji. Ona nie potrafiła rozumować logicznie. Nic do niej nie trafiało. Bez zastanowienia przeniosłem się na polanę Makonga. Nie dotrzymałem danego słowa, ale czy któreś z nich dotrzymałoby go w stosunku do mnie?

Tym razem miałem szczęście. Spotkałem go. Siedział odwrócony do mnie plecami i nie zauważył chyba mojego przybycia. Stałem za nim i zastanawiałem się nad tym, co powiedział mi Tor. Pax wracał na Ziemię. Po co? Owładnęły mną najgorsze przypuszczenia. Zaczynało się sprawdzać to, o czym do tej pory nie chciałem nawet myśleć. Co on zrobi na Ziemi? Co już zrobił tam Trip? Coraz jaśniejsze stawało się dla mnie, że istoty, które zastawiły na Irmie pułapki — depresory, nie miały wobec tych, którzy w nie wpadną, przyjaznych zamiarów. Zastanawiałem się, co jeszcze może się zdarzyć na tej planecie. Obawiałem się, że cała ta sprawa ma w założeniach jej organizatorów wyjść poza Irnę. Planeta była jakimś niesamowitym poligonem czy też bazą wypadową. Stało się dla mnie jasne, dlaczego ewolucja się zatrzymała. Zniszczono organizmy o wyższym stopniu rozwoju, gdyż przy ich poziomie inteligencji nie potrafiły przekształcić się zgodnie z założeniami jakiegoś programu. Martwota intelektualna Irny została więc spowodowana przez uboczne działanie depresorów niejako przypadkiem. One nie były przeznaczone dla jej stałych mieszkańców. A może właśnie na odwrót? Kto mógł, o ile ktokolwiek mógł, przewidzieć, że zjawimy się tutaj?

Makong nadal siedział nieruchomo.

— Makong — powiedziałem głośno.

— To ty, Paf — rzekł, nic oglądając się.

Nie dałem się zaskoczyć. Już nic mnie nie dziwi.

— Musisz mi powiedzieć, jak stąd wrócić — odezwałem się twardo.

Obrócił się do mnie. Drwiący uśmiech na wargach nie wróżył uległości.

— Paf, chyba żartujesz? — powiedział przyglądając mi się.

— Musisz — wyrzuciłem z siebie i przypadłem do niego, wczepiając się całą siłą palców w jego szyję. Czulem, że coś się we mnie przełamało i jestem w stanie zamordować tego człowieka, jeżeli mi nie ulegnie. Wiedziałem, że potrafię zabić go bez skrupułów i innych tak samo. Wszystkich, którzy nie chcieli i nie, mogli mi pomóc.

— Puść — wycharczał przez zaciśnięte gardło.

— Makong! Jak stąd wyjść?!!

— Nie wiem.

— Zabije cię!!! Makong, ja cię zabiję! Przypomnij sobie, jak to było, kiedy wróciłeś na stację!

Widziałem, jak w jego głodnych do tej pory oczach pojawia się strach. Spurpurowiała twarz pokryła się kropelkami potu.

— Nic nie pamiętam! — krzyknął zduszonym głosem.

Puściłem go i ustawiłem dłoń prostopadle do jego krtani.

— Mów!

— Przez swój depresor dostałem się na tę łąkę, gdzie pierwszy raz przeszedłem.

— To jeszcze nie wszystko! — krzyknąłem, ale Makong już zemdłał.

Ocułem go uderzeniem w twarz i opadłem bezsilnie na trawę. Chwilę siedziałem, wpatrzony bezmyślnie przed siebie.

— Pamiętasz, co mówiłeś do mnie przed chwilą? — zapytałem nagle.

— Że nic nie wiem — odparł zmęczonym głosem.

Chwyciłem go za ramię. Drgnął.

— Makong, a potem?

— Potem nie było nic.

Puściłem go. Przeszła mi ochota na zabijanie.

Zbudziłem się w kabinie mojego Pioniera. Byłem bardzo zmęczony. Ból wprost rozszarpał mi czaszkę. Poleciałem automatowi, żeby odcumował statek. Udało się, choć nie miałem pewności, czy robot nie zostanie zaatakowany ogniem miotacza. Włączyłem rozruszniki. Próbnym ciągiem zmiotł piach z płyty lądowiska. Detonatory ustawiły rakiety w pozycji wyjściowej i

wtedy uruchomiłem silniki startowe. Postanowiłem przed opuszczeniem Army obejrzeć jeszcze raz płaskowyz Fairanda. Wrzuciłem dane do rozdzielnika. Statek zadrżał i z wyciem bluzgał zimnym ogniem dysz startowych, aż w końcu wzbił się ciężko w powietrze. Zapadłem w miękki fotel, przypatrując się zegarom sterowni. Pełgały po nich kolorowe światełka. Ich blask działał na mnie kojąco. Dopiero teraz opadło ze mnie całe napięcie. Punkty przelotu rozjarzały się różowawo na mapie Army. To był ostatni lot mojego Pioniera nad Irmą. Po dziesięciu minutach dostrzegłem płaskowyz Fairanda. Zatoczyłem koło i nadałem sygnał wywoławczy. W lunetoforze przyjrzałem się powiększonemu obrazowi statku, który tu wylądował. Wzdłuż jego korpusu widniał złożony z grubych, czarnych liter napis: Pionier 29. Miał nieco inną budowę niż mój pojazd. Znałem ten typ. Przeznaczony był dla trzyosobowej załogi i wyposażony w pełny zestaw broni. Nie reagował jednak na moje sygnały. Milczał nawet kontrolny automat, zgłaszający się zawsze w razie nieobecności załogi na pokładzie. Osmalenia wokół dzioba świadczyły, że oddano z niego kilka salw. Teraz statek spoczywał nieruchomo, z zadartym w niebo wierzchołkiem, pusty i niemy. Pomyślałem, że jest już po wszystkim. Depresor znalazł się tam wcześniej ode mnie. Dlaczego strzelali? Postanowiłem nie lądować, bałem się, że po raz drugi już mi się nie uda. Mój Pionier przeszedł z elipsy w krzywą odbojową i pokonując siłę ciężkości pełnym ciągiem ruszył ku satelicie Army. Tam miałem doprowadzić pojazd do maksymalnej prędkości. Żegnałem tę planetę pełen obaw. Jakie zadanie przeznaczono Paxowi? Czy zdążę zapobiec czemuś groźnemu, co zdawało się nieuniknione? Wszedłem w punkt stykowy w dobrym stylu i myślałem już tylko o tym, że za trzy dni będę na Ziemi.

Rozdział 13

PILOT-BOMBA

Kiedy pierwsza kosmiczna boja Układu Słonecznego zarejestrowała Pioniera 28, rozpoczął się alarm. Do jego lądowania na Trytonie pozostawało jeszcze sześć godzin, lecz Tarian postanowił nie ryzykować. Jeszcze przed Plutonem zamierzał sprawdzić zawartość statku. Uruchomiono łącza nadzwyczajne. Radiolatarnia zewnętrzna próbowała nawiązać kontakt. Bezskutecznie. Tarian spodziewał się najgorszego. Po krótkiej konsultacji z Ulmem i Gastorem zdecydował, że wyśle eskadrę pojazdów zwiadowczych, które wprowadzą Pioniera na stacjonarną orbitę wokół Plutona. Tam specjalna ekipa miała stwierdzić, czy wszystko jest w porządku i gdyby tak było, doholować statek na Trytona. W południe koordynator Pals wydał rozkaz startu dla sześciu jednostek krótkiego zasięgu, każda z dwuosobową obsadą na pokładzie. Start nastąpił o dwunastej pięć. Nadlatujący statek wciąż nie odpowiadał na wezwania kolejnych radiolatarni. Tarian nie opuszczał głównej hali lotów, gdzie z coraz bardziej zaszępioną miną wpatrywał się w czujniki i ekrany łączności. Tor lotu Pioniera i jego prędkość wskazywały, że sprowadzenie go na orbitę Plutona nie będzie łatwym zadaniem. Napięcie rosło. Pals bez przerwy kontrolował przebieg akcji. Ulm i Gastor gorączkowo opracowywali ewentualne warianty rozwiązań. Brak kontaktu nawet z automatycznym pilotem pędzącego statku powodował wiele komplikacji. Spotkanie z eskadrą miało nastąpić za pół godziny. Wiele wskazywało na podobieństwo do poprzedniego przypadku. O dwunastej czterdzieści pięć podążająca na spotkanie eskadra minęła szybująco ku Trytonowi pojazd, meldując, że nie zauważono żadnych niepokojących uszkodzeń na zewnątrz statku i że przystępuje do manewru zepchnięciu Pioniera na żadaną orbitę. Wbrew niepokojom Tariana, manewr udało się przeprowadzić bez zakłóceń i statek wszedł na wydłużoną elipsę, która miała być jeszcze

skorygowana. Teraz należało pozbawić go możliwości samodzielnego ruchu, co zostało dokonane przez wstrzelenie w dysze sterownicze Pioniera magnetycznie zaczepionych desynchronizatorów ciągu. Trzy statki eskadry zbombardowały lustro fotonowego silnika. Pionier był unieruchomiony. Teraz Tarian wydał rozkaz przystąpienia do drugiej fazy akcji. Polegała ona na wejściu do wnętrza pojazdu i zbadaniu go.

— Ulm i Gastor! — zawołał nieco już rozluźniony szef Astropolu, stojąc przed pulpitem. — Proszę na naradę!

Wszyscy trzej opuścili halę lotów, kierując się do gabinetu Tariana. Dowódca wskazał im fotele, a sam połączył się z Palssem.

— Koordynatorze — powiedział. — Natychmiast po wejściu zwiadowców chcę wiedzieć, kto jest na pokładzie.

— Tak jest — odrzekł Pals i odłożył słuchawkę.

— A teraz, panowie — zwrócił się Tarian do naukowców — musimy jak najszybciej zdecydować, co począć, jeżeli na pokładzie znajdzie się taki sam pilot jak poprzednim razem.

Gastor miał zakłopotaną minę.

— No cóż — powiedział z ciężkim westchnieniem. — To jednak znowu żywy człowiek. Czy wolno nam go zabijać?

— Nie widzę innego wyjścia — odezwał się stanowczo Ulm. — Tak jak musieliśmy zabić tamtego, i tego w końcu będziemy musieli unieszkodliwić.

— Czy naprawdę nie ma innej możliwości? — zapytał Tarian.

— Jest jeden sposób... — zaczął Ulm.

— Niech pan mówi — zachęcił go dowódca.

— Anabioza.

— To zbyt ryzykowne — zaproponował gwałtownie Gastor.

— Ryzykowne — potwierdził Ulm, poprawiając okulary. — Ale jeżeli chcemy czegoś się o tych ludziach dowiedzieć, to przy zwolnionych procesach przemiany materii nam się uda. Być może. Wiemy już, że sekcja zwłok niczego nie wyjaśnia. Nic nie znaleźliśmy. Jedyne efekty pracy całego zespołu ludzi nad problemem Tripa, to kilka zwalczających się nawzajem hipotez, z których żadnej nie umiemy udowodnić.

— Jest pan więc za zamrożeniem tych naukowców, którzy przylecieli Pionierem 28?

— Tak.

— A pan, Gastor?

— Mimo wszystko uważam to za zbyt ryzykowne. Może nauka odniosłaby wiele pożytku, mając do dyspozycji taki materiał, ale nie możemy mieć pewności, że anabioza zahamuje procesy, umożliwiające teleportację. Nie potrafimy też przewidzieć miejsca końcowego, celu transferu. Nawet w przybliżeniu nie orientujemy się, na jakiej zasadzie dokonuje się wybór tego miejsca.

— Słowem?

— Jestem przeciwny.

Tarian zasępił się.

— Postawiliście mnie w kłopotliwej sytuacji — powiedział. — Ja muszę zdecydować i to już. W ciągu najbliższych minut trzeba będzie zacząć działania. Jaką mamy pewność, że ludzie, którzy przylecieli teraz, są zaatakowani przez taki sam zespół czynników? Czy można z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że obdarzeni są tymi samymi cechami, co pilot Trip?

— Trudno nam to stwierdzić z całą pewnością — powiedział ciężko Ulm.

— Może będziemy mieli jeszcze trochę czasu do namysłu. Trip przebywał na Trytonie kilka dni, zanim zniknął — wtrącił się Gastor.

— Panowie — zaczął Tarian z ponurym wyrazem twarzy. — Nie umiemy przecież

określić również i daty. Co będzie, jeżeli oni teleportują się wcześniej?

W tym momencie zadzwonił holofon. Tarian nacisnął guzik.

— Słucham — rzucił.

— Tu Pals — głos koordynatora zdradzał wielkie podniecenie. — Weszli na pokład. Pojazd jest pusty.

— Co? Czy pan jest tego pewny?!

— Tak jest, dowódco. Na pokładzie nie ma nikogo!

Tarian wyłączył holofon.

— Słyszeliście, panowie — powiedział do naukowców, którzy poderwali się ze swoich miejsc. — Problem chyba rozwiązał się sam.

— Obawiam się — rzeki Ulm — że transfer nastąpił przed lądowaniem.

Tarian błyskawicznie wcisnął numer.

— Halo! — krzyknął w słuchawkę. — Połączcie mnie z Pandykiem! Szybko!

Cisza trwała przez ułamek sekundy.

— Pandyk! — wołał Tarian. — Natychmiastowy alarm dla całej Ziemi! Wszystkie jednostki SJA do akcji! Poszukuje się wszystkich członków załogi Pioniera 28! Przechwyliśmy na orbicie pusty statek! Załoga prawdopodobnie przebywa już na Ziemi! Za godzinę ogólna odprawa w Istambule!

Wyłączył holofon i opadł na fotel.

— Co teraz będzie? — mamrotał pod nosem, — Co będzie?

Pierwszy alarmujący sygnał dotarł do nich jeszcze w drodze. Musieli zmienić pierwotny plan. Postanowili lądować bezpośrednio w Brukseli. Pandyk donosił o niewiarygodnym wprost przypadku zbiorowego szału samobójczego, który opętał widzów w jednej z sal kinowych tamtejszego centrum rozrywki. W Brukseli skoncentrowano większość sił SJA z zachodniej Europy. Jednocześnie pojawiły się doniesienia o hysterii i szoku, któremu ulegli bezpośredni obserwatorzy tragicznych wydarzeń. Sala kinowa, znajdująca się na szóstym piętrze gruszkowatego wieżowca, który był głównym budynkiem centrum, miała wiele wąskich okien, służących jako wywietrzniki wspomagające wentylację. Tymi właśnie okienkami setki ludzi rzucały się w wielometrową przepaść. Inni podcinałi sobie żyły korzystając z potłuczonych kieliszków po przyniesionych z baru napojach, jeszcze inni posłużyli się przedmiotami, które mieli przy sobie: scyzorykami, żyletkami i nożyczkami.

Tarian nerwowo kręcił się na fotelu, nie mógł doczekać się lądowania. Momentami ogarniała go rozpacz. Nie wiedział, czy SJA potrafi podolać zaskakującej sytuacji. Według doniesień Pandyka, w miejscu wypadku jeszcze do tej pory trwała atmosfera nieokreślonego smutku i depresji. O tym już wiedzieli. Przed każdym samobójczym zamachem wybuchało coś na kształt depresyjnej bomby, co doprowadzało do takich właśnie tragicznych wypadków. Tym razem jednak wyglądało na to, że osobnik znajdujący się na Ziemi dysponował o wiele większym ładunkiem niż Trip. Tarian wciąż nie był zdecydowany, jak traktować ten cały problem. Czy wyzwolenie się owej dziwnej energii jest konsekwencją pewnych zmian w organizmie i psychice jej nosiciela, czy też jest to świadomie rozpraszany ładunek depresyjny, coś w rodzaju dawniej stosowanych gazów bojowych? Sęk w tym, że do tej pory nie udało się uchwycić najmniejszych nawet śladów owej substancji czy energii. Tarian coraz bardziej skłaniał się ku temu drugiemu wariantowi. Cel całej akcji stawał się dla niego coraz jaśniejszy. Masowe samobójstwa wprawiały w panikę tysiące ludzi, obserwatorów i rodziny ofiar. To, co działo się w tej chwili w Brukseli, dowodziło, że nadszedł już moment ostateczny. Utrzymywanie społeczeństwa w częściowej nawet nieświadomości traciło sens i zaczynało być wręcz niebezpieczne. Dwanaście wypadków śmiertelnych sprzed kilku tygodni stało się przyczyną wielkiego zamieszania wśród osób reprezentujących władzę. Tragiczne wydarzenia pozostawiły trwałe ślady w ludzkiej psychice. Kolejny atak, tym razem nieznanego przeciwni-

ka, mógł sparaliżować rządy i społeczeństwa. Tarian doskonale zdawał sobie sprawę z nieobliczalnych konsekwencji, jakie może wywołać obecna sytuacja.

Na Lunie, gdzie musieli się przesiadać, powitała ich skonsternowana obsługa i kierownictwo. Niedługo — pomyślał Tarian — nie będzie tu mógł wylądować żaden statek. Wygląda na to, że ludzie, którzy tu pracują, mają ochotę uciec jak najdalej od zaatakowanej Ziemi. Wydał rozkazy przyspieszenia startu wszystkich jednostek Astropolu z Trytona. W bazie łączności pozostało tylko czternastu ludzi. Poleciał też nawiązanie stałej, bezpośredniej łączności między Trytonem, Ziemskim Centrum Lotów i wszystkimi wielkimi miastami obu półkul. Gdy już tylko sekundy dzieliły go od odlotu do Brukseli, nadszedł następny meldunek od Pandyka. W paryskim lokalu „Moulin Rouge” doszło do kolejnej tragedii. Tarian natychmiast wydał rozkaz rozprowadzenia wśród ludności zaatakowanych miast podwójnej dawki psychostymulatorów antydepresyjnych, a wśród wszystkich innych mieszkańców Ziemi dawki normalnej. Długo, kto wie, czy nie za długo zwlekał z tą decyzją. Zdawał sobie sprawę, że wprowadzenie stanu ciągłej gotowości dla wszystkich placówek służby zdrowia stanie się przyczyną dodatkowego zamętu. Nie można jednak już dłużej zwlekać. Komunikat o ogłoszeniu stanu wyjątkowego został nadany na całej Ziemi. Po krótkiej podróży Tarian i dwaj naukowcy znaleźli się w Brukseli. Na miejsce wypadku pojechał Ulm. Gastor bez chwili zwłoki udał się do Paryża. A Tarian następnym lotem strato poleciał do Warszawy, do Ziemskiego Centrum Lotów. Czekają tam na niego wiadomości z Trytona o starcie jednostek Astropolu oraz niepokojące wieści o stłumionym za pomocą psychostymulatorów buncie obsługi na Lunie. W chwilę po tym, kiedy szef Astropolu skończył studiowanie owych meldunków, zadzwonił holofon. Pandyk donosił o liczbie ofiar, a Ulm o pierwszych wynikach badań.

— W sali kinowej — mówił Pandyk — przebywało sześciuset widzów. Wszystkie bilety były wykupione, to był film bardzo modnego ostatnio reżysera.

— Ile ofiar? — zapytał ponuro Tarian.

— Pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć — oświadczył Pandyk. — W tym czterysta jednaście śmiertelnych. Sto osiemdziesiąt osiem osób udało się odratować. Wskakiwali z okien. Nie wiem, czy pan widział kiedyś otoczenie głównego budynku tego centrum rozrywki?

— Nie byłem tam.

— Wokół gmachu stworzono coś na kształt ostrokołu. Gęste iglice skierowane w niebo. Całe setki. Taka rzeźba.

— Już rozumiem. A inni?

— Różnie. Jedni powieszani, inni z podciętymi żyłami, gardłami lub innymi uszkodzeniami.

— Jest tam Ulm?

— Owszem.

— Daj mi go.

Po krótkiej przerwie zabrzmiał w słuchawce głos Ulma.

— Słucham.

— Wiesz już coś? — spytał go Tarian.

— Nic znaleźliśmy żadnych śladów samej substancji, ale mogę mniej więcej określić mechanizm tego zjawiska.

— No?!

— Depresja jest wywołana prawdopodobnie przez wzrost dodatniej jonizacji powietrza z prawie całkowitym wyeliminowaniem z otoczenia jonów ujemnych.

— Niewiele mi to mówi.

— Od ilości ujemnych i dodatnich jonów w powietrzu, którym oddychamy, zależy samopoczucie człowieka. Im więcej dodatnich, a mniej ujemnych, tym gorsza równowaga organizmu. Występują stany lękowe, poczucie wyobcowania, samotności, zanik pamięci, utrata świadomości i zamachy samobójcze. Tak zwany amok depresyjny, dobrze znany spec-

jalistom dwudziestego wieku, tym od wojny chemicznej.

— Rozumiem.

— Stwierdziliśmy, że jeszcze w tej chwili ładunek dodatnich jonów w powietrzu sali kinowej przekracza normę.

W gabinecie rozległ się kolejny dzwonek.

— Muszę przerwać - powiedział Tarian do Ulma. — Zdaje się, że są wiadomości od Gastora.

Rzeczywiście włączył się Paryż. Liczba ofiar śmiertelnych wyniosła sto osób. Sześćdziesiąt cztery uratowano. Tarian gorączkowo zastanawiał się, gdzie nastąpi kolejny atak. Liczba ofiar drugiego wypadku była znacznie mniejsza, jednak nie łudził się, że siła, jaką dysponuje człowiek z Pioniera 28, jest ograniczona.

Tymczasem pilot Pax ze stoickim spokojem przemierzał ulice Mediolanu. Czuł się znacznie lepiej niż na początku. Za każdym razem zrzućenie ładunku przynosiło mu ulgę. Nie zastanawiał się nad niczym. Uczucie pustki i samotności, które nie opuszczało go od momentu odlotu z Irmy, teraz znacznie zmalało. Nie na tyle jednak, by mógł pozbyć się tego bolesnego niepokoju, który nakazywał mu ciągłe zmiany miejsca pobytu. Zatrzymał się na ruchliwym skrzyżowaniu poczuł bowiem, że znów zbliża się bolesny skurcz. Wiedział, że już nie przejdzie na drugą stronę ulicy. Za chwilę znajdzie się na innej ulicy, w innym mieście, może na innym kontynencie. Skurcz narastał, aż Pax zachwiał się z całej siły ściskając skronie. Wydał nieartykułowany krzyk i stało się. Zapadła nad nim ciemność. Pisk hamulców rozpedzonych pojazdów, zgrzyt blach, dźwięk tłuczonego szkła i jęk ofiar wypełniały teraz skrzyżowanie. Zdawało się, że wszyscy kierowcy oszaleli. Przechodnie rzucali się pod nadjeżdżające pojazdy, a te, nabierając szybkości, z wyciem silników skręcały gwałtownie, by rozbić się o słup, inne wjeżdżały na chodniki i uderzały w ściany budynków. Wielka ciężarówka, która z całym impetem wpadła przez wielką, szklaną ścianę do restauracji, stanęła w płomieniach. Detonacja wybuchu targnęła budynkiem, który zachwiał się i, pokrywszy siatką pęknięć, runął w kanion ulicy. Wrzawę przygłuszały inne detonacje. Silniki wybuchały jeden po drugim. Płonęły budynki. Jęki konających mieszały się z wyciem syren. Z uszkodzonych przewodów sączył się gaz. Zgęstniałe od dymu powietrze rozcinały błyskawice krótkich spieć. Panowała ciemność, rozświetlona jedynie reflektorami samochodów straży i SJA oraz ogniskami pożarów. Ci, którzy wyszli z tej masakry bez szwanku, siedzieli na krawężnikach, niezdolni wymówić słowa. Z przerażeniem patrzyli na rozwijający się pożar. Ogień, rozdmuchiwany przez wiatr, obejmował kolejne domy. Zaalarmowano jednostki straży z sąsiednich miast. Służba sanitarna pracowała jak w ukropie. Ludzie dwoili się i troili. Dawali z siebie wszystko, lecz ich twarze pozostawały obojętne. Potrójne dawki środków stymulujących pozwalały nie odczuwać strachu i bólu. Zbierali konających, rozgrzebywali ruiny, aplikowali zamartłym w szoku niezbędne leki. Przygnębiające milczenie przerwał tylko na chwilę czyjś opętańczy śmiech. Zaraz jednak ustąpił spazmom płaczu i ucichł wewnątrz karetki. Nieprzerwany sznur pojazdów sunął w kierunku szpitala Santa Vinici. Około szóstej nad ranem ugaszono ogień. Spłonęło osiemnaście budynków, zginęło sześćset osiemdziesiąt osób, dalszych osiemset piętnaście było rannych. Stu dwudziestu nie odnaleziono. Szoku doznało prawie cztery tysiące osób. Kilkaset z nich zostało zatrzymanych na dłużej w stymulacyjnej klinice na przedmieściu. W ciągu kilku godzin uciekło z miasta sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a rzeka pojazdów opuszczających Mediolan rosła nieprzerwanie aż do południa następnego dnia. Gazety przyniosły przygnębiające relacje z wypadków w Brukseli, Paryżu i w Mediolanie. Jakiś nieodpowiedzialny dziennikarz „Timesa” wysunął hipotezę, że zaatakowane zostaną wszystkie duże miasta. Rozpoczęły się masowe ucieczki z wielkich metropolii. Szosy w krótkim czasie zostały zablokowane przez setki korków. Przepelnione strato i szynobusy nie mogły rozładować sytuacji. Rozkłady jazdy zdezaktualizowały się. Exodus trwał. Ludzie

rzucali pracę i nie licząc się z niczym zamykali domy, sklepy i urzędy. W Kolonii najpierw ograniczono, potem zaprzestano w ogóle łączenia rozmów międzykontynentalnych, później zawieszono połączenia wewnątrzkontynentalne, aż wreszcie zamarł zupełnie koloński ośrodek łączności. Pozostały jedynie łącza automatyczne, w których blokada sygnałów trwała niekiedy do kilkunastu minut. Podobnie działo się we wszystkich większych miastach.

Następny atak miał miejsce w Warszawie. Najruchliwsze, sześciopoziomowe skrzyżowanie w tak zwanym starym centrum miasta stało się widownią podobnie krwawych wypadków, co skrzyżowanie mediolańskie. Narożny budynek banku uległ całkowitemu zniszczeniu. Spłonął ciąg popularnych supermarketów. Wybuchy zniszczyły tunel na trzecim poziomie i zablokowały metro. Wręcz paradoksalną rzeczą było jednak to, że atak zdarzył się o trzy kilometry od Ośrodka Koordynacji, gdzie Tarian gorączkowo pracował nad ustaleniem miejsca kolejnego ataku. Kiedy osobiście obejrzał skutki wypadku, postanowił zwołać konferencję. Ściągnął do Warszawy cały sztab specjalistów. W tym czasie doniesiono mu o pogłębiających się objawach paniki i o unieruchomieniu stacji na Lunie, której załoga samowolnie odleciała w kierunku baz wenusjańskich. Miały więc miejsce fakty wyjątkowo alarmujące.

Konferencja rozpoczęła się punktualnie o jedenastej meldunkiem Palsa, który przyleciał wraz z całym oddziałem Astropolu z Trytona.

— Chciałbym złożyć raport — rozpoczął siwy astronom — o rezultatach naszej misji na pokładzie Pioniera 28. Pominę zbędne szczegóły i ograniczę się do jednego zasadniczego punktu. Odnalezione przez zwiadowców ślady stanowią dowód obecności na pokładzie w czasie powrotnego lotu tylko jednej osoby. Nie możemy niestety ustalić, kto to był. Najprawdopodobniej ten, kto potrafi wprowadzić statek z dużą precyzją w punkt stykowy. Świadczy o tym fakt wyjścia Pioniera 28 ze styku po naszej stronie z dużą nadprędkością, w taki sposób, że manewr przechwycenia i skierowania go na żadaną orbitę natrafił na komplikacje. Pojazd mógł więc prowadzić jego pilot Pax lub dowódca wyprawy, Elter. Obaj posiadali doświadczenie pozwalające na dokładne przeprowadzenie manewru przejścia przez styk. Wykluczamy zwiadowcę Pafa, jak również członków poprzedniej załogi, gdyż dezaktywacyjna analiza pyłów zebranych na pokładzie nie potwierdziła ich obecności na statku nawet w czasie jego postoju na Irmie.

Następnie zabrał głos Pandyk, przedstawiając wyniki przeprowadzonego naprędce śledztwa w sprawie wypadków w Brukseli i Paryżu, a także w Mediolanie.

— Niestety nie dysponuję jeszcze — mówił do wypełnionej po brzegi sali — wynikami śledztwa toczącego się w sprawie warszawskiej tragedii. Być może rzuciłyby one jeszcze więcej światła na katastrofalne wypadki ostatnich dni. Ustalono już, że w Brukseli z całej widowni ocalał jeden człowiek, którego dotychczas nie odnaleziono. Według nas był nim sprawca. Podano nam rysopis mężczyzny, który na kilka sekund przed uaktywnieniem się czynników powodujących depresję zachowywał się dziwnie. Świadek, kobieta, mieszkanka Rotterdamu, zeznała, iż przypomina sobie człowieka, który krzyczał. Zaraz potem znalazła się już w stanie szoku. Również inni świadkowie, którzy przeżyli brukselską tragedię, pamiętają ten krzyk. Nie potrafili jednak podać rysopisu. Otrzymaliśmy również rysopisy z Paryża i Mediolanu. Niestety są one dosyć sprzeczne. Świadkowie zgodni są jednak co do tego, że człowiek przez nich zapamiętany zachowywał się dziwnie. Krzyk mężczyzny tuż przed wypadkiem pamiętają niemal wszyscy uratowani z masakry. Nie możemy na podstawie tych rysopisów określić osoby w sposób jednoznaczny. Przychylamy się do hipotezy Palsa.

Po słowach Pandyka salę wypełniła wrzawa. Tarian uciszył zebranych ruchem ręki.

— Wysłuchajmy ustaleń komisji naukowej Ulma na temat mechanizmu wywołującego amok, bo tak musimy nazwać to, co powoduje wśród ludzi nasz przeciwnik.

Ulm podniósł się i zaczął mówić, patrząc uważnie w cichnący powoli tłum słuchaczy.

— Nie znaleziono śladów substancji, za której przyczyną następuje wyładowanie. Odkryliśmy jedynie efekt jej działania w postaci zwiększonej ilości dodatnich jonów w powie-

trzu zaatakowanych miejsc. Należy przypuszczać, że przeciwnik wyzwala energię jonizującą w momencie transferu, czyli teleportacji. Być może, jest ona ubocznym czynnikiem tego zjawiska. Niewykluczone też, że wydzielanie jej nie ma nic wspólnego z transferem, bo na przykład wyzwala ją groźny psychostymulator, który funkcjonuje jako swego rodzaju bomba.

— Jak mamy to rozumieć? — rozległy się krzyki z sali. — Czy mamy do czynienia ze świadomą akcją? Czy to inwazja?!

— Wszystko wskazuje na to, że jest to świadomy akt agresji przeciw ludzkości. Wymierzony w rozumne życie naszej planety. Nie chcę przez to powiedzieć, że ci ludzie, członkowie naszych ekspedycji — pilot Trip i obecnie ten drugi — świadomie biorą w nim udział. Wszystko przemawia za tym, że są używani jako swoiste przekaźniki szkodliwej energii. Zostali w jakiś sposób przekształceni przez nie znane nam czynniki, prawdopodobnie w czasie pobytu na Irmie. To wszystko, co mogę powiedzieć o wynikach pracy komitetu naukowego.

— Teraz — powiedział podnosząc się Tarian — możemy przejść do sprawy najistotniejszej. Podjęliśmy już kroki mające na celu zabezpieczenie ludzkości przed zgubnym działaniem nieznannej broni. Są to jednak środki nie w pełni wystarczające. W tej chwili na całej planecie zastosowano potrójną dawkę leków stymulujących. Pełną mocą działają jonizatory powietrza we wszystkich pomieszczeniach publicznych i domach prywatnych. Rozesłaliśmy do wszystkich jednostek SJA i załogi Astropolu, którą ściągnęliśmy z Trytona, fotografie obu poszukiwanych kosmonautów. Umieściliśmy je we wszystkich gazetach i są emitowane bez przerwy w holowizji. Utrzymujemy stałą łączność ze wszystkimi wielkimi ośrodkami. Jak na razie zaatakowane zostały tylko duże miasta, nie jest jednak wykluczone, że atak może nastąpić i na małe miejscowości, jak to się stało poprzednim razem. Nie jesteśmy w stanie określić miejsca kolejnej tragedii i właściwie głównie w tym celu zebrałem was wszystkich tutaj. Wysłuchamy każdej hipotezy dotyczącej lokalizacji ataków i sprawdzimy ją, nawet gdyby brzmiała niewiarygodnie.

Tarian przerwał, gdyż na podwyższeniu, gdzie zasiadali przedstawiciele Astropolu, zapanało nagle poruszenie. Ktoś podał mu kartkę. Tarian przebiegł ją wzrokiem i przeczytał matowym głosem;

— Została zaatakowana Ufa. Liczba ofiar śmiertelnych wynosi ponad tysiąc.

Na sali zawrzało. Przez hałas przedarł się jednak jakiś głos.

— Ufa! Tak jest. Ufa! Czy mogę coś powiedzieć?

Tarian dłuższy czas szukał oczyma źródła głosu, aż ujrzał wymachującego rękami młodego człowieka.

— Cisza! — krzyknął. — Proszę do nas! Niech pan pozwoli!

Młody mężczyzna przepychał się przez cichnący tłum. Odprowadzały go ciekawe spojrzenia.

— Nazywam się Lnik — rozpoczął stając na podium obok Tariana. — Jestem systematykiem. Nie wiem, czy moje spostrzeżenie jest słuszne, ale systematykowi samo się narzuca. Następnym miejscem będzie według mnie Tai Juan.

Po jego słowach znów wybuchła wrzawa.

— Opieram moje przypuszczenie na prostej zależności — mówca podniósł głos, starając się przekrzyknąć gwar. — Pierwszy atak nastąpił w Brukseli, drugi w Paryżu. Jeżeli za jednostkę miary przyjmiemy odległość z Paryża do Brukseli, mierzoną w linii prostej, w odległości dwóch jednostek od Paryża otrzymamy Mediolan! W odległości czterech od Mediolanu znajduje się Warszawa! W odległości ośmiu jednostek od Warszawy Ufa! Jedynym wielkim skupiskiem miejskim położonym w odległości szesnastu jednostek od Ufy jest Tai Juan! A następnym celem będzie z pewnością Dar es Salam!

Dalsze słowa młodego systematyka utonęły w ogólnym hałasie. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem. Sala obrad przypominała gniazdo poruszonych os. Tarian

wiedział, że dalsze prowadzenie konferencji jest bezcelowe.

Świt w Tai Juan miał te szczególne barwy azjatyckich wschodów słońca. Niebo rozjaśniało się pastelowymi odcieniami tęczy, lecz miasto pogrążone było jeszcze w mroku. Puste i ciche zwykle o tej porze ulice przemierzali tego dnia zwiadowcy Astropolu. Krążyli po uśpionych jeszcze dzielnicach milionowego miasta pojedynczo i grupkami. Tarian zlikwidował Ośrodek Koordynacji w Warszawie i przeniósł się do starej chińskiej metropolii. Chciał osobiście kierować akcją. W ciągu trzech godzin od zakończenia konferencji warszawskiej przetrzucił do Azji dwie trzecie sił SJA i oplótł miasto siecią kamer, czujników jonizacyjnych, receptorów czułych na każdą znaną substancję o właściwościach depresyjnych, jakiej kiedykolwiek używano na Ziemi. Prawie wszystkie ulice miasta objęte były zasięgiem kamer. Liczne patrole zapuszczały się na dalekie peryferie, przedmieścia z drewnianą zabudową, w uliczki pozbawione bruku i śródleśne ścieżki. Tarian przypuszczał, że przeciwnik jest już w mieście. O świcie postanowił rozpocząć przeszukiwanie domów. Zadanie SJA było właściwie proste. Nie tak trudno znaleźć Europejczyka w chińskim mieście. Po wydaniu odpowiednich rozkazów zszedł do podziemi pagody Kon Fu, gdzie w naprędce przygotowanym pomieszczeniu czuwał sztab obserwatorów, nieustannie wpatrzonych w ekrany monitorów połączonych z siecią kamer. W pół godziny później ktoś z obsługi kontrolującej monitory poinformował Tariana, że boczną ulicą ucieka człowiek, unikający patroli. Biegł w stronę przedmieścia Gao Tung Fao. Na szczęście znajdował się cały czas w zasięgu kamer.

— Koncentracja jednostek z rejonu sześć — zarządził dowódca. — W kierunku sektora 8 zmierza człowiek unikający patroli. Wygląda na Europejczyka. Nie zgubcie go i czekajcie na dalsze rozkazy.

Na uciekającą sylwetkę nastawiono kamerę komputera. Pamięci komputera przekazano na perforowanych kartach zakodowany obraz obu poszukiwanych kosmonautów. Maszyna pracowała dłuższą chwilę. Musiało nawarstwić się na siebie wiele ujęć biegnącej sylwetki, aby mózg mógł ze stuprocentową pewnością określić, kim jest ten człowiek. Zanim jeszcze komputer ustalił tożsamość uciekającego, czujnik zainstalowany na trasie jego wędrówki zanotował wzmożoną jonizację dodatnią. W sekundę potem maszyna wystukała na ekranie tylko trzy litery. A więc trafiliśmy — pomyślał Tarian. Pilot-bomba Pax przemierzał ulice Tai Juan coraz bardziej oddalając się od centrum.

— Natychmiast wezwać Selgiego! — krzyknął w mikrofon szef Astropolu.

Selgi zjawił się w ciągu minuty.

— Popatrz — powiedział Tarian wskazując ekran.

— To Pax — stwierdził Selgi i uśmiechnął się.

— Kierujemy go obławą w pułapkę. Będzie musiał przejść przez plac Czou Ena. Wybierz tam miejsce dla siebie. I jeszcze jedno — Tarian ścisnął zwiadowcę za ramię. — Masz tylko jeden strzał.

— Wystarczy — odparł Selgi, mrużąc przejrzyste oczy. — Wystarczy.

Po chwili Tarian obserwował, jak zwiadowca lokuje się na dachu budynku wznoszącego się na rogu placu. Widział też, że pilot Pax nieuchronnie ku temu miejscu zdąży. Dochodził właśnie do rogu.

Kiedy Selgi usłyszał w cichej uliczce odgłosy kroków, skoncentrował się. W słabym świetle latarni ujrzał na murze wydłużony cień. Przełożył broń do drugiej ręki. Spojrzał w lunetkę. Ciemna sylwetka wyłoniła się z zaułka. Selgi szybkim ruchem wyprostował się, nie spuszczając tego człowieka z krzyża celownika. Tarian, patrząc w ekran monitora, zauważył dziwny refleks, jakby poblask od oksydowanej lufy broni. Zaraz potem rozciął powietrze błysk, słychać było suchy trzask lasera. Człowiek, który nie powinien był już wstać, zerwał się z bruku i biegiem ruszył przed siebie. Drugi błysk powstrzymał go, lecz nie zabił, bo w dalszym ciągu się poruszał. I wtedy okolicznymi zabudowaniami targnął potężny huk. Tarian

wiedział, z czym ma do czynienia. Rzucił okiem na ekran. Selgi spadał na ziemię wraz ze szczątkami dachu budynku. Paxa nie było. Znajdował się już w Dar es Salam. Tarian przekazał prowadzenie akcji Pandykowi. Zarządził natychmiastową ewakuację zaatakowanej okolicy. Wybuchy raz po raz rozjaśniały ciemne jeszcze niebo. Gejzery ognia przyćmiewały swoim blaskiem naturalne światło wschodzącego dnia. Wkrótce szpitale były pełne i kolejne ofiary depresyjnej bomby przewożono do Pekinu. Miasto straciło osiem tysięcy mieszkańców, a SJA stu dwudziestu ludzi. Mało brakowało, a zginąłby i Selgi.

Akcja w Dar es Salam trwała krótko. Obyło się bez ofiar. Drugi strzał Selgiego był na tyle celny, że pilot Pax nie zdołał przenieść się dalej. Jego ciało znaleziono w jednym z białych zaułków miasta. Natychmiast ogłoszono tę wieść we wszystkich środkach masowego przekazu. Świat odetchnął. Minie jeszcze wiele czasu, nim uda się zaleczyć straszliwą ranę zadaną Ziemi i jej społeczeństwu. Na razie życie z dnia na dzień wracało do normy. Ludzie z powrotem przybywali do miast, zaczynały funkcjonować centrale łączności, urzędy i komunikacja. Porządkowano zrujnowane miasta, zwłaszcza Ufę, Tai Juan i Warszawę.

Tarian mimo zadowolenia z wykonania trudnego przedsięwzięcia nie był dobrej myśli. Wiedział, że na Irmie przebywa jeszcze wielu ludzi, którzy mogą powrócić w każdej chwili. Czy wystarczy zabić kolejnego przybysza? Z pewnością nie! Teraz dopiero zrozumiał, że wysłanie nowej, trzyosobowej grupy zwiadowców na Irmę, na kilka dni przed pierwszym atakiem Paxa, było zupełnie bezsensowne. Na Irmie znajdowało się czternaście osób, z których każda mogła stać się taką żywą bombą, jak dwaj piloci. Nie naruszony od wielu lat spokój Ziemi został doszczętnie zburzony w ciągu kilku dni i trudno przewidzieć, jakie pociągnie to za sobą konsekwencje. Jedno było pewne. Dla Astropolu praca dopiero teraz rozpoczynała się na dobre. Bomba-Pax w stosunku do bomby-Trip została udoskonalona. Skutki jej działania były tragiczne i Tarian nawet bał się myśleć o tym, jakie straty spowodowałyby następny ładunek. Fakt, że tylko dwa statki mogły przywieźć go z dalekiej planety, był słabą pociechą. Tarian obawiał się, że następni nie będą potrzebowali rakiety jako przenośnika. Bał się też, że może dojść do bezpośredniej transmisji ładunków na wybranych ludzi na Ziemi i wtedy nie potrafią się już obronić. Cała ta inwazja, przeprowadzona nie wiadomo przez kogo i dlaczego, bez żadnego ostrzeżenia, załamała w nim wiarę w siłę ludzkości, w odporność pojedynczego człowieka, ukazała bezbronność i bezsilność mieszkańców Ziemi. Nie potrafili znaleźć przyczyn jonizacji ani też zbadać mechanizmu przenoszenia się napastników z miejsca na miejsce. Jedynym sukcesem było odkrycie dziecinnie prostej zasady lokalizacji tego miejsca. Problematyczny to sukces i dotyczył błahej rzeczy. Tarian i jego ekipa w fatalnych nastrojach powracali do macierzystej bazy, na Trytona. Podążały za nimi oddziały Astropolu. Musieli zacząć pracować nad sposobem skutecznego zabezpieczenia Ziemi przed kolejnymi atakami. W drodze zastał ich meldunek o pojawieniu się kolejnego gościa z Irmy. Nadlatywał Pionier 27. Tarian domyślał się, kto jest na jego pokładzie. Bardzo lubił Pafa i było mu tym bardziej przykro. Tym razem nie mógł dopuścić do jakiegokolwiek transferu. Statek należało zniszczyć. Stała się jednak rzecz dziwna. Sprawiała, że szef Astropolu ponownie zaczął się wahać. Na sygnał Pierwszej Radiolatarni Pionier odpowiedział normalnym kodem. To nie był nawet sygnał automatycznego namiaru, lecz kod wywoławczy pilota-zwiadowcy Pafa. Niewiarygodna wydawała się myśl, że ktoś mógł stamtąd wrócić normalny. Tarian przeżywał straszną rozterkę. W końcu przed podjęciem decyzji postanowił zasięgnąć jeszcze opinii naukowców.

Rozdział 14

ZAKAZ WJAZDU

Wyszedłem ze styku w przepięknym stylu. Przez całe trzy dni miałem świetny nastrój. Pozbyłem się wreszcie skilarów i myślałem tylko o tym, że ta piekielna podróż dobiega wreszcie nieuchronnego końca. Nie mogę powiedzieć, że bym potrafił się całkowicie opanować. Ostatnie wydarzenia wstrząsnęły mną i przeżywałem je ciągle na nowo. Analizowałem fakty szukając wskazówek, które zbliżyłyby mnie do całkowitego rozwiązania zagadki. Niestety bezskutecznie. Oprócz tego narastał we mnie niepokój, jakie przyjęcie zgotują mi na Trytonie. Spisałem się niespecjalnie, choć w końcu i nie najgorzej. Na razie wracałem do formy. Napychałem się konserwami i nawet kazałem automatowi ugotować porządny obiad. Już nie musiałem się liczyć z każdym watom energii. Po wyjściu ze styku pełną mocą fotonowego silnika ruszyłem ku Trytonowi. Już widziałem Jowisza, Plutona i Neptuna. Oczywiście przez lornetory. Pierwszy nadałem sygnał do radiolatarni, nie czekając na jej wezwanie. Jedyńka powitała mnie znajomym jazgotem nadajników i zaraz zaczęła transmitować muzykę. Słuchałem głosu Ziemi z zapartym tchem — to była muzyka dla pilotów krótkiego zasięgu. Delektowałem się nią, przypominałem sobie, jak podczas próbnych lotów, noc po nocy spędzanych gdzieś koło Neptuna na poszukiwaniach ukrytych przez instruktorów nadajników, przeklinałem „jedyńkę” za chaos, który wprowadzała muzyką i swoimi sygnałami nadawanymi w przeróżnych tonacjach i na różnych zakresach we wszystkich możliwych kierunkach. Zapaliłem wiśniowe cygaro i wtedy odezwał się sygnał łączności.

Skoczyłem do pulpitu.

— Pionier 27! — wołałem. — Tu Pionier 27!!! Gotowy do lądowania!

— Tu Tryton do Pioniera 27! Nastąpiła mała przeszkoda! Skieruj się w stronę Plutona!

Zatkało mnie. To tak mnie witają! Myślałem, że może pozwolą mi chociaż spokojnie wylądować. W końcu nie załatwiałem byle jakich spraw.

— Mam ważny meldunek! — rzuciłem w mikrofon.

— Podaj! Możemy przekazać, komu trzeba!

— Dziękuję, poczekam — mruknąłem zdejmując słuchawki. Nie pozostawało nic innego, jak wykonać ten cholerny manewr nie pytając o przyczyny. Wydałem rozkaz komputerowi i poszedłem do biblioteki. Trudno — pomyślałem. — Widocznie mają jakieś ważne powody. Musiałem spędzić na pokładzie statku jeszcze jedną noc.

— Jak myślicie — spytał Tarian — czy można mu zezwolić na lądowanie?

— Obawiałbym się pułapki — powiedział cicho Ulm. — Wyślijmy eskadrę.

— Dziwię się, że nie stransferował do tej pory. Przecież gdyby chciał, to znaczy gdyby mu zlecono takie zadanie, to nie zdążylibyśmy temu zapobiec. Jego misja musi polegać na czymś innym — włączył się do rozmowy Gastor.

— Co masz na myśli? — spytał Pandyk.

— Może jest na przykład bombą z opóźnionym zapłonem?

Tarian milczał przez chwilę ze skupioną miną.

— To niewykluczone — powiedział po chwili. — Może tkwić w tej sprawie jeszcze inna pułapka. Od dawna niepokoi mnie myśl, że Paf jest skomplikowanym nadajnikiem.

— Transmisja ładunków depresyjnych? — domyślił się Ulm.

— Tak — szef Astropolu westchnął robiąc półobrót z fotelem. — Transmisja na wybranych, najpodatniejszych ludzi na Ziemi. Nie mielibyśmy wtedy żadnych szans.

— Już i tak wykazaliśmy dość dużą bezradność — Pandyk pstrykał pisakiem. — Nie mielibyśmy szans.

— Trzeba podjąć decyzję — Tarian wsparł się łokciami o biurko. — Skoro nawiązał z nami kontakt, to znaczy, że nie musi działać natychmiast. Możemy chyba poczekać z zestrze-
leniem Pioniera 27.

— I ja tak sędzę. — powiedział Ulm. — Co prawda istnieje ryzyko, wydaje mi się jednak, że trzeba się trochę wstrzymać. Proponuję wysłuchać jego raportu.

— A jeżeli będzie domagał się wyjaśnień? — zaniepokoił się Pandyk.

— Trudno przecież bawić się w sentymenty — mówiąc to, Tarian spuścił wzrok. — Nie wolno nam powiedzieć mu całej prawdy.

— Można go chyba ogólnie zapoznać z sytuacją — stwierdził Gastor z wahaniem. — Tak sędzę.

— Zgoda, panowie. Nawiązujemy łączność — rzekł Tarian i podszedł do aparatury.

Salę łączności zalegała cisza. Skupione twarze techników świadczyły, że zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Pod bładoniebieską kopułą, gdzie nieustannie wirował model wszechświata, mrużyły jasne punkty sztucznych gwiazd. Miliardy razy pomniejszony kosmos, który zawisł nad głowami ludzi zgromadzonych w sali, milczał. Zdawało się, że zamilkł i wszechświat prawdziwy. Wyłączono nasłuchy, zawieszono także działalność stacji nadawczych bliskiego zasięgu. W sali łączności panowała rzeczywiście zupełna cisza. nie zmacona nawet szelestem kartki papieru.

— Zaczynamy — głos Tariana zabrzmiał jak wystrzał.

Ulm wzdrygnął się. Było coś niesamowitego w tym seansie łączności z człowiekiem, którego właściwie nie można już było tak nazywać.

— Halo, Pionier 27 — powiedział Tarian. — Pionier 27!

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na odpowiedź, która rozległa się prawie natychmiast, z taką wyrazistością, jakby Paf siedział tuż obok w fotelu.

— Jestem! — zabrzmiało bez najmniejszego trzasku. — Tu zwiadowca Paf! Witam, szefie! Co z wizją? — w głosie pilota brzmiała nie ukrywana radość.

— Z wizją mamy kłopoty! — Tarian rozejrzał się niepewnie, jakby szukał czyjejś pomocy, lecz opanował się i ciągnął dalej bez zająknięcia. — Przeżyliśmy tutaj mały kataklizm. Baza jest uszkodzona. Między innymi transmitery wizji!

— Co się stało?

— Opowiem ci później. Czekaliśmy z niepokojem. Przystawaliśmy wierzyć, że wrócisz! Co zwojowałeś, chłopcze?

Paf zdał Tarianowi raport z przeprowadzonej misji. Przedstawił wszystkie swoje spostrzeżenia i domysły. Na koniec zapytał:

— Co z Paxem?

— Nie żyje — odparł Tarian z wahaniem.

— Był ruchomym depresorem, prawda? — spytał Paf spokojnie.

— On był depresyjną bombą. Musieliśmy go zlikwidować. Transferował się nieustannie, wywołując przy tym kataklizmy. Zniszczył wiele budynków w kilku wielkich miastach, zginęły tysiące ludzi. Podobnie było z Tripem. — W głośnikach zapadła cisza.

— Czy obawiacie się, że ze mną jest tak samo? — rozległo się wreszcie ciche pytanie pilota.

— Pewnie jesteś w porządku, Paf, ale my musimy to sprawdzić!

— Jak długo mam pozostać na orbicie? — w głosie zwiadowcy wyczuwało się napięcie.

— Przyślemy ci zaraz eskadrę. Sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku i będziesz mógł lądować.

— Dobrze. Czekam — powiedział Paf i wyłączył się.

Siedziałem przed ekranami patrząc tępo w ich migoczącą pustkę. Nic mi się nie chciało, czułem zmęczenie. Czekałem na eskadrę z obojętnością skazańca, którego nic nie może uratować. Po tym, czego dowiedziałem się o Tripie i Paxie, przestałem wierzyć w swój szczęśliwy powrót. Skoro sami nie chcą mówić wszystkiego, ja także będę milczał. Gdyby choć włączyli wizję! Poczekam. Ciekawe, co wykryje eskadra. Wstałem i usiadłem ponownie. Czułem jednak niepokój. W ekranie zobaczyłem płynącą w moją stronę flotyllę złożoną z dwunastu małych zwiadowczych stateczków. Takich, na jakich kiedyś uczyłem się latać. Mimowolnie wyrwało mi się przekleństwo.

Być tak blisko Ziemi i nie zobaczyć się z Merą! — walnąłem pięścią w pulpit aż zadrgały światelka rozrzędu. — Czy ktokolwiek pomyślał, by zawiadomić ją o moim przylocie? Nie. Nie było takiego zwyczaju. Zawsze spadałem na jej dom niczym grom z jasnego nieba, nie zapowiedziany, a jednak oczekiwany. Zjawiałem się i znikalem. Kiedy przylatywałem na Trytona, już od pierwszej chwili po lądowaniu cieszyłem się na spotkanie z nią. Ona potrafiła się także cieszyć. Teraz tkwiłem w tej skorupie z żelastwa, dwa kroki od niej i czułem, jak oddala się szansa zobaczenia jej jeszcze kiedykolwiek.

— Mera — wymamrotałem pod nosem. — Jeżeli zabronią mi wjazdu, popełnię szaleństwo. Wyląduję wbrew, zakazowi wprost na Lunie, porwę stratobus i zobaczę się z tobą!!! Tak będzie!

Wstałem od pulpitu. Statki widoczne na ekranie powiększyły się już na tyle, że można było przez lornetory rozróżnić numery. Bez zdziwienia odkryłem Deltę 16, pojazd Selgiego. Musiał tu być. Na wszelki wypadek. Poczulem jakiś wewnętrzny skurcz i potem po całym ciełe przebiegły dreszcze. Fala zimnych dreszczy. Czy to był strach? — Nie dam się — postanowiłem. Ruszyłem ku śródpokładowi. Ze schowka wydobyłem miotacz. Przemierzałem pusty pokład, rozświetlone tunelowe korytarze, bibliotekę zalaną żółtym blaskiem i wiecznie szmerzący blok komputera. Zmierzałem do wjazdu. Postanowiłem tam na nich zaczekać.

Zatrzymałem się przed lukiem, wygodnie opierając rękę o biodro. Wiszący po prawej stronie ciężki próżniowy skafander, przeznaczony do wychodzenia w przestrzeń międzygwiazdną, przypominał sflaczałą kukłę. Na piersi błyszcząły bladobłękitne naszywki Astropolu. Na ich widok uśmiechnąłem się ironicznie.

Nagle pokładem targnęło. Coś jakby wybuch. Zachwiałem się. Przez puste korytarze z głuchym łomotem przetoczył się dźwięk detonacji. To od strony dysz. Po chwili zrozumiałem całą grozę mego obecnego położenia. Ruszyłem pędem w stronę sterowni. Dopadłem sterów i jak opętany waliłem po nich pięściami. Włączyłem pełny ciąg, lecz szybko zorientowałem się, że to na nic. Statek milczał. Tego było za wiele! Nie bacząc na bliskość eskadry z furią wcisnąłem pedał fotonowego styku! Sygnał gotowości urządzeń nie odezwał się jednak! Poprawiłem wtyczkę w gnieździe! Żadnej reakcji. Silniki milczały jak zakłute. Opadłem na fotel gryząc palce z bezsilnej wściekłości. Nawet nie wylądowali. Nie próbowali wylądować, wejść na pokład, porozmawiać — nic!!!

— Załatwili mnie! — krzyknąłem do pustych ścian. — Dranieeee!!!

Eskadra oddalała się, aż całkowicie przestałem ją odróżniać od nieruchomych punktów gwiazdowego pyłu. — Co takiego zaszło? Zrezygnowali z kontrolowania mojego Pioniera? — roześmiałem się cicho. — Co też wymyśliłem? Absurd, zupełny absurd! Po prostu ich obawy potwierdziły się. Namierzili mnie z daleka, nie musieli się pchać na pokład. Więc? Jestem bombą tak jak inni przede mną? Ukryłem twarz w dłoniach. Sam nie wiedziałem, co począć. Czułem jakieś wewnętrzne rozdygotanie. Ręce miałem zimne i mokre, jakby wyjęte z wody. Strach? Rzuciłem się do pulpitu łączności. Wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi.

— Halo, Baza!!! Baza!!! — wrzeszczałem do mikrofonu. — Słyszycie mnie?!!! Baza!!! Wy... — opadłem na fotel zupełnie bez czucia. Ta cisza, martwota głośników, samotna pu-

stka, w której się znalazłem, sprawiły mi olbrzymi ból. Całkiem straciłem siły. Miałem wrażenie, że zatrzaśnięto przede mną drzwi, nie bacząc na to, kim jestem, nie zwracając uwagi na to, czego dokonałem. A przecież wypełniłem swoją misję najlepiej, jak tylko potrafiłem. Jestem człowiekiem!!! Takim samym jak inni, a może nawet i lepszym!!! Ból i poczucie straszliwej krzywdy, jaką mi wyrządzono, na powrót wyzwolił we mnie falę złości. Znienacka odezwał się głośnik nadajnika. Zerwałem się na równe nogi.

— Mówi Tarian. Słyszysz mnie, Paf?

Milczałem.

— Nie możesz lądować. Jesteś tysiącrotnie silniejszą bombą niż Pax.

Wyrwałem bez słowa kable.

A więc to prawda. Stałem się kolejną ofiarą naszego potężnego wroga. Jeszcze jedną bombą, której celem była Ziemia. Ile takich bomb ma do dyspozycji nasz przeciwnik? Tyle, ilu naukowców znajduje się jeszcze na Irmie? A może w tej chwili już każdy będzie mógł się stać nośnikiem depresji? Naszemu wrogowi pojazd nie jest chyba potrzebny do transferu kolejnego ładunku na Ziemię. Przecież przebywający w niewoli naukowcy wielokrotnie odwiedzali swą planetę, podróżując, co prawda w marzeniach, ale czy ich marzenia nie urealnią się kiedyś? Urealniło się przecież moje pragnienie dotarcia do kabiny Pioniera 27. Sprytny, nieludzki, przebiegły i okrutny był nasz przeciwnik. Czy możliwe, aby istota rozumna i to stokroć od nas inteligentniejsza, pałała aż taką nienawiścią, potrafiła zgromadzić w sobie tyle zbrodniczych instynktów, by bezwzględnie i z zimną krwią rozprawić się z inną rasą? To chyba niemożliwe? — kręciłem głową z niedowierzaniem. — To niemożliwe! Cywilizacja, która rozmieściła na Irmie depresory, nie mogła mieć w stosunku do nas wrogich zamiarów. Nie! To przypadek. Sami nieświadomie wdepnęliśmy na Irmę i teraz czynnik blokujący jej rozwój przenieśliśmy niczym zarazę do swego układu, na swą macierzystą planetę. A więc kosmiczna epidemia?... A może... może to po prostu test, próg, którego szczęśliwe przekroczenie poświadczy naszą rozumność? Sam już nic nie wiedziałem. Uczucie buntu i coraz większa wściekłość na Tariana, Astropol i cały świat, który wydał na mnie wyrok śmierci, narastały we mnie z każdą chwilą. Byłem zdecydowany. Nikt i nic nie mogło mnie odwieść od tego postanowienia. Ruszyłem ku głównemu wejściu. Domyślałem się kolejnego posunięcia Tariana. Zetrą statek na pył, aby mieć pewność, że wyparowałem w centrum atomowej eksplozji. Są pewni swego. O, nie! To jeszcze nie koniec mojej historii. Tam czeka na mnie Mera. Nie potrafiłem się pogodzić z tak wielką niesprawiedliwością. Ja chciałem żyć, miałem dla kogo i po co! Kochałem ją i musiałem do niej wrócić! Musiałem!

Gończkowo wciągałem próżniowy skafander. Zatrzasnąłem szybę hełmu i poprawiłem przymocowane pod butlami z tlenem odrzutowe silniki. Odrygłowałem właz. Zapaliło się zielone światelko śluzu. Obróciłem koło zwalniające zatraski. Cał po cał otwierala się zewnętrzna klapa. Jeżeli dam pełny ciąg i wybiorę nieregularny tor, to chyba zdążę. W powiększającym się otworze włazu zobaczyłem cały wszechświat. Miliardy gwiazd. Patrzyłem na nie rozpalonym wzrokiem, tak jakbym naprawdę ujrzał je dopiero dzisiaj. Biliony światów. Z lewej strony majestatycznie wylaniała się planeta. Gładki łuk zlodowaciałego gruntu, prawie taki jak Księżyc. To był Pluton — cel mego lotu.

Odepchnąłem się od krawędzi włazu i poszybowałem w przestrzeń. Już miałem wcisnąć odpalacz, gdy nagły błysk, szybszy niż mgnienie, przeszył przestrzeń. Poczulem piekący ból ręki i usłyszałem syk uchodzącego ze skafandra powietrza. Obejrzałem się. Drugi błysk rozpostarł przede mną czerń, pustkę i ciszę.

Z ciemności powoli wydobywał się kształt. Zarys muru i jakiś obraz wiszący na tym murze. Była noc i przy mym boku spała spokojna jak zawsze Mera.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Powrót	02
2. Misja specjalna	09
3. Wymarła stacja	16
4. Nowa załoga	22
5. Zjawy Makonga	30
6. Teleportacja	35
7. Poszukiwania	41
8. Zniknięcie	47
9. Depresory	52
10. Agresja przestrzeni	58
11. Elementy mozaiki	63
12. Poddać się, by zwyciężyć	67
13. Pilot-bomba	76
14. Zakaz wjazdu	85